



NESTOR

Czasopismo Artystyczne

2(68) 2024

Rok XVIII

www.nestor-krasnystaw.eu

ISSN 1898-1801



fol. Wiesław Krajewski



Budynek jednej ze świątyń w typowym japońskim stylu.



Złoty Pawilon – najbardziej znana świątynia zen w Kioto.



Jeden z symboli Japonii – góra Fudzi.



Zatłoczona ulica w Tokio wieczorem.



Gejsza – kolejny symbol Japonii.



Las bambusowy w Kioto.



Małe ośmiorniczki na targu. Robi się z nich takoyaki – pyszota.

Japonia

Mówi się o niej Kraj Kwitnącej Wiśni, Kraj Wschodzącego Słońca, a kiedy myślimy o Japonii, kojarzą nam się przede wszystkim waleczni samuraje, tajemnicze dla nas gejsze, miniaturowe drzewka bonsai, znane i u nas komiksy manga, święta góra Fudzi, papierowe figurki origami, ale i nowoczesność, zaawansowana technika, szybka (bardzo szybka) kolej Shinkansen, wszechobecna elektronika połączona z miniaturyzacją, znane powszechnie marki samochodów, aparatów fotograficznych, telewizorów, telefonów.

Kraj na wskroś nowoczesny, ale odczuwa się i na każdym kroku widzi przywiązanie do tradycji, kultury, zwyczajów. Obok nowoczesnych budynków, stoją tradycyjne pagody, a na ulicach obok zwyczajnie ubranych przechodniów, spotyka się często osoby w tradycyjnych japońskich strojach. A co mnie zaskoczyło, zauroczyło albo zwyczajnie zwróciło moją uwagę w Japonii?

W Tokio (metropolia prawie 40 mln mieszkańców) ulice nie mają nazw. Listy adresuje się opisowo, np. „obok stacji metra”, „naprzeciw domu towarowego”, „przy stacji benzynowej”. I dochodzą! Nie ma też koszy na śmieci. I jest czysto! Nie ma korków na ulicach. Tam nad zwykłą drogą buduje się wiadukt, a nad nim drugi. W ten sposób na tej samej powierzchni są trzy poziomy jezdnie. Często jedziemy samochodem na wysokości 6-7 piętra.

Wszędzie mnóstwo ludzi. Gęstość zaludnienia to 330 osób na km². Widać na ulicy dużo ludzi starych. Seniorów jest tam 2,5 razy więcej niż dzieci. Długość życia jest najwyższa w świecie. A czego nie widać? Ludzi otyłych.

Bardzo się tam dba o drugiego człowieka. Na schodach ruchomych, a te są wszędzie, każdy zostawia wolne miejsce obok siebie, żeby ktoś, kto się spieszy, mógł swobodnie przejść. W pociągach na fotelach jest ostrzeżenie, żeby zbyt mocno nie stukać w klawiaturę komputera, bo może to przeskadzać innym.

A toalety? Deska sedesowa znanej firmy (SONY, Panasonic) naszpikowana elektroniką, nie tylko z podgrzewaniem, ale i myciem, suszeniem i nie wiem, czym jeszcze, bo instrukcja obsługi tylko po japońsku.

Co robi pracownik kolei po przyjeździe do pracy? Reguluje swój zegarek z wzorcem na ścianie. Skutek – kilkusekundowe spóźnienia pociągów.

Japonia jest niesamowita, aż nie do uwierzenia.

Wiesław Krajewski

Słowo redaktora



Czasopismo artystyczne „Nestor” od lat sprawuje czynne patronaty medialne nad konkursami. Jako jedno z nielicznych mediów nie tylko figuruje na afiszach, ale również publikuje prace laureatów. Dzięki temu nasi czytelnicy mogą poznać oprócz werdyktu jury, przede wszystkim twórczość nagrodzonych uczestników. W obecnym wydaniu zbiegły się aż dwa konkursy poetyckie organizowane w naszym otoczeniu. Z przyjemnością więc przedstawiamy wiersze laureatów Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a Ty Pisz!” im. Mariusza Kargula oraz wiersze z nagrodzonych zbiorów wyłonionych w Konkursie Poetyckim im. Anny Kamieńskiej na najlepszy tomik Lubelszczyzny.

Pomimo upływu ponad osiemdziesięciu lat, ciągle zaskakują skutki drugiej wojny światowej. W aktualnym wydaniu poznamy tragedię rodziny Lewickich z Chłaniowa ukrywających Żydów. Porównywalną z historią rodziny Ulmów z Markowej, która w 2024 roku została wyniesiona na ołtarze. Na kolejnych stronach możemy śledzić tułaczkę jeńca wojennego Stanisława Klimy z Ostrzycy. Wyjątkowym bohaterem czasów okupacji jest ojciec Maksymilian Maria Kolbe, którego znamy z dobrowolnej śmierci za współwięźnia obozu koncentracyjnego. Dzisiaj mamy okazję dowiedzieć się o jego znaczących zasługach i zaskakujących zainteresowaniach.

Sympatycy wielkich umysłów i pięknego języka mają możliwość poznać dalsze losy trzech przyjaciół o znaczących zasługach – Augusta Cieszkowskiego rodem z krasnostawskiej ziemi, Teofila Lenartowicza i Józefa Ignacego Kraszewskiego. W innym opracowaniu przeczytamy także o ich rówieśniku Cyprianie Kamilu Norwidzie.

Rozdział wspomnień otwiera cykl „Mój Jaślików”, gdzie dowiemy się jak wyglądały przed pięćdziesięciu laty przygotowania do wiejskich dożynek. Wielu czytelników może zainteresować historia powstania apteki „Prima” oraz rozbudowa i poświęcenie Urzędu Skarbowego w Krasnymstawie. Na pewno w tej części interesująca będzie lektura dziennika „Reszta życia” poety Edwarda F. Cimka oraz współczesne zapiski – lapidaria Jana H. Cichosza.

Nie zabraknie jak zawsze poezji, prozy, esejów, recenzji, satyry oraz relacji z wybranych wydarzeń kulturalnych.

Milej lektury!

Andrzej David Misiura

Spis treści

Japonia	1
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Słowo redaktora	1
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Tragedia rodziny Lewickich – Chłaniów 1942/43	3
<i>Józef Adam Dąbek</i>	
Gefangenenummer 11590	13
<i>Waldemar Seroka</i>	
Cieszkowski – Lenartowicz – Kraszewski „sercem, duchem najbliżsi” – część 2	20
<i>Monika Nagowska</i>	
Wariantywność nazw Łopiennika w powiecie krasnostawskim	26
<i>Irena Kulik</i>	
Dożynki	27
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	
Panie! – Wtedy słowo warte było więcej niż pieniądze!... ..	33
<i>Andrzej Stanisław Adamczuk</i>	
Powstanie apteki „Prima” w Krasnymstawie	35
<i>Leszek Janeczek</i>	
Poświęcenie Urzędu Skarbowego	40
<i>Marta Kafarska</i>	
Agnieszka Battelli o miłości w poezji i w piosence	42
<i>Elżbieta Patyk</i>	
Popołudnie z poezją i muzyką	43
<i>Elżbieta Patyk</i>	
Światowa Noc Kosmonautyki w Krasnymstawie	43
<i>Elżbieta Patyk</i>	
Protokół Jury XVII Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a Ty pisz!” im. Mariusza Kargula organizowanego przez Krasnostawski Dom Kultury Krasnostaw 2024	44

Spis treści

Konkurs Kamieńskiej w rodzinnym mieście	49
<i>adm</i>	
Tak trudno o wymuszony uśmiech i wiersz	50
<i>Paweł Podlipniak</i>	
Refleksje jurora	51
<i>Andrzej David Misiura</i>	
Poezja – Beata Głowacka	52
Poezja – Dariusz Kostecki	54
Odcienia piękna miłości w literaturze w różnych kręgach kulturowych na przestrzeni epok ..	58
<i>Mirosław Leszek Iwańczyk</i>	
Znajomę oblicza	69
<i>Aneta Sliwińska</i>	
Norwid – niezczęśliwy wielbiciel, prekursor nowoczesności	72
<i>Lucjan Cimek</i>	
Reszta życia (wybór z dziennika)	74
<i>Edward Franciszek Cimek</i>	
Z cyklu: „Moje lapidaria”	80
<i>Jan Henryk Cichosz</i>	
Miniatury literackie	82
<i>Wojciech Bieluń-Targosz</i>	
Astronautyczne projekty o. Maksymiliana	84
<i>Wiesław Krajewski</i>	
Mikołaja Sienickiego sąsiad	87
<i>Tomasz Sienicki</i>	

Składamy serdeczne podziękowania za wsparcie finansowe stałym darczyńcom: Barbarze Rusinek-Zdun z Ciechanowa, Cezaremu Pietrzakowi z Gdyni, Mirosławowi Iwańczykowi z Krasnegostawu oraz ciągle tej samej osobie anonimowej. Łącznie otrzymaliśmy 720 złotych na zakup materiałów drukarskich. Pamiętajmy, że wszystkie przyjazne gesty są gwarancją przetrwania „Nestora”. Dziękujemy.

Darowizny na opłacenie usług drukarskich prosimy kierować na subkonto przy Powiatowej Bibliotece Publicznej: Bank Spółdzielczy w Krasnymstawie **25 8200 0008 2001 0012 4067 0004**. W tytule przekazu należy wpisać: Nestor. W imieniu czytelników, dziękujemy za każdą wpłatę – Zespół redakcyjny.



NR 2 (68) 2024 – ROK XVIII NESTOR Czasopismo Artystyczne
Wersja elektroniczna: www.nestor-krasnostaw.eu

Wydawca archiwalnych numerów 1 - 20:
Oficyna Wydawnicza ELIPSA – Andrzej Misiura
Wydawca numerów 21 - 31:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Wydawca aktualny:
Redakcja Czasopisma Artystycznego NESTOR
Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie
Urząd Miasta Krasnostaw
Redaktor odpowiedzialny: Andrzej David Misiura
Adres redakcji: andrzejdavidmisiura@gmail.com
Montaż elektroniczny: Paweł Piłat
Druk: Wydawnictwo „ROMAR”, ul. Poniatowskiego 20, 22-300 Krasnostaw

Redagują:

Andrzej David Misiura (redaktor naczelny)
Tadeusz Andrzej Kiciński (z-ca redaktora naczelnego)
Wiesław Krajewski (sekretarz redakcji)
Paweł Piłat (skład i lamanie)

Współpracują:

Zbigniew Atras (Krasnostaw)
Jan Henryk Cichosz (Krasnostaw)
Lucjan Cimek (Krasnostaw)
Józef Adam Dąbek (Lublin)
Elżbieta Kmieć (Izbiica)
Leszek Janeczek (Krasnostaw)
Ewa Magdziarz (Krasnostaw)
Monika Nagowska (Krasnostaw)
Henryk Radej (Chelme)
Elżbieta Szadura-Urbańska (Warszawa)
Agnieszka Szykula-Zygawska (Zamość)

Redakcja nie zwraca materiałów niewykorzystanych.
Zastrzega sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów.
Nestor redagowany jest pro publico bono.
Autorzy również nie otrzymują honorariów.

Józef Adam Dąbek

Tragedia rodziny Lewickich – Chłaniów 1942/43

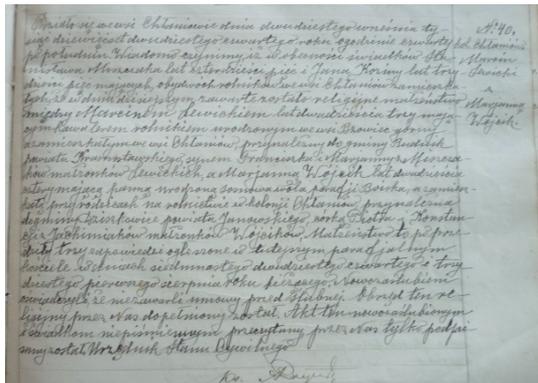


Historia II wojny światowej przeraża ogromem nieszczęść. Jej osnowę tworzą dokładnie opisywane działania frontowe, zwycięskie lub przegrane bitwy, wyrażone w milionach liczby ofiar i trudne do oszacowania straty materialne. Taki obraz wojny przekazują nam ogólnie dostępne źródła historyczne. Miejmy jednak świadomość, że na sumę tych strat złożyły się tragiczne wydarzenia, jakie miały miejsce w każdej ogarniętej wojną miejscowości. Cierpienia i straty wśród ludności cywilnej były w mniejszym stopniu związane z walkami frontowymi. Najwięcej ofiar przyniósł okres okupacji. Po przegraniu tzw. kampanii wrześniowej i podziale Polski pomiędzy dwóch okupantów: III Rzeszę i ZSRR – walki frontowe na terenie II RP zostały na prawie dwa lata przerwane. Zaczął się czas okupacji. Niemiecka okupacja Lubelszczyzny trwała nieprzerwanie przez blisko pięć lat. W czasie tych lat każda miejscowość przeżywała swoją własną, wojenną historię. Oto jeden z takich ludzkich dramatów, jaki wydarzył się na przełomie lat 1942 i 1943 w Chłaniowie.

Lata przedwojenne – spokój i nadzieja

W roku 1924, w kancelarii parafialnej w Chłaniowie, zostało spisanych pięćdziesiąt aktów zawarcia związku małżeńskiego¹. Jednym z nich było, jak wówczas pisano, „małżeństwo religijne” zawarte pomiędzy Marcinem Lewickim i Marianną Wójcik. Marcin Lewicki, syn Franciszka i Marianny z Miszczaków, urodził się 1901 roku w Bzowcu Górnym. Jego żona Marianna z domu Wójcik, pochodziła z terenów gminy Dzierzkowice, należącej wtedy do powiatu janowskiego. Urodziła się w 1900 roku w miejscowości Sosnowa Wola. Była więc o jeden rok starsza. Jej rodzice wyprowadzili się z rodzinnych stron i zamieszkali w Kolonii Chłaniów. Rodzina Marcina też wcześ-

niej przeniósł się z Bzowca do Chłaniowa. Zapewne bliskość zamieszkania była powodem ich poznania się, co zakończyło się zawarciem związku małżeńskiego. Po ogłoszeniu w kościele parafialnym trzech przedślubnych zapowiedzi, spisanie aktu małżeństwa (poz. nr 40) odbyło się 20 września. Świadcami tej ceremonii byli dwaj mieszkańcy Chłaniowa – Stanisław Miszczak i Jan Kozina.



Akt ślubu Marcina Lewickiego i Marianny z domu Wójcik.

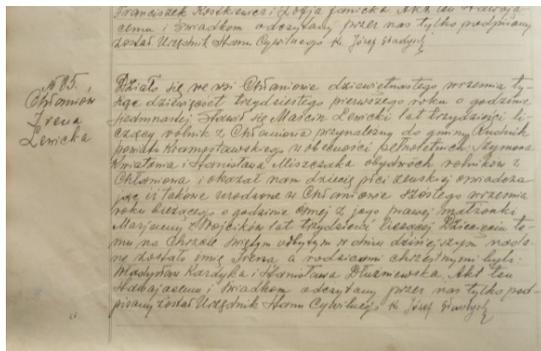
Marcin Lewicki miał trzech braci: Szymona, Pawła i Stanisława. Najstarszy z nich Szymon ożenił się w 1913 roku z pochodzącą z Wierchowiny Anną z rodziny Dereweckich. W 1921 roku rodzi się im syn Tadeusz. Marcin, po ślubie z Marianną, zamieszkuje obok rodziny swojego brata Szymona. Obie placówki braci Lewickich znajdowały się można powiedzieć w samym środku wioski, nieopodal starej kapliczki, pobudowanej prawdopodobnie w I połowie XIX wieku. Kapliczka ta zachowała się w bardzo dobrym stanie do dzisiaj. W jej ścianach znajduje się kamienna figura Matki Boskiej. Jadąc przez Chłaniów na stronę Bzowca, za tą murowaną kapliczką stojącą po lewej stronie drogi, jako trzecie w kolejności, znajdowały się zabudowania Szymona Kwiatonia. W latach okupacji pełnił on funkcję sołtysa. Za placówką Kwiatonia mieszkaly obok siebie rodziny dwóch braci Lewickich.

Z początkiem roku 1927 w rodzinie Marianny i Marcina Lewickich rodzi się pierwsze dziecko, Karolina. W akcie chrztu pod nr. 3, sporządzonym przez ks. proboszcza Andrzeja Prejsera czytamy. *Działo się we wsi Chłaniowie dnia szóstego stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku o godzinie drugiej po południu. Stawił się Marcin Lewicki lat dwadzieścia sześć mający, rol-*

¹ Archiwum parafii Chłaniów.

nik we wsi Chłaniów zamieszkały przynależny do gminy Rudnik powiatu Krasnostawskiego, w obecności Władysława Kardygi [Kardyki] lat czterdzięci dwa i Stanisława Mischczaka lat pięćdziesiąt mających, obydwóch rolników we wsi Chłaniów zamieszkałych, i okazał nam dziecię płci żeńskiej, oświadczając, iż takowe urodzone we wsi Chłaniów dnia pierwszego Stycznia roku bieżącego o godzinie szóstej rano, z jego prawej małżonki Marianny z Wójcików lat dwadzieścia sześć mającej. Dziecięciu temu na Chrzcicie Świętym odbytym w dniu dzisiejszym nadane zostało imię Karolina, a rodzicami jego chrzestnymi byli: Antoni Wójcik i Marianna Polska. Akt ten stawiającemu i świadkom niepiśmiennym przeczytany przez Nas tylko podpisany został. Urzędnik Stanu Cywilnego (w podpisie) Ks. A. Prejser.

Po dwóch latach, również w styczniu, rodzi się im drugie dziecko – syn Romek. Przedstawia to akt urodzenia sporządzony w roku 1929 pod nr. 4 przez kolejnego chłaniowskiego proboszcza ks. Józefa Gładysza. Skracając treść aktu, podajemy tylko najistotniejsze informacje. Urodzenie syna zgłosił 20 stycznia ojciec dziecka Marcin Lewicki. Działo się to w obecności świadków Szczepana Jabłońskiego i wymienianego wcześniej sąsiada, Szymona Kwiatonia. Roman urodził się w święto Trzech Króli, szóstego stycznia, wieczorem o godzinie ósmej. Jego rodzicami chrzestnymi byli Józef Wójcik i Agnieszka Brożek.



Akt urodzenia Irenki Lewickiej.

Trzecim dzieckiem Lewickich była Irenka, urodzona szóstego września 1931 roku. Dla porządku odnotujmy, że świadkami przy spisywaniu

aktu urodzenia byli Szymon Kwiaton i Stanisław Mischczak, obaj rolnicy z Chłaniowa, a rodzicami chrzestnymi Ireny byli Władysław Kardyka i Stanisława Dłużniewska.

Czwartym i ostatnim dzieckiem Marianny i Marcina był Staś. Urodził się drugiego czerwca 1937 roku. Jak zapisano w kancelarii parafialnej, zgłaszający urodzenie dziecka ojciec miał 37 lat, a świadkami byli Andrzej Mischczak i Szymon Kwiaton. Rodzicami chrzestnymi Stasia byli ww. Andrzej Mischczak i Anna Król.

Tak więc pod koniec lat trzydziestych, sąsiadowały obok siebie dwie rodziny braci Lewickich: Szymona i Marcina. Starszy z braci Szymon, mieszkał wraz z żoną Anną i synem Tadeuszem. Rodzina Marcina była liczniejsza i zapewne z tego powodu biedniejsza. W jednym niewielkim mieszkaniu musiało się pomieścić sześć osób – dwie dorosłe i czworo dzieci.



Kapliczka Matki Boskiej stojąca pośrodku wsi, blisko placówki Lewickich.

² Tamże.

Korzystając z wielu opisów przedwojennej wsi polskiej leżącej na nieuprzemysłowionych, typowo rolniczych terenach Lubelszczyzny, możemy sobie wyobrazić, jak wyglądało życie mieszkańców Chłaniowa. Odległości od najbliższych większych miast były dość duże. Do Krasnegostawu – siedziby powiatu było ponad 30 kilometrów. Odległości do Zamościa i Szczepieszyna, gdzie był najbliższy szpital, wynosiły odpowiednio około 40 i 20 kilometrów. Obie najbliższe położone osady Turobin i Żółkiewka były oddalone od Chłaniowa o około 10 kilometrów. Znajdujące się na tych terenach chłopskie gospodarstwa były w przeważającej większości małe. Chociaż zdarzali się już wtedy chłopi posiadający kilku- czy kilkunastohektarowe arealy, to większość z nich, jak podają statystyki, pracowała na swoich „morgach” nieprzekraczających dwóch hektarów. W budowę ówczesnych wiosek stanowiły domy drewniane, prawie w stu procentach kryte słomianą strzechą. W obrębie chłaniowskiej parafii znajdowały się też dwa duże ziemiańskie majątki. Jeden z nich obejmujący pola wokół wsi Wierzchovina, należał do rodziny Chrościechowskich. Drugi majątek, położony wokół wsi Bzowiec, należał do rodziny Mogilnickich.

W latach międzywojennych, ludność pochodzenia żydowskiego głównie zamieszkiwała w osadach i małych miasteczkach. Dużymi skupiskami Żydów były miejscowości wspomniane wcześniej – Turobin, Żółkiewka i Szczepieszyn. W Chłaniowie przed II wojną światową mieszkało zaledwie kilka rodzin żydowskich. Trzy rodziny zamieszkiwały przy zachodnim krańcu wioski na tzw. Krakowskim. Należałoby w tym miejscu wyjaśnić pochodzenie tej lokalnej nazwy, jaka dotyczy części zabudowań Chłaniowa położonych po obu stronach drogi skracającej na południe. Ta do dzisiaj używana nazwa – Krakowskie – używana zapewne od niepamiętnych czasów, związana jest ze starodawnym traktem podróźnym, prowadzącym przez pobliski Turobin w kierunku Krakowa. Rodziny żydowskie mieszkały tam od dość dawna. Prawdopodobnie osiedlili się tam jeszcze przed pierwszą wojną światową. Byli więc we wsi dobrze znani. Mimo tego, z podaniem dokładnego imienia i nazwiska głowy rodziny żydowskiej już w tamtych czasach był pewien problem. Z braku dokumentów zwykle posługiwano się nazwiskiem używanym

w mowie potocznej. Niejednokrotnie nazwisko mogło być mylone z imieniem albo też przybierało jakąś zniekształconą formę. Według informacji zebranych od najstarszych mieszkańców Chłaniowa, rodzinom żydowskim mieszkującym w tej części wioski, można przypisać takie nazwiska (lub imiona) jak: Berek, Herszek i Ryfka. Berek należał do Żydów zamożnych. Miał swój własny sklep. Trudnił się handlem. Mieszkający po drugiej stronie drogi Herszek też nie należał do biednych. Miał sześć morgów pola i duży kawał łąki. Po wojnie cała ta łąka przeszła na własność miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej. Obok Herszka mieszkała Ryfka. Była ubogą wdową, mieszkającą razem z synem.

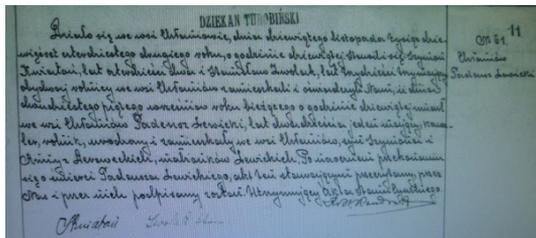
Dla większości mieszkańców wsi, wybuch drugiej wojny światowej zapewne był wielkim szokowaniem. Niemiliczni z nich czytali gazety lub słuchali wiadomości radiowych. Wiem z opowieści rodzinnych, że pierwszy kontakt mieszkańców Chłaniowa z Niemcami miał miejsce w drugiej połowie września. Wtedy do plebanii chłaniowskiego proboszcza księdza Kondrata, przyjechało na wojskowym motocyklu dwóch niemieckich żołnierzy. Przyjechali z sąsiedniej parafii, z Płonki, w celu wypożyczenia od księdza mszału kościelnego, potrzebnego im do odprawiania nabożeństw. Z racji swojego odległego położenia od ważniejszych dróg komunikacyjnych oraz miasteczek i osad, gdzie znajdowały się policyjne posterunki, w Chłaniowie jak też w sąsiednich wioskach, niemieckie służby nie pojawiały się zbyt często.

Pierwszy akt tragedii – Tadeusz Lewicki

Jedną z form represji, jaką Niemcy stosowali wobec mieszkańców wsi były wywózki na przymusowe roboty do III Rzeszy. Ofiarami tzw. „arbjacantów”, czyli niemieckich urzędników do „spraw zatrudnienia”, byli zwykle ludzie młodzi. Ich pozyskiwanie odbywało się głównie w formie tzw. „łapanek” albo też w wyniku procedury podobnego do tzw. kontyngentu – przymusowej dostawy. Był rodzaj selekcji. Niemcy mieli dokładne listy mieszkańców wiosek. Na podstawie liczebności rodziny i jej zamożności ustalali, z jakiego gospodarstwa mogą pozyskać niewolników potrzebnych gospodarce III Rzeszy. Niejednokrotnie przy ta-

kim wyborze osoby przeznaczonej do wywózki na roboty do Niemiec, brał udział miejscowy sołtys. Z tego powodu, wiejski sołtys nie zawsze cieszył się w oczach wsi dobrą opinią.

Jednym z kilkunastu mieszkańców Chłaniowa, jacy zostali wywiezieni na roboty do Niemiec, był Tadeusz Lewicki, syn Szymona i Anny. Stało się to w pierwszej połowie 1942 roku. Losy tych przmysowych robotników wywożonych do Niemiec były różne. Niektórzy z nich przetrwali czas wojny i po jej zakończeniu wracali do swoich wiosek. Wielu nie wróciło. Niektórzy z nich próbowali ucieczki z miejsca przymusowego zatrudnienia do swoich domów. Tadeusz Lewicki, mając wtedy 21 lat, postąpił właśnie w taki sposób. Zaryzykował i uciekł. Wczesną jesienią 1942 roku powrócił do rodzinnego domu. Trudno ustalić jak długo trwała jego podróż z Niemiec. Niemiecka administracja działała sprawnie. Szybko został wpisany na listę uciekinierów poszukiwanych przez niemieckie służby. Był już poszukiwany zanim dotarł do swoich bliskich. Po powrocie musiał się ukrywać. Jak dowiedziałem się od mieszkającego w Chłaniowie Stanisława Zwolaka, Tadeusz miał wyrobiony fałszywy dokument tożsamości, drugą kenkartę, na podobnie brzmiące nazwisko – Rybicki. Ukrywał się, niestety niezbyt skutecznie. Jakby nie zdawał sobie sprawy, że jest na liście poszukiwanych przez niemiecką żandarmerię. Nocował w budynkach gospodarczych trochę u rodziny, trochę u sąsiadów. Trudno dokładnie ustalić, jak długo cieszył się odzyskaną wolnością. Nie wiadomo też, czy to w wyniku donosu, czy raczej, co jest bardziej pewne, w czasie rutynowej kontroli niemieckich żandarmów, został przez nich schwytyany. Był to początek tragedii, jaka spotkała obie rodziny braci Lewickich. 25 września kilku stacjonujących w Żółtkiewce niemieckich żandarmów przyjechało do Chłaniowa. Nie było, niestety żadnej szansy, aby powiadomić kogokolwiek o zagrożeniu. Kiedy Niemcy niespodzianie pojawili się w domu Lewickich, Tadeusz, jak wiadomo z przekazu miejscowych świadków, spał lub ukrywał się na strychu własnego domu. Został bezzwłocznie wyprowadzony za stodołę i tam zabity. Został zabity przez swoich oprawców w okrutny, sadystyczny sposób. Według świadków tej zbrodni, a jest też bardzo prawdopodobne, że działo się to na oczach jego najbliższej rodziny, został załuczony na śmierć drewnianymi drągami.



Akt zgonu Tadeusza Lewickiego,
wrzesień/październik 1942.

Czasy wojny, popełniane przez okupanta zbrodnie, budziły strach każdego z mieszkańców. Nie wiadomo dokładnie, czy zabity 25 września Tadeusz Lewicki został od razu pochowany na miejscowym, parafialnym cmentarzu. Z akt parafialnych możemy się dowiedzieć, że dopiero 9 listopada został sporządzony akt śmierci Tadeusza. W księdze zgonów z 1942 roku jest to akt o numerze 61. Proboszcza powiadomili dwaj sąsiedzi Lewickich: Andrzej Miszczak lat 35 i miejscowy sołtys – Szymon Kwiatkoń lat 42. Przyczyna śmierci nie została w tym akcie zapisana.

Żydowska rodzina krawca Srula

Zanim przejdziemy do opisu kolejnej tragedii, jaka spotkała obie rodziny Lewickich, należy wspomnieć o jeszcze jednej rodzinie żydowskiej, jaka wówczas mieszkała w Chłaniowie. Była to rodzina krawca o nazwisku Srul. Z opowiadań miejscowych świadków wiadomo, że byli to tak zwani Żydzi wędrowni, niemający stałego miejsca zamieszkania. Mieszkali tu już od kilku lat przed wojną. Początkowo, wzięli ich pod swój dach, w tzw. „komorne”, gospodarz o nazwisku Godula. Krawiec Srul mieszkał tam razem z żoną i dwojgiem lub trojgiem dzieci.

Dużo informacji o ludziach i wydarzeniach z tamtych lat przekazali mi pamiętający dawne czasy mieszkańcy Chłaniowa. Chcę tu przede wszystkim wymienić Stanisława Zwolaka, którego mogę bez przesady nazwać lokalnym historykiem, oraz Tadeusza Króla – świadka tych wojennych, tragicznych dni. Według ich wspomnień, rodzina żydowskiego krawca mieszkała jeszcze po wybuchu wojny przez jakiś czas u Goduli. Zapewne pod wpływem obaw związanych z narastający-

mi represjami niemieckiej lokalnej administracji wobec ludności żydowskiej, Godula odmówił im dalszej pomocy. Wówczas krawiec Srul wraz z rodziną znalazł schronienie u Szymona Lewickiego. W domu młodszego brata Marcina, mieszkającego z żoną i czwórką dzieci, nie było dla nich miejsca.

Jak wiem z opowiadań, najstarszy syn krawca miał na imię Mendel, a córka Róża. Jest też przypisywane tej rodzinie imię Gołda, Mogła to być żona krawca. Tadeusz Król pamięta, że jako młody chłopak był z nimi zaprzyjaźniony i często przychodził do nich grać w warcaby. Z opowiadań Stanisława Zwolaka dowiedziałem się, że krawiec Srul cieszył się opinią dobrego fachowca. Zdarzało się dość często, że z jego usług korzystała mieszkająca w Bzowcu rodzina Mogilnickich. Dziedzic Witold Mogilnicki zapraszał krawca do dworu na tzw. zdejmowanie miary, a ten szył zamawiane stroje w swoim warsztacie w Chłaniowie.

Dla każdej żydowskiej rodziny, jak też dla polskich rodzin udzielającym jakiegokolwiek pomocy Żydom, narastający terror okupanta był zapowiedzią coraz większego zagrożenia. Dobrze wiemy, że o życiu lub śmierci człowieka niejednokrotnie decydują pozornie mało znaczące przypadki. Dzieje się tak w czasach pokoju, a zwłaszcza w czasie wojen, kiedy ludzkie życie drastycznie traci na swojej wartości. Właśnie to krawieckie zajęcie Srula i rozpowszechniana o nim opinia dobrego krawca stały się pośrednią przyczyną kolejnej tragedii. Można powiedzieć, że małym kamyczkiem, który uruchomił całą lawinę nieszczęść stała się tzw. burka. Burka to używana dawniej nazwa zimowego ubioru – szuby lub grubego płaszcza, który chronił całe ciało przed mrozem. Taką burkę, zapewne jesienią 1942 roku, zamówił u Srula klient o nazwisku Kwaśniak. Pochodził z pobliskiej miejscowości Mościska. Prawdopodobnie był folksdojczem.

Wydawałoby się, że opisywanie wydarzeń, jakie miały miejsce w czasie ostatniej wojny, nie powinno sprawiać większych trudności. Jednak pamięć ludzka bywa zawodna. Informacje przekazywane z pokolenia na pokolenie stają się mniej wiarygodne. A świadków tamtych lat jest, niestety, coraz mniej. Tragiczna historia rodziny Lewickich była już wcześniej opisywana przez dobrze znanego czytelnikom „Nestora”, krasnostawskiego le-

karza i regionalistę Leszka Janeczka. Informacje, jakie pozyskał od wielu żyjących jeszcze świadków w latach 2003-2004, zamieścił w dwóch znanych mi publikacjach. Jedna z nich ukazała się w 44. numerze „Nestora” w roku 2018³. Bardziej szczegółowy opis tej tragedii został przez niego opublikowany w pracy zbiorowej, w rozdziale opisującym losy gminy Żółkiewka w okresie okupacji⁴. Porównując oba opisy tej historii, można dojść do przekonania, że dokładne ustalenie sekwencji zdarzeń dotyczących rodziny Lewickich, jest, niestety, niemożliwe.

Wracając ponownie do opisu tragedii, do jakiej doszło 81 lat temu w mojej rodzinnej wiosce i porządkując kolejność zdarzeń, głównie opierałem na informacjach udzielonych mi przez dobrze mi znanego Staszka Zwolaka. Udało mi się, jak sądzę, wzbogacić ten opis kilkoma nowymi wątkami oraz danymi metrykalnymi, wyszukаныmi w parafialnej kronice. Ale mimo wszystko, zdaję sobie sprawę z tego, że dokładne osadzenie w czasie niektórych zaistniałych sytuacji oraz ich przyczynowo-skutkowe relacje, nigdy nie zostaną do końca wyjaśnione.

W drugiej połowie 1942 roku Niemcy zaczęli masową wywózkę żydowskich rodzin z okolicznych wsi i miasteczek, najpierw do getta w Izbicy, a potem do obozów koncentracyjnych. W tym czasie zostały też zabrane rodziny Żydów chłaniowskich. Na pewien czas został tylko w Chłaniowie krawiec Srul. Robił to, co dotychczas – nadal szył. W czasie, kiedy zbliżała się zima, uszył zamówioną przez Kwaśniaka burkę. Kiedy ten zgłosił się po odbiór zamówionej roboty do Lewickich okazało się, że nie ma ani krawca, ani jego zamówionej burki. Działo się to pod koniec grudnia 1942, w okresie świąt Bożego Narodzenia. Trudno osądzić, czy rozeźlony tą sytuacją Kwaśniak miał świadomość tego, co robi. Czy zastanawiał się nad konsekwencjami swojego donosu. Jednak zgłosił ten fakt niemieckim żandarmom w Rudniku, gdzie przy Urzędzie Gminy stacjonowali Niemcy oraz granatowi policjanci. Na skutki donosu nie trzeba było długo czekać. Wyjaśnieniem tej sprawy zajęła

³ Leszek Janeczek, „Nestor”, 2 (44) 2018.

⁴ Praca zbiorowa, „Historia Żółki współczesnej Żółkiewki w powiecie krasnostawskim”, Żółkiewka 2013; Leszek Janeczek – „Żółkiewka w czasie drugiej wojny światowej”, ss. 291-493.

się grupa żandarmów z Turobina. Mieli tam swój posterunek w budynku szkolnym. Ich komendantem był oberwachmeister Max Ullmann. Głównym zadaniem turobińskich żandarmów było „pilnowanie porządku” na terenie kilku okolicznych gmin. Celem takich akcji była między innymi likwidacja osób obciążonych donosami, poszukiwania i eksterminacja Żydów, zwalczanie ruchu oporu itp. Akcjami osobiście dowodził Ullmann, przez mieszkańców pobliskich miejscowości uważany za jednego z najbardziej niebezpiecznych oprawców. Miał wiele zbrodni na sumieniu.

Niestety, nie ma dokładnych informacji o tym, kiedy i gdzie turobińscy żandarmi schwyтали krawca Srula. Nie są też znane jego dalsze losy, czyli czas i miejsce śmierci. Mógł zostać zabity w Turobinie, co wydaje się najbardziej prawdopodobne albo wraz ze swoimi współbraćmi trafił do któregoś z obozów koncentracyjnych. Zaginięcie owej burki Niemcy potraktowali jako kradzież. Według ich „praworządności” za takie przestępstwo dość często wykonywano karę śmierci. Głównym podejrzanym i poszukiwanym stał się teraz Marcin Lewicki. On, wiedząc co może mu grozić, ukrywał się. Przez jakiś czas przebywał w Ujazdowie, gdzie mieszkała rodzina jego żony. Ullmann nakazał sołtysowi Szymonowi Kwiatonowi i żonie poszukiwanego, aby Marcin Lewicki niezwłocznie stawił się na posterunku w Turobinie. Jak wspomina Stanisław Zwolak, żandarmi mogli nachodzić mieszkania Lewickich kilkakrotnie.

Akt drugi – 8 stycznia 1943

Zaczął się rok 1943. Szóstego stycznia obchodzono święto Trzech Króli. Dwa dni później, w piątek rano, Marianna Lewicka zobaczyła przez okno, że ich dom jest otoczony przez uzbrojonych Niemców. W grupie tej było też kilku należących do Ochotniczej Straży Pożarnej mieszkańców Chłaniowa, przymuszonych do udziału w tej akcji przez komendanta żandarmów Ullmanna. Możemy się tylko domyślać, jaką groźbę wzbudził w niej widok Niemców i znanych jej sąsiadów, strażaków, trzymających w ręku siekiery. Ponieważ kilka sąsiednich domów krytych słomą było pobudowanych blisko siebie, zaniechano podpalenia. Ullmann wy-

dał więc strażakom rozkaz rozebrania dachu. Ci, z siekierami weszli po drabinie na dach mieszkania i słomiane strzeszaki zaczęły spadać na ziemię. Poszukiwanego Marcina nie znaleziono. Wtedy jeden z żandarmów wszedł do mieszkania i wypędził wszystkich na podwórze. Przerażone, zerwane ze snu dzieci, ledwo ubrane, niektóre boso, wyszły na zmrożony śnieg. Marianna Lewicka wyszła z domu z najmłodszym Stasiem na rękę. Max Ullmann stał na podwórzu, blisko domu, z rewolwerem w ręku.

Sceny, jakie towarzyszyły tej potwornej zbrodni, mogły być przez świadków różnie zapamiętane. Różnie też były przekazywane innym mieszkańcom Chłaniowa. Opirając się na kilka źródeł, w tym głównie na relacjach Staszka Zwolaka, przebieg egzekucji rodziny Lewickich wyglądał tak. Pierwszą ofiarą Maxa Ullmanna był pięcioletni Staś. Drugim strzałem zabił matkę, wciąż trzymającą Stasia na rękę. Upadli oboje razem. Czy możemy sobie wyobrazić przerażenie, jakie wtedy odczuwała pozostała trójka dorosłych już dzieci? Pięcioletni Staś może nawet nie zdążył zapłakać. Jednak każde z tych trojga nastolatków zapewne zdawało sobie sprawę z tego, co się z nimi za chwilę stanie. Jako trzeci zginął Romek. Z relacji świadków wiadomo, że jedna z dziewczynek, a była to 11-letnia Irenka, próbowała szukać ratunku w ucieczce. Być może miała założone w pośpiechu nie swoje, za duże buty. Próbowała je zdjąć, a może nawet zdołała je zrzucić i chciała uciekać w kierunku pól. Nie zdążyła. Niemiecka kula była szybsza. Z czwórki rodzeństwa ona zginęła ostatnia. Porównując daty urodzenia Karoliny i Romka z datą śmierci, widzimy jak tragicznie wygląda to zestawienie. Karolina zaledwie tydzień temu, 1 stycznia, obchodziła swoje szesnaste urodziny. Romek zaledwie dwa dni wcześniej skończył czternaście lat. Jeśli chodził do szkoły, był uczniem ostatniej klasy.

Maxowi Ullmannowi wystarczyło kilka minut, a może mniej, aby z zimną krwią zamordować matkę z czwórką dzieci. Ale to nie koniec jego bestialstwa. Za współwinnych zaginięcia burki oraz tego, co było jednak dużo ważniejsze, czyli za ukrywanie Żyda, uznano również Szymona i Annę Lewickich. Przecież mieszkali obok. Jak podaje w swojej publikacji Janeczek, Niemcy zapytali sołtysa Szymona Kwiatonia, czy może on zaświad-

czyć o ich niewinności. Wobec braku takiego zapewnienia, być może sołtys sam bał się o swoje życie, żandarmi weszli do mieszkania. Anna ukryła się na strychu. Jej mąż Szymon, będąc w panice, wszedł na typowy dla wiejskich kuchni tak zwany zapiecek. Był człowiekiem dość rosnym. Piec okazał się złym miejscem na schronienie. Jego buty wystawały z brzegu. Oboje zostali szybko wyprowadzeni na podwórko i tam zastrzeleni. Było około godziny siódmej rano. Trzej dorosłych i czwórka dzieci leżało razem na czerwonym od krwi śniegu. Jeśliby brać pod uwagę tylko wartość tej nieszczęśliwej burki – jej cena – życie siedmiu osób – była okrutnie niewspółmierna. Pamiętajmy jednak, że ich głównym, wcześniejszym „przewinieniem” było ukrywanie żydowskiego krawca.

Świadkowie tej straszliwej zbrodni, trzej miejscowi strażacy, nadal przebywali na dachu mieszkania Lewickich. Byli to: Stanisław Szostak (teść Stanisława Zwolaka), Adam Hojda i jeszcze ktoś trzeci o nieustalonym nazwisku. Wszyscy byli świadomi grożącej im śmierci. Tragizm zaistniałej sytuacji opisuje w swoich tekstach Leszek Janeczek⁵,⁶. Kiedy do siedzących na dachu Ullmann głośno krzyknął: – „Komm!”, „Mężczyźni na wpół żywi zaczęli schodzić z dachu”. Jak pisze dalej – „Mogli sądzić, że teraz ich kolej”. Wszyscy znali złą sławę tego oprawcy. Mówiło się o nim, że w wykonywanych osobiście egzekucjach zabijał zwykle do 10 osób. Brakowało trzech. Stało się jednak inaczej. Nakazał strażakom wykopanie jednego, wspólnego dla tych siedmiu osób grobu. Wyznaczonym miejscem było przydomowe podwórko, choć niektórzy twierdzą, że ten prowizoryczny grób znajdował się nie przed domem, ale za stodołą.

Dodam tu usłyszaną od Staszka Zwolaka, nieznaną wcześniej historię związaną z jego teściem, naocznym świadkiem zbrodni. Stanisław Szostak znany był wśród swoich jako osoba bardzo wrażliwa. W swoim gospodarstwie nie potrafił skrzywdzić nawet najmniejszego zwierzęcia. Widok, jaki po zejściu z dachu zobaczył z bliska, spowodował dość gwałtowną reakcję. Błady, ledwie stojąc na nogach, zwrócił się do Ullmanna z prośbą o zwolnienie go od tej roboty, tłumacząc się,

że nagle rozboleł go żołądek. Ten, widząc co się dzieje, pozwolił mu odejść. Kiedy szedł w kierunku swojego domu, Szostak spotkał niemieckiego żandarma stojącego przy drodze jako jednego z zabezpieczających całą akcję. Żandarm ten stał tam i głośno płakał. Nie mógł znieść śmierci niewinnych dzieci. Powtarzał w kółko: „kleine, kleine...”.

Z pochówkiem pomordowanych wiąże się szczególnie przejmujące relacje ówczesnych świadków tej zbrodni. Zostało zapamiętane, że pierwsza ofiara tej kaźni, mały Staś, upadł razem z matką na śnieg z wyciągniętą do góry rączką. Kiedy do wykopanego w pośpiechu płytkiego dołu wkładano ciała zabitych, jako ostatniego położono Stasia. Jego wciąż skierowana do góry rączka była dla wszystkich wymownym symbolem. Skierowaną do nieba prośbą. Wołaniem o sprawiedliwość. Pamiętam, że mówiło się o tym u nas w domu. Nasza mama w swoich wspomnieniach z lat dzieciństwa i z czasu wojny, opisując tragedię rodziny Lewickich, napisała tak: - „Na podniesioną do góry rączkę dziecka, stojący tam Niemiec, długo się przyglądał”. Domyślamy się, że tym Niemcem był nie kto inny, tylko Ullmann. Możemy się teraz tylko zastanawiać, o czym wtedy myślał. Czy obudził w sobie resztki sumienia? A może szukał dla siebie usprawiedliwienia. Przecież nie on jeden, jako przedstawiciel „rasy panów”, zaprowadzał na rdzennych polskich terenach niemiecką „praworządność”.

Janeczek zbierał informacje do swych publikacji od kilku osób. Pojawiają się tam różne wersje opisu samej egzekucji, jak też tego prowizorycznego pochówku siedmiu ofiar. Strażacy przymuszeni do zakopania ciał zabitych, byli pod presją obserwujących ich pracę Niemców. Bali się popełnić jakikolwiek błąd. Skierowaną do góry rączkę Stasia trudno było zasypać warstwą zmrożonej ziemi. Jak opisuje to Janeczek: – „Chłopi delikatnie przykrywali i lekko oklepywali łopatami ziemię, nad wysuwającą się rączką dziecka”⁷. Po uformowaniu zbiorowej mogiły, być może jeszcze tego samego dnia lub później, na rozkaz Niemców strażacy rozebrali budynki Szymona Lewickiego. Drewno zostało zabrane do Turobina na opał. Została tylko pozbawiona dachu chata Marcina Le-

⁵ Leszek Janeczek, „Nestor” dz. cyt.

⁶ „Historia Żółkwi...”, dz. cyt.

⁷ Tamże.

wickiego. Nie nadawała się na opał. Była to tzw. lepianka. Wymownym obrazem tragedii był widok zniszczonych domów oraz usypana na podwórku mogiła. I ślady krwi na śniegu.

Akt trzeci – Marcin Lewicki

Trudno ustalić, kiedy Marcin pojawił się w Chłaniowie. To, co zobaczył załamało go kompletnie. Domyślił się kogo kryje usypana na podwórku mogiła. Stracił czwórkę dzieci, żonę, rodzzonego brata i bratową. Nie miał już nic. Kiedy płakał nad grobem, został zauważony przez mieszkańców Chłaniowa. Pierwszą noc po powrocie do wsi spędził u rodziny Zwolaków mieszkających nieco dalej od drogi, blisko łąk. Tam dowiedział się o wszystkim, co się stało. Powiedziano mu też, że Niemcy nałożyli na wioskę obowiązek schwywania go. Radzili mu, aby ukrywał się gdzieś dalej, aby tu nie wracał. Być może uratowałby życie. Następnego dnia przeniósł się do rodziny mieszkającej w pobliskim Władysławinie. Tam został znaleziony przez miejscowych strażaków, którzy wiedząc o jego powrocie do wsi, wyjechali konno w kierunku Bzowca. Na temat tej akcji poszukiwawczej, krążą do tej pory różne, sprzeczne ze sobą wersje. Według jednej z nich, Marcin Lewicki sam zgłosił się do strażaków, mówiąc, że nie ma już po co żyć. Że nie ma zamiaru dalej się ukrywać.

Prawdopodobnie przy eskorcie kilku chłaniowskich strażaków został zabrany na sanie i wyruszyli w drogę do Turobina. Marcin, zdając sobie sprawę, że ta podróż jest jego ostatnią, poprosił aby najpierw zawieziono go do księdza. Chciał się wypowiedzieć. Sakramentu spowiedzi udzielił mu proboszcz Kondrat, który znając całą sytuację, był świadomy powagi tej chwili. Jak opowiadał mi Staszek Zwolak, mimo braku łączności, jaką mamy teraz, jakimś sposobem, metodą poczty konspiracyjnej, szybko w Turobinie dowiedziano się o tym, że wiozą z Chłaniowa Marcina Lewickiego. Posterunek żandarmerii mieścił się w budynku szkolnym stojącym niedaleko młyna. Mieszkający w Turobinie Józef Zwolak, stryj Staszka, zapewne znający osobiście wiezionego skazańca, celowo wszedł na najwyższą kondygnację młyna, aby obserwować dalszy bieg wydarzeń. Przez okno od strony

szkoły widział dokładnie ten moment, kiedy Marcin Lewicki wszedł do zajmowanych przez Niemców pomieszczeń. Po niedługim czasie, który trwał może do kilkunastu minut, Marcin i eskortujący go jeden z żandarmów wyszli na plac szkolny. Tam w niewielkiej odległości od posterunku, Marcin został zabity strzałem z pistoletu. Czy tym żandarmem był Max Ullmann, czy też ktoś inny – nie wiadomo. W takich przypadkach, a było ich wiele, ofiary zbrodni popełnianych przez niemieckich żandarmów chowano bez żadnego ceremoniału na parafialnym cmentarzu. Tam też, w nieznanym do tej pory miejscu, został pochowany Marcin Lewicki. Był ostatnią, dziewiątą ofiarą zbrodni, dokonanej na rodzinie Lewickich.

Pamięć nie podlega przedawnieniu

Jak zauważa w swoich komentarzach Janeczka, okoliczności śmierci Marcina Lewickiego, w tym udział kilku miejscowych mieszkańców w jego dostarczeniu do Turobina na posterunek, są przyczyną pewnego rodzaju milczenia, na jakie można się natknąć, badając tę tragiczną historię⁸. Wydaje się też, że dalszą tego konsekwencją było to, że znajdujący się na parafialnym cmentarzu wspólny grób Marianny Lewickiej i jej czworga dzieci, był przez wiele lat grobem bezimiennym. Tablica z nazwiskiem i imionami pochowanych tam ofiar zbrodni została tam umieszczona dopiero kilka lat temu.

Wracając jeszcze do roku 1943, należy wspomnieć o tym, że wspólna mogiła siedmiu osób zabitych 8 stycznia, usypana na placówce Lewickich, była tam jeszcze przez prawie trzy miesiące. Po śmierci Marcina, ostatniego z obu rodzin Lewickich, nie było nikogo, kto by się odważył coś z tym zrobić. Prawdopodobnie Niemcy wydali nakaz mieszkańcom wioski, aby zostawić mogiłę jako przestrożę dla innych. Dopiero pod koniec marca, doszło do ekshumacji i przeniesienia ciał pomordowanych na parafialny cmentarz. Zajął się tym, być może pod namową księdza proboszcza, mieszkaniec Majdanu Wierchowiańskiego, człowiek o nazwisku Wal. Dopiero wtedy zapisano

⁸ Tamże.

w księdze parafialnej akty zgonu Anny i Szymona Lewickich. Było to 24 marca 1943 roku. Zapis w akcie nr 25 podaje, że w kancelarii parafialnej stawili się Andrzej Miszczak i Szymon Kwiatkoń i oświadczyli Nam, iż dnia ósmego stycznia roku bieżącego o godzinie siódmej umarł we wsi Chłaniów Szymon Lewicki, lat pięćdziesiąt jeden mający, rolnik urodzony i zamieszkały we wsi Chłaniów, syn zmarłych Franciszka i Marianny z Miszczaków... Dodane jest w akcie zgonu enigmatycznie brzmiące wyjaśnienie, że: ...*akt ten opóźniony z powodu niestawienia się stawających we właściwym czasie*... Kolejny akt nr 26, również spisany w obecności tych samych świadków 24 marca, dotyczył zgłoszenia śmierci żony Szymona, Anny z Dereweckich, mającej lat pięćdziesiąt dwa. Oboje zostali pochowani we wspólnym grobie razem z ich synem Tadeuszem. Pod oboma aktami widnieje podpis jednego ze świadków Andrzeja Miszczaka. W kancelarii parafialnej można też znaleźć alfabetyczny wykaz osób zmarłych w roku 1943. Są tam wymienione nazwiska Szymona i Anny Lewickich. Brakuje zamordowanej w tym samym dniu Marianny Lewickiej i jej czworga dzieci. Co było powodem takiej nieścisłości – trudno dociec.

№	Imię i nazwisko	Wiek
33	Kurak Józef	60
34	Kurak Józef	73
35	Kurak Józef	64
36	Kurak Józef	66
37	Kowalski Stanisław	71
38	Kurak Józef	11
39	Kurak Józef	25
40	Kurak Józef	26
41	Kurak Józef	55
42	Kurak Józef	77
43	Kurak Józef	67
44	Kurak Józef	74
45	Kurak Józef	17
46	Kurak Józef	13
47	Kurak Józef	18

Fragment wykazu zmarłych w parafii Chłaniów za rok 1943.

Pamięć o tej tragedii została po raz kolejny wydobyta z mroku zapomnienia w 2021 roku, kiedy został nagrany i wyemitowany reportaż telewizyjny ukazujący okoliczności tragedii, jaka miała miejsce w Chłaniowie 8 stycznia 1943 roku. Stało się to dzięki serii reportaży lubelskiej telewizji, realizowanych pod hasłem „Polacy na ratunek Żydom”. Pro-

pozycja, aby tematem jednego z odcinków tej serii była historia Lewickich wyszła ze strony Anny Podgórskiej, dyrektorki GOK w Żółkiewce. Reportaż poświęcony tej zbrodni, opatrzony datą emisji 29 V 2021, nosi tytuł „Tragedia rodziny Lewickich”. Praca ekipy telewizyjnej przyniosła wymierny skutek. Przy współdziałaniu sołtys Chłaniowa Marii Wardy z władzami gminy Żółkiewka, została ufundowana płyta z nazwiskami pięciu ofiar pochowanych w jednej, do tej pory jakby zapomnianej mogile. Teraz na tym samym miejscu w Chłaniowie mieszka trzecie pokolenie Lewickich. To rodzina Damiana. Jest on wnukiem Pawła, rodzonego brata Marcina. Właśnie dzięki Damianowi, płyta nagrobna z nazwiskami dzieci i ich matki, została umieszczona na kamiennej, solidnej podstawie.



Grób Szymona i Anny Lewickich z synem Tadeuszem.



Grób Marianny Lewickiej z czworgiem dzieci, zamordowanych 8 stycznia 1943 roku.

Epilog

O mordercy rodziny Lewickich – Maxie Ullmannie, wiadomo niewiele. Nie znamy ani daty, ani miejsca jego urodzenia. W zasobach archiwalnych Lubelskiego Oddziału IPN udało się tylko odnaleźć informację o jego śmierci⁹. Zginął 29 marca 1944 roku, w walce z miejscowym oddziałem partyzantów. Jak zapisano w niemieckim raporcie – poległ w walce z „Banditen”. Stało się to na terenie gminy Żółkiewka, koło wsi Olchowiec. Inna informacja podaje, że Max został zabity pod Borowem. Kat poniósł zasłużoną karę. Znane są świadectwa tych, którzy otarli się o śmierć. Podobno wtedy w ułamku sekundy, przewija się film z całego życia. Można by więc zadać całkiem zasadne, niebanalne pytanie: co Max widział w chwili śmierci, czy zobaczył uniesioną do góry rączkę Stasia Lewickiego?

Ullmann	
<small>(nazwisko)</small>	<small>(imię)</small>
<small>Przynależność organizacyjna:</small>	
<small>stopień:</small>	Bez. Oberweichte,
<small>numerowane stanowisko:</small>	Pluton Żand. Krawczyków
<small>Opis czynów przestępnych:</small>	
<small>Nazwa i adres archiwum:</small>	AGKBZH Warszawa
<small>sygnatura akt, tom (teczka):</small>	205 Żandarmeria Lublin
<small>strona (w. n.) dokumentu:</small>	304
<small>W/w dotychczas interesowali się:</small> <small>(os. w. pisma, data)</small>	
<small>Podane informacje:</small>	29.III.1944 poległ w walce z "Banditen" koło miejscowości Olchowiec

Informacja o śmierci Maxa Ullmanna – na podstawie akt niemieckiej żandarmerii.

Do zamknięcia opisu tragedii rodziny Lewickich należy dodać coś jeszcze. Krawiec Srul, który uszył burkę, zapewne nie przeżył swoich dobroczyńców, u których mieszkał. Również tragicznie zginął Kwaśniak, ten co ową burkę zamówił. Zginął niedługo po 8 stycznia. Został zastrzelony we własnym mieszkaniu przez nieznaną sprawców. Natomiast, jak na ironię losu, po pewnym czasie, wiosną 1943, burka została odnaleziona. Ktoś znalazł ją na polach za wsią. Już dawno

o tym różnie mówiono. Albo tam została schowana przez sprawcę jej zaginięcia, lub też, wobec ogromu ludzkiego nieszczęścia, ta sama osoba oddała burkę, podrzucając ją w widoczne miejsce. Jak było naprawdę – tego się już chyba nie dowiemy.

tekst i fotografie
Józef Adam Dąbek

Bibliografia

Archiwum parafii Chłaniów.

Leszek Janeczek, „Nestor”, 2 (44) 2018.

Praca zbiorowa, „Historia Żółtki współczesnej Żółtkiewki w powiecie krasnostawskim”, Żółtkiewka 2013; Leszek Janeczek – „Żółtkiewka w czasie drugiej wojny światowej”, ss. 291-493.

Materiały Archiwum Lubelskiego Oddziału IPN.

Józef Adam Dąbek urodzony w 1948 roku, dzieciństwo spędził w wielopokoleniowej rodzinie w Chłaniowie. Po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Wierzchowinie, a następnie Liceum Ogólnokształcącego w Wysokiem, studiował fizykę na UMCS w Lublinie. Pracę zawodową związał z uniwersyteckim Instytutem Fizyki. Jeszcze jako student V roku, w ramach szeroko pojętej współpracy nauki z przemysłem, został na kilka lat zatrudniony na etacie WSK Świdnik. Po powrocie na uczelnię uzyskał stopień doktora nauk fizycznych. Jako adiunkt zajmował się głównie dydaktyką i fizyką doświadczalną. Specjalizował się w dziedzinie spektrometrii mas i badaniach izotopowych. Od czasu podjęcia studiów mieszka w Lublinie. Po przejściu na emeryturę ponownie stał się „studentem” i bierze udział w zajęciach Lubelskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Hobbystycznie interesuje się numizmatyką i historią regionu, którą od kilku lat przedstawia w periodykach „Nestor” oraz „Dominik Turobiński”.

⁹ Materiały Archiwum Lubelskiego Oddziału IPN.

Waldemar Seroka

Gefangenennummer 11590



*Kriegsgefangenenpost – to brzmi jak tajemnica,
Kriegsgefangenenpost – to pociągów daleki świst.
Kriegsgefangenenpost – to Twój dom, numer, ulica
Kriegsgefangenenpost – to czekanie na Twój list...*
(A. Nowicki)

W domu moich dziadków, odkąd pamiętam, na zielonej futrynie kuchennych drzwi srebrzyła się niklowana kropielnica z wizerunkiem Chrystusa dźwigającego krzyż. Pamiętam, że jak tylko za-grzmiąło, to babcia żegnała się wodą święconą. Czyniła też tak, gdy wybieraliśmy się na odpust do Gorkowa lub Starego Zamościa, albo jak jechała z dziadkiem na „jarmak” do Izbicy. Kiedyś zakupiłem sobie z tego rytuału. Jej reakcja była zaskakująca: – *Gdyby nie ta kropielnica, szyderco! – nie miałbyś dziś dziadka, a może i ciebie by na tym świecie nie było...*

I usłyszałem opowieść, jak idącego na bolszewicką wojnę młokosa żegnała wodą święconą jego rodzona matka. I chociaż było już z nim kiepsko, choć był już jedną nogą na tamtym świecie – to jednak wrócił. – *A gdy matki zabrakło* – ciągnęła w uniesieniu swój wążek babcia – *to ja go tak żegnałam idącego na wojnę z Niemcami. I choć go już optakałam, choć pogodziłam się z jego śmiercią – to wrócił!* Słowom babci przytakiwała spod kądzieli „Zońka” – młodsza siostra mojego dziadka.

Mijały lata, a kropielnica wciąż sobie wisiła, aż przyszedł czas, gdy stary dom trzeba było rozebrać. Wyniosłem ze strychu trochę szpargałów, lecz po kropielnicy nie było śladu. Dopiero niedawno odnalazłem ją w „zbiorach” po mojej mamie. Wróciły zaraz dawne wspomnienia... I choć czas zatarł ślad, to w pamięci tlą się jeszcze strzępy rozmów przy nafcie.

W Godnie Święta 1939 r. Wigilia wypadła w niedzielę, ale wszyscy szykowali pośnik na sobotę. Babcia już od rana miała pełne ręce roboty, bo czekało ją jeszcze pieczenie chleba. Jej krzątanie zakłó-



*Mój dziadek Stanisław Klim vel Ilczak (z prawej)
i Jan Nizioł z Tarnogóry. Rok 1920.*

cił umyślny z Deutsche Post Osten w Izbicy, który przyniósł przesyłkę. Była to zwykła karta pocztowa tzw. „Postkarta” z życzeniami *Fröhliche Weihnachten*, na której, wśród różnych pieczęci, dostrzegła znajomy charakter pisma.



Karta pocztowa z Oflagu II C w Woldenbergu.

Stach żyje! Stach żyje! – zaczęła spazmować oszolomiona nagłą nowiną. Jeszcze w uszach dźwięczały jej, niczym wyrok, słowa naocznego świadka: – *Twój Stach zginął na moich oczach pod Tomaszowem!* Jeszcze w oczach miała obraz rozkopanych tam mogił żołnierskich – a tu taka wiadomość! Zleciał się z piskiem cały babiniec: dwie siostry Stacha i dwie jego córki... Atmosfery tej chwili nie sposób opisać.

Krieg – rozumiesz – to wojna,

Gefangene – jeniec – to ja ...

Czy już jesteś spokojna,

Gdy znasz te słowa dwa?

Babcia była już spokojna, swe udręczenie wymieniła na ulgę. Na ulgę, która z czasem stała się jej nowym udręceniem. Na pięć lat!

Mój dziadek Stanisław Klim vel Ilczak urodził się w Ostrzycy jako siódme dziecko Józefa Klima (vel Ilczaka) i Marianny z Czubów w roku 1902. Jednak w chwili swoich narodzin był właściwie ich drugim dzieckiem. Wcześniej bowiem zmarło pięcioro jego rodzeństwa w jeden majowy tydzień owego roku. Tę straszliwą epidemię tyfusu przeżyła tylko najstarsza Katarzyna. Po Stanisławie, w roku 1906, przyszła na świat jeszcze Zofia. Obydwie niezamężne siostry mieszkały razem z dziadkami.

W roku 1916 Stach rozpoczął edukację w Jednoklasowej Szkole Ludowej III Stopnia. Po trzech latach nauki potrafił przelać na papier wszystko, co pomyślała głowa – pismem starannym, zamasytym, choć nie zawsze zgodnym z ortografią. Nie miał jeszcze 18 lat, gdy został powołany na wojnę z Bolszewikami. Było już po „cudzie nad Wisłą”, gdy nagle zachorował. Na tyfus! Czternastoletnia wówczas Zońka odnalazła go ledwie żywego, w jakimś lazarecie aż za Lublinem, gdzie doszła piechotą z tobołkiem gryczczuchów. Może to one sprawiły, że stanął na nogi i zdążył wrócić „do szeregu” jeszcze przed zakończeniem wojny.

31 sierpnia 1939 roku, jak większość rezerwistów, objęty został mobilizacją powszechną. Jego macierzystą jednostką (mobilizacyjnym przydziałem) był 7 Pułk Piechoty Legionów w Chełmie. Ale gdy przybył do Komendy Rejonu Uzupelnień,

pułk, po „kartkowej” mobilizacji z 24 sierpnia, osiągnął etap wojenny i był już w drodze na pozycje odwodowej Armii „Prusy” w rejonie Radomia i Skarżyska.

Po dziesięciu dniach zmagañ wojennych Chełm Lubelski stał się głównym punktem zbornym dla cofających się na wschód oddziałów WP. Były to w większości oddziały z rozbitej Armii „Prusy”, z których, po uzupełnieniu stanów, gen. Stefan Dąb-Biernacki zaczął formować nową grupę armii – Front Północny.

Z nadwyżek mobilizacyjnych 7, 8 i 50 pułku piechoty utworzono trzy bataliony wartownicze: 21 (lubelski), 22 (chełmski) i 23 (kowelski). W literaturze wojennej nazywano je często batalionami lubelskimi – głównie z racji terytorialnej przynależności ww. pułków do Dowództwa Okręgu Korpusu nr II w Lublinie. Dziadek otrzymał przydział do 22 batalionu mjr. Lenkiewicza. Bataliony te weszły w skład kombinowanego zgrupowania piechoty płk Ocetkiewicza.

Zgrupowanie to jeszcze 20 września stacjonowało w Chełmie, będąc w fazie organizacji, a trzy dni później uczestniczyło w drugiej bitwie tomaszowskiej. Generał Dąb-Biernacki wydał swym wojskom rozkaz do ogólnego natarcia na Tomaszów o świcie 23 września. Armia generała Przedzymirskiego w składzie dwóch dywizji piechoty, brygady kawalerii i brygady ON, od rana 22 września rozpoczęła marsz do bitwy. Grupa płk Ocetkiewicza miała ją osłaniać od południa.

Do pierwszych walk doszło w nocy 22 września pod Tarnawatką i Antoniówką. Następnego dnia bataliony płk. Ocetkiewicza, będące w trakcie natarcia na Werszyczycę, zostały zaatakowane przez niemieckie czołgi od strony Rawy Ruskiej. Pod silnym ogniem bitym na wprost z czołgowych dział, zgrupowanie Ocetkiewicza rozproszyło się, ponosząc dotkliwe straty w zabitych, rannych i wziętych do niewoli.

Z opowieści dziadka pamiętam, że w krytycznym momencie chciał się schować za stogiem siana. Jednak wybuch pocisku zdmuchnął go z powierzchni ziemi. Po chwilowej utracie świadomości, wygramolił się spod siana i zamiast „wiać” do przodu, szukał karabinu. Nim wrócił w pełni do zmysłów, był już w rękach niemieckich fizylierów.

Tę niefortunną próbę wykorzystania przez dziadka naturalnej osłony widział jego kolega, z którym cały czas trzymali się razem. Był on święcie przekonany, że Stach zginął. Po szczęśliwym powrocie do domu w Izbicy, powiadomił o wszystkim babcię, która wraz z nastaniem przymrozków pojechała końmi aż pod Jarczów szukać poległego męża.

Tymczasem Stach po paru godzinach znalazł się na punkcie zbornym w Tomaszowie. Z kartoteki osobowej Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach wynika, że: *Stanisław Klim syn Józefa, urodzony 3 IX 1902 roku został wzięty do niewoli niemieckiej w dniu 23 IX 1939 roku jako strzelec 7 Pułku Piechoty i przebywał w obozach jenieckich: Stalag IV A Elsterhorst, następnie został przeniesiony do Oflagu IV A Hohnstein. Ww. przebywał jeszcze w Oflagu IV B Königstein skąd został przeniesiony dnia 17 VI 1940 do Oflagu II B Arnswalde. Posiadał numer jeniecki 11590. Innych danych brak.*

Do informacji o batalionie wartowniczym (22 Wachtbatalion) i o Tomaszowie jako miejscu wzięcia do niewoli dotarłem trochę później. Nie wypełnia to jednak pięcioletniej luki w jenieckiej biografii mojego dziadka. Z zachowanej korespondencji wynika dowodnie, że już co najmniej od października 1940 roku, aż do lipca 1944 przebywał w Oflagu II C w Woldenbergu. Później, gdy listy z terenu III Rzeszy nie dochodziły do GG, nie ma formalnych dowodów na jego dalszy pobyt w niewoli, lecz dla rodziny sprawa jest oczywista.



Grupa jeńców, oficerów i szeregowych. Stanisław Klim 6. od lewej w 3. szeregu od góry. Oflag II B Arnswalde (Choszczno). Rok 1940.



Uczestnicy kursu rolniczego. Stanisław Klim stoi 4. od prawej. W środku (z książkami) kierownik kursu ppor. inż. Józef Zoll.



Moja babcia Władysława z córkami: Czesią, moją mamą (z lewej) i Jadzią. Ostrzyca 1940.



Niedziela w obozowej palmiarni. S. Klim (z prawej) z kolegą (NN). Woldenberg 1943.

Wróćmy jednak do punktu zbornego w Tomaszowie Lubelskim. Po kilku dniach koczowania pod gołym niebem, kolumny jeńców zaczęły „spływać” do Bełżca. Stamtąd przeładowane eszelony ruszały w nieznaną. W październiku transport dziadka dotarł do Hoyerswerda, małego miasteczka w Saksonii, około 40 kilometrów od Drezna. Tutaj „czekał” już na nich Stammlager – obóz dla szeregowców i podoficerów – Stalag IV A Elsterhorst.

Po przybyciu na miejsce, wszystkich jeńców poddano badaniom lekarskim. Choć ich stan fizyczny był fatalny, prawie wszyscy zostali uznani za zdrowych, czyli zdolnych do pracy fizycznej. Przydzielano ich zaraz do różnych grup roboczych i wysyłano do pracy w rolnictwie, leśnictwie, przy budowie dróg, mostów itp.

Takie Arbeitskommanda liczące po kilkuset jeńców, dowożono do miejsc pracy ze stalagu, lub organizowano kwatery na miejscu u „pracodawców”. Dziadek trafił do wielkiego majątku na Rugii, gdzie do zimy pracował przy kopaniu buraków cukrowych. Za pracę otrzymywał psie grosze w bonach (lagermarki), które mógł wydać tylko w kantine obozowej, ratując się w ten sposób przed głodem i wycieńczeniem.

Praca na roli (nawet u Niemca) była dla niego świętością, więc nic dziwnego, że „dorobił” się przepukliny. Po operacji, nie mogąc już ciężko pracować, został przeniesiony do Offizierlager – obozu dla oficerów w Hohnstein – Oflag IV A. Potem przebywał krótko w twierdzy Königstein nad Łabą we wschodniej Saksonii (Oflag IV B), później w Oflagu II B Arnswalde (Choszczno) na Pomorzu Szczecińskim. Tułaczkę po oflagach zakończył w Woldenbergu, czyli w Dobiegniewie (lubuskie).

Oflag II C był jednym z największych obozów jenieckich. Przebywało tu bez mała 6000 oficerów i 700 szeregowców. Oficerowie zakwaterowani byli oddzielnie od szeregowych w 25 murowanych barakach i zgodnie z Konwencją Haską nie byli zmuszani do żadnych prac z wyjątkiem obsługi samych siebie: sprzątanania swoich kwater, podziału żywności, palenia w piecach, itp. Sprzątananie korytarzy, prace w warsztatach, kuchni i szereg innych, związanych z ogólną obsługą obozu czynności, wykonywali szeregowcy z kompanii gospodarczych.

Oficerom przysługiwał żołd w zależności od posiadanego stopnia: od 20 do 50 lagermarek na dekadę. Szeregowcom żołd nie przysługiwał, jednak każdy z oficerów przeznaczał na ich fundusz część swoich środków, dzięki czemu mieli po parę groszy „przy duszy” na swoje potrzeby. Niektórzy z jeńców, po wymianie „lagermarek” na reichsmarki, wysyłali zaoszczędzoną gotówkę do rodzin w kraju.

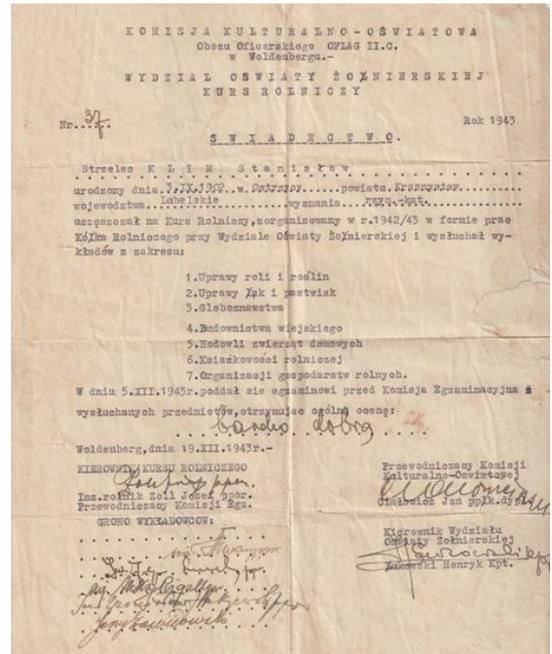
Kochana moja Władziu, ja jestem zdrów z łaski Pana Boga, czego i Wam wszystkim życzę z całego serca. Rzeczy, które miałem w depozycie to Ci dzisiaj wysłałem paczką. Odpisz mi czy pieniądze dotarły – pisał dziadek 2 czerwca 1943 roku i nie był to jedyny jego list o „finansach”.

Szczegółowy opis losu jeńców przekracza moje możliwości i ramy tego opracowania... Oflag II C był bowiem fenomenem pośród wszystkich obozów dla polskich jeńców wojennych. Przez 5 lat niewoli społeczność jeniecka stworzyła tu namiastkę życia na wolności. Jej istotę najdobitniej zsyntetyzował w swojej „Wyprawie do Oflagu” były jeniec Marian Brandys:

Na skrawku wrogiej ziemi ogrodzonej kolczastym drutem pozwolono nam bawić się w imitację życia z własnym teatrem i kawiarnią, z własną polityką i ekonomią, z własną pocztą, prasą, literaturą, kursami języków obcych, a nawet z sądami honorowymi. Odebrano nam tylko trzy prawa: prawo do przekraczania obręczy drutów kolczastych, prawo do normalnej pracy fizycznej, prawo do wyłączenia się, choćby na chwilę, z towarzystwa stu pięćdziesięciu współlokatorów baraku.

Oboz w Woldenbergu był miejscem bogatego życia naukowego, kulturalnego i towarzyskiego. Działały tu liczne koła naukowe: lekarzy, farmaceutów, prawników, socjologów, rolników, leśników, spółdzielców. Istniały trzy chóry, trzy orkiestry (wielka symfoniczna, mandolinistów i jazzowa), trzy biblioteki (50 tys. tomów) i dwa teatry (dramatyczny i kukielkowy)¹. Swoją pracownię miał tu wybitny rzeźbiarz Stanisław Horno-Popławski, który wykształcił liczne grono uczniów. Kwitła twórczość literacka, oświata i szkolnictwo.

To tutaj mój dziadek, syn pańszczyźnianego chłopca, po raz pierwszy w życiu oglądał na żywo klasykę teatralną, słuchał utworów Moniuszki, Chopina, Mozarta i Verdiego, obserwował zmagania sportowców podczas niezwykłych igrzysk olimpijskich jeńców wojennych w 1944 roku. Tutaj, przez cały rok uczestniczył w kursie rolniczym zorganizowanym w formie prac Kółka Rolniczego przy Wydziale Oświaty Żołnierskiej. I tutaj przez pięć lat bezustannego czekania na list, zżerała go tęsknota za najbliższymi.



Świadectwo ukończenia kursu rolniczego, 1943 r.



Kartka pocztowa

¹ W Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie można obejrzeć 8 oryginalnych fotografii (ze zbioru mojego dziadka) z działalności teatru dramatycznego pod kierownictwem Kazimierza Rudzkiego w latach 1940-1944.



Kartka świąteczna

Jeńcowi wolno było wysłać dwa listy i dwie karty pocztowe w miesiącu. Każdy list (karta) zawierał blankiet zwrotny z adresem jeńca i tylko na nim można było odpisać. Korespondencja podlegała cenzurze i dopiero po ostemplowaniu („Gepüft“) trafiała do rąk adresatów. Na nic innego brać jeniecka nie wyczekiwała z takim utęsknieniem, jak na listy, które były jedynym pośrednikiem łączącym ich z rodziną i krajem, kojącym smutek i niosącym pociechę. Dziadkowi zaś dawały jeszcze możliwość trzymania ręki na pulsie swojego gospodarstwa:

Kochana Żono. Ja do domu wrócę dopiero aż będzie koniec. Nie mogę często pisać i rada moja będzie skąpa. Parobka trzymaj, Wawrzyńca znam – to dobry człowiek. Zgódź go jakoś, bo będzie Ci potrzebny przy burakach i tytoniu. Żrebaka, jak zimno i deszcz, nie zaprzęgaj, bo się zmarnuje. Napisz mi jak żytoście wymłócili i czy jest w niem dużo kąkolu? Co się stało z burakami? Proś niech Ci zmniejszą kontyngent, bo nie wytrzymasz. I nie martw się, pamiętaj o zdrowiu i dzieciach.

Innym razem łagodził rodzinne nieporozumienia na tle majątkowym:

Co do siostr, to ubolewam nad tym, że Kasia zapisała mi swoją część i ostała się na niczem. Jak chce, to jej oddaj jeden kawałek za laskiem i te trzy pod leśną drogą. Jak się zgodzi, to niech mi

o tym napisze Zosia, bo ja pamiętam te słowa mamy, żeby im krzywdy nie zrobić.

A gdy doszło do wysiedleń w Zamojskiem, wiadomość o tym, mimo cenzury, dotarła też i za druty. Dziadek mocno to przeżywał:

Napisz mi co z tymi wysiedleniami. Ciągle mnie to niepokoi, czy Was gdzie nie wywieźli, czy jesteście na miejscu i zdrowi. Może Matka Boska nas nie opuści, przecież Ty wywiązujesz się z kontyngentu na czas. Ta zima [1943] będzie najcięższa, czy choć masz czym palić, jak nie, to rznij te sosny za polami...

W piątym roku wojny wszyscy oczekiwali rychłej klęski Niemców. Połowa Polski była już wolna, a 25 I 1945 roku po raz pierwszy słychać było w Woldenbergu potężne detonacje dochodzące ze wschodu. Władze niemieckie zarządziły ewakuację obozu z zamiarem przejścia na lewy brzeg Odry i marszu w głąb Rzeszy. Plan ten udaremniły sowieckie czołwki pancerne, które ogarnęły część jenieckiej kolumny (tzw. grupę „Wschód“) w folwarku Deetz (Dziedzice) pod Barlinkiem 30 I 1945 r.

Jeńców zamknięto w stodołach. W pewnym momencie wjechały do wsi dwa radzieckie czołgi. Jeden z nich oddał dwa strzały. Drugi pocisk wybuchł w stodołę, zabijając i raniąc wielu oficerów. Landwerzyści [eskorta] usiłowali bronić się, zostali jednak szybko zmuszeni do ucieczki. W walce z nimi wzięli udział również oficerowie polscy. Nie obyło się bez dalszych ofiar. Ogółem poległo 22 oficerów, a 34 zostało ciężko rannych².

W majątku Deetz doszło do zawarcia niezwykłego, niespotykanego w historii tej wojny, spontanicznego aliansu „wrześniowych“ żołnierzy WP z ich dotychczasowymi wrogami spod znaku czerwonej gwiazdy.

W tejże chwili zza budynku owczarni rozległ się terkot niemieckiego rkm-u, a w sekundę potem gruchnął wystrzał z działa radzieckiego czołgu. Zdrętwiałem. Z wnętrza owczarni rozległy się jęki rannych, buchnęła wrzawa okrzyków, wynoszono rannych, wołano lekarzy. Najwidoczniej pociski armatnie eksplodowały ze zwłoką po przebiciu cienkiej ścianki pruskiego muru. Przecież strzelający nie miał pojęcia, kto się tu znajduje.

² Patrz: Juliusz Pollack *Jeńcy polscy w hitlerowskiej niewoli*, MON 1982, s. 263



Grupa jeńców z kompanii gospodarczej. S. Klim pierwszy z prawej w środkowym szeregu. Woldenberg 1944

Tymczasem z prawej strony, od kościoła, nadjeżdżał następny czołg. Podskoczyłem do wrót i wybiegłem na drogę z wzniesionymi rękami, krzycząc co sił: *Stój, nie strzelaj, zdieś dwa tysiąca wojennopленных Polaków. Czołg stanął, podobnie jak pierwszy z nich. W bliższym mnie czołgu, przyjazne oblicze lejtnanta i gest jego ręki zachęciły mnie do wskoczenia na pokład wozu. Na pytanie: kakaja zdieś obstanowka? – wyciągnąłem z rękawa mapę, objaśniłem nasze położenie i podałem siły Niemców, którzy nie otwierali jeszcze ognia.*

Mój rozmówca zażądał, abym wezwał kolegów do opróżnienia dla czołgów pola walki. Rozkrzyczałem się ponownie z całej mocy płuc: kto żyw, wiać do wsi, a potem na Trampe [Tra-pin]! Lawina czekających na hasło kolegów runęła przez bramę, kierując się wedle mego wezwania (...). Obok mnie na czołgu stanął Staszek Łętowski. Dajcie mnie aruzjo – prosił dowódcę czołgu. Na drugi czołg również wskakiwali koledzy. Czołgiści podawali im wyciągnięte z wnętrza wozów zapasowe pepesze. Uzbrojeni przez czołgistów koledzy trzymali się grupkami po 2-3 wraz z radzieckimi „awtomatczikami” leżącymi do tej pory na obu czołgach. Mijając kościół w Dziedzicach, spojrzeliśmy na zegar. Była niemal dokładnie godzina dwunasta. W kilka minut potem rozległa się wokół dworu strzelanina. Czołgi wsparte tyralierą naszych kolegów ruszyły na Niemców³.

Jeszcze nie opadł bitewny zgiełk, jeszcze nikt nie myślał, co będzie dalej, gdy pierwsi ochotnicy szykowali się w podróż do domu: *Jakiś kapitan – opowiadał Dziadek – stojąc na skrzyni trofeijnej ciężarówki na holzgas, zwolował chętnych do wyjazdu. Panował rozgardiasz – nikt nie dowodził, nikt niczego nie zabraniał, więc bez namysłu wgramoliłem się na skrzynię „zarekwirowanej” we dworze ciężarówki. Sowiecki oficer kazał wywieźć czerwoną płachtę i ruszyliśmy zaraz w drogę, pod prąd nacierających z impetem Sowietów.*

Ci, co zostali, pomaszerali później na Wieleń, w którym przed wojną zaczynała się Polska (Poznań był jeszcze w rękach niemieckich). Jeńcy z grupy „Zachód” w liczbie około tysiąca ludzi, jeszcze przed pojawieniem się Sowietów wyruszyli na północ i w Dąbiu (Altdamm) przekroczyli Odrę. Dopiero 3 maja 1945 roku zostali oswobodzeni z obozu w Lubece przez wojska brytyjskie.

*

Tymczasem dziadek, po kilku dniach niezwykłej wręcz podróży, dotarł do Rejowca. Krasnystaw był już w zasięgu jego nóg, ale dzięki okazjonalnej podwodzie przybył tu wcześniej niż zaplanował. Kapryśny, lutowy dzień zbliżał się do końca. Babcia miała już zapalać lampę, gdy w drzwiach stanął zarośnięty, wynędzniały tułacz. W ośnieżonym płaszczu wojskowym i rogatywce, ze zrolowanym brudnym kocem przewieszonym przez ramię, wyglądał jak maruder. Wiązany na troki worek postawił u nogi i prawą ręką sięgnął do kropielnicy. Wszyscy zamarli. Dopiero brzęk rozbiętego klosza od lampy wyrwał ich z letargu.

Waldemar Seroka

Waldemar Seroka - urodzony w 1949 roku, emerytowany oficer Wojska Polskiego, syn żołnierza AK i zesłańca Sybiru, regionalista i pasjonat historii Armii Krajowej. Autor publikacji na temat żołnierzy Armii Krajowej z Zamojszczyzny.

³ Patrz: mjr dypl. Witold Wróblewski *Dzień wyzwolenia*, ss. 6-7. Z archiwum Oflagu II C – wspomnienia jeńców.

Monika Nagowska

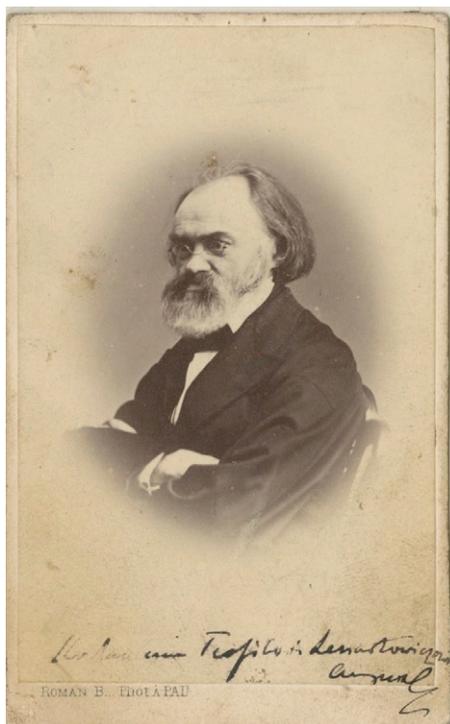
Cieszkowski – Lenartowicz – Kraszewski „sercem, duchem najbliżsi” – część 2



Trzech przyjaciół z Królestwa Polskiego, których polityka państw zaborczych rozrzuciła po Europie – do Wierzenicy w Księstwie Poznańskim, Drezna i Florencji – zamierzało spotkać się w 1871 r. we Włoszech. Oprócz emigracyjnego losu, łączyło ich wspólne pragnienie odzyskania ojczyzny oraz szereg listów przesyłanych w dowód miłości i wzajemnego zainteresowania. August Cieszkowski bywał w wielu krajach i miastach. Choć nie omijały go nieszczerstwa, miał stabilną sytuację finansową i mógł swobodnie podróżować. Prowadził działalność niepodległościową, naukową i społeczną na ile tylko pozwalały okoliczności. Co najmniej od lat 60. kontaktował się z Lenartowiczem i z tego mniej więcej okresu (według niepotwierdzonych przekazów) pochodziło zaginione popiersie filozofa wykonane przez Teofila. Podobno wydało się ono Cieszkowskiemu zbyt wyidealizowane, miało być wykonane z marmuru. Los tej rzeźby jest nieznaną i dopóki nie zostaną odkryte kolejne źródła wiedzy o tej pracy „lirnika mazowieckiego”, można tylko wierzyć, że istniała. Obecnie uznaje się, że jedynym popiersiem Augusta wykonanym przez artystę w tym okresie jest pełnoplastyczna rzeźba utrwalona na fotografiach, w którym to ujęciu Cieszkowski prezentuje się jako mężczyzna w wieku średnim¹.

Poza obowiązkami związanymi z działalnością naukową i społeczną, August Cieszkowski wraz z synami wiele podróżował i odwiedzał europejskie uzdrowiska, czyli jak się ówczesznie mawiało – jeździł „do wód”. Z 1867 r. pochodzi fotografia filozofa wykonana we francuskim Pau (miastecz-

ku u stóp Pirenejów) z własnoręczną dedykacją: „Kochanemu Teofilowi Lenartowiczowi”. Pau było słynnym kąpieliskiem, znanym od wieku XVII i odwiedzanym np. przez polską królową Marię Kazimiერę. August Cieszkowski bardzo cenił sobie wodolecznictwo i chętnie korzystał z kuracji tego typu. Gdy we wrześniu 1868 r. powrócił ze Spa w Belgii, Klara Dembińska z podziwem notowała w pamiętniku: „nie tylko pił takowe [wody żelaziste – M.N.], ale i kąpał się w żelazie. Od młodzieńczych lat zerwał z lekarstwami, a choć radził się doktorów, to, jak mawiał, słuchał tylko doktora Cieszkowskiego”². Również jego synowie – Krzysztof i August Adolf – dla zdrowia i nabrania sił odbywali kuracje w rozmaitych słynnych uzdrowiskach.



R. Bendowski „August Cieszkowski”, 1867³.

¹ Popiersie to jest prawdopodobnie błędnie datowane na lata 80. XIX w. (zob.: A. Król, *Teofil Lenartowicz – rzeźbiarz*, Kraków 1993, s. 87). Cieszkowski w 1886 r. z całą pewnością nie wyglądał tak młodo, o czym świadczą jego fotografie. Z drugiej zaś strony Lenartowicz starał się wiernie oddać wizerunki rzeźbionych postaci, nie korygując zmian wywołanych wiekiem (np. medalion z wizerunkiem matki hrabiny Capelli – Teodozji Dzieduszyckiej, zob.: ibidem, s. 51).

² [K. Dembińska], *Pamiętnik panny Klary Dembińskiej*, [w:] J. Pietrowicz, *Zamoyscy i Cieszkowscy we wspomnieniach Klary Dembińskiej*, „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej” 2003, z. 26, s. 90.

³ Fotografia wykonana w Pau we Francji ze zbiorów Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie, Zbiory specjalne, nr inw. BZS.RKPS.2029.231, projekt PAUart [www.pauart.pl](http://pauart.pl), domena publiczna, źródło: <http://pauart.pl/app/artwork?id=563118990cf23d5575b2240c>

Nie każdy mógł sobie pozwolić na wyjazd tego typu. Najtrudniejszą sytuację finansową spośród trzech przyjaciół miał wówczas Lenartowicz, ale i Kraszewski nie uniknął kłopotów. Pisarz był w separacji z żoną Zofią z Woroniczów (od 1863 r.). Musiał też sprzedać ogromną bibliotekę dla ratowania założonej przez siebie drukarni. Niestety, ta ofiara i tak nie uchroniła jej od zamknięcia w 1871 r., czyli zaledwie po dwóch latach funkcjonowania. Tym niemniej obiecał swój przyjazd. Przyznać jednak należy, że bardziej w związku z planowanym międzynarodowym kongresem antropologicznym i archeologii przedhistorycznej (jaki organizowano w Bolonii 1-8 października 1871 r.) niż w celach towarzyskich. Tak czy inaczej, była to kosztowna podróż, ale zapowiadała się nader ciekawie.

Przebieg wydarzeń, jakie miały miejsce w 1871 r. naświetla korespondencja między przyjaciółmi. Lenartowicz bardzo cieszył się na pobyt w Wenecji: „Pocziwy August, z którym dziś jestem w najserdeczniejszych stosunkach, daje mi u siebie gościnność, więc i na jego gondoli pływać będę. Szkoda, że Zygmunt [Kraśiński] nie żyje, jakżeby to było przyjemnie z takimi ludźmi, wśród tych dekoracyi, cicho na łodzi się przemykać. Co bądź, mam i ja swojej wyobraźni szczyptę, a w zgodzie najzupełniejszej co do pojęć z Augustem mam nadzieję, że odetchnę chwilę i że mi to może korzystnie wpłynie na zdrowie”⁴. Radość ta została chwilowo zgaszona, gdyż 11 czerwca 1871 r. Teofil pisał w tonie katastroficznym do Kraszewskiego: „Z podróży mojej do Wenecji nic nie będzie, August bowiem, jak widzę, zaprosił mnie po włoskim zwyczaju, to jest na mój koszt »Nie turbuj się o Recoaro (wody)«. Ale droga? Aż mój dobrodziej zamilkł, a zatem finita la speranza”⁵. Gdyby nie pewna fotografia wykonana latem 1871 r., można by sądzić, że faktycznie przez brak hojności Augusta, Teofil nie odwiedził Wenecji. A jednak „speranza” umiera ostatnia. Na fotografii uwieczniono w weneckim studiu fotograficznym

Cieszkowskiego, Lenartowicza i tajemniczą damę w czerni, której warto poświęcić kolejny odcinek opowieści. Wyprawa do „pływającego” miasta doszła więc do skutku i Lenartowicz mógł obejrzeć piękne zakątki z takim zachwytem opisywane przez jego ukochaną małżonkę. Zofia bowiem, udając się w swej ostatniej podróży w kierunku Poznania, zatrzymała się w Wenecji i w listach do Teofila dzieliła się wrażeniami.



C. Ponti, „Panorama Wenecji z gondolą na pierwszym planie”, ok. 1885⁶.

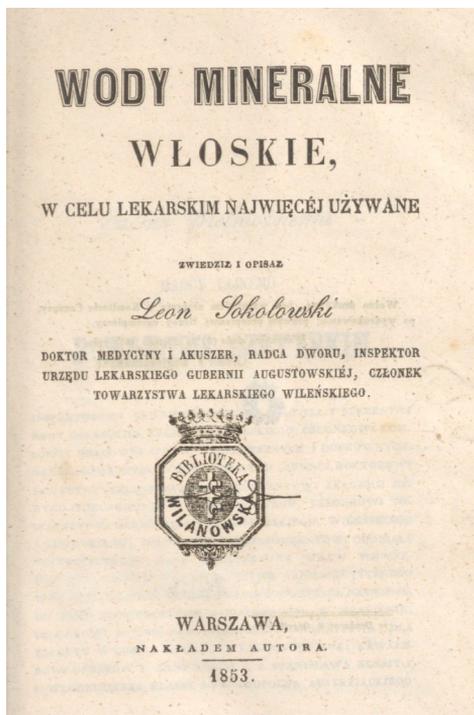
W 1871 r. celem wyprawy Cieszkowskiego była nie tylko Wenecja, ale przede wszystkim odległe o kilkadziesiąt kilometrów Recoaro, w którym August był już z synami rok wcześniej. Miejscowość określana w XIX-wiecznym poradniku jako „Bagni di Recoaro” znajdowała się w górach, niedaleko od granicy z Tyrolem i dysponowała co najmniej pięcioma źródłami, nazywanymi: Leila, Marianna, Lorgna, „di Giause” oraz „dolce di crovole”. Przy najbardziej popularnych – La Fonte Leila i La Fonte Marianna – urządzono dwa zakłady wodolecznicze i zalecano przyjeżdżać w ciepłych miesiącach roku od maja do końca września. Kuracjom oferowano kąpiele zimne i ciepłe, a także rodzaj prysznicu, czyli „kąpiele nastrzykiwane”. W XIX w. znano już właściwości owych wód leczniczych, choć ich opis nie stanowi szczególnej zachęty: „jest czystą i przezroczystą. bez koloru, smak ma kwaskowaty, mocno szczypiący, podobny do atramentu, zapach mineralny, podobny do zapachu, jaki wydaje świeżo rozpuszczone żelazo

⁴ H. Biegeleisen, *Lirnik mazowiecki, jego życie i dzieła w świetle nieznannej korespondencji poety*, Warszawa 1913, s. 233, dostępny w Internecie: <https://pbc.biaman.pl/dlibra/doccontent?id=43443> [dostęp: 6 lutego 2024].

⁵ Kraszewski J.I., Lenartowicz T., *Korespondencja*, oprac. W. Daneł, Wrocław 1963, s. 207.

⁶ Fotografia ze zbiorów Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy – Biblioteki Głównej Województwa Mazowieckiego, sygn. Szt. Fot. 1068, domena publiczna, źródło: <https://mbc.cyfrowemazowsze.pl/dlibra/doccontent?id=80591>.

w kwasie bezwonny; trzymana w butelce otwartej, łatwo się mąci i wydziela osad mleczno-żółtego koloru⁷. Kuracje dostosowywano do rodzaju dolegliwości, miały pomóc m.in. w chorobach wątroby, układu pokarmowego, kamieniach żółciowych i nerkowych, białaczkę, chorobach kobiecych, reumatyzmie, ogólnym osłabieniu ciała, a także „hipochondryi i hysteryi”. Zalecano pić tę wodę od 2 do 8 kubków dziennie. Zresztą rozprowadzano ją też w butelkach po całej Europie.



Karta tytułowa książki L. Sokołowskiego „Wody mineralne włoskie: w celu lekarskim najwięcej używane”, Warszawa 1853⁸.

Obecność w tej części Włoch pozwalała Cieszkowskiemu i jego „kompanii” nacieszyć się atrakcjami Wenecji, a w Recoaro podreperować zdrowie i odpocząć od upału, jaki panował latem.

Lenartowicz był zachwycony uzdrowiskiem: „Co za cudowne miejsce to wyobrażenia mieć nie możecie. Z mojego balkonu patrzę na amfiteatr gór, oddzielających Austryę od Włoch – Alpy, siostry naszych Karpat. Dołem zieloność najrozkoszniejsza, potoki wód szumią, spadając ze znacznych wyniosłości. Co za kolory, co za efekta światła! Takie to wszystko piękne, harmonijne, że mimo woli przychodzą Ci na myśl arcydzieła ducha ludzkiego i figurami Byrona, i tonami Beethovena wypełniasz tę ustron alpejską. I zdaje ci się, że słyszysz symfonię i że Manfred stąpa po urwiskach skał, któremu piękności natury nie wystarczają⁹. Kraszewskiego w tym samym czasie nie było jeszcze we Włoszech. Skoro kongres w Bolonii planowano na początek października, to nie przewidywał przyjazdu już w lecie. Lenartowicz zdążył więc powrócić do Florencji, 13 września w liście do pisarza, w charakterystyczny dla siebie sposób podsumowuje swój pobyt: „Z powrotem do Florencji [...] w bardzo złym stanie zdrowia. [...] Wody Recoaro zamiast pomóc pogorszyły stan mojego zdrowia. Ha, trudno, jak się nie wie, to się nie wie”¹⁰.

W tym czasie Cieszkowski wciąż jeszcze pozostawał w uzdrowisku, ale wybierał się znowu do Wenecji, gdzie mógłby go zastać właśnie wyruszający z Drezna Kraszewski. Pisarz deklarował chęć spotkania i 17 września pisał do poety: „Jest postanowionym, że jadę do Bolonii na 1 października, ale jadę daleko wcześniej na Wiedeń i Wenecję, gdzie schwycę Augusta Cieszkowskiego i parę osób znajomych”¹¹. Panowie jednak nie spotkali się. W niedatowanym liście z tego czasu August odpowiada Teofilowi na zarzut zaniedbywania korespondencji, wspominając na koniec Józefa:

„Najdroż[szy] Teofilu. Pobyt mój w Recoaro jest istotnie ciągnięciem męczeństwem, goryczami, kłopotami sercowymi i majątkowymi, trudami, za-

⁹ H. Biegeleisen. *Lirnik mazowiecki*, op. cit., ss. 233-234.

¹⁰ Kraszewski J.I., Lenartowicz T., *Korespondencja*, op. cit., s. 209.

¹¹ Ibidem, s. 210. Na kongres pojechał też Aleksander Przeździecki; zob.: idem, *Kongres międzynarodowy antropologiczny i archeologii przedhistorycznej, odbyty w Bolonii od 1 do 8 października b.r. 1871, sprawozdanie członka kongresu Aleksandra Przeździeckiego*, Kraków 1871, dostępny w Internecie: <https://polona.pl/item-view/4855770f-55e0-454a-bddc-432fee8a194a?page=5> [dostęp: 6 lutego 2024].

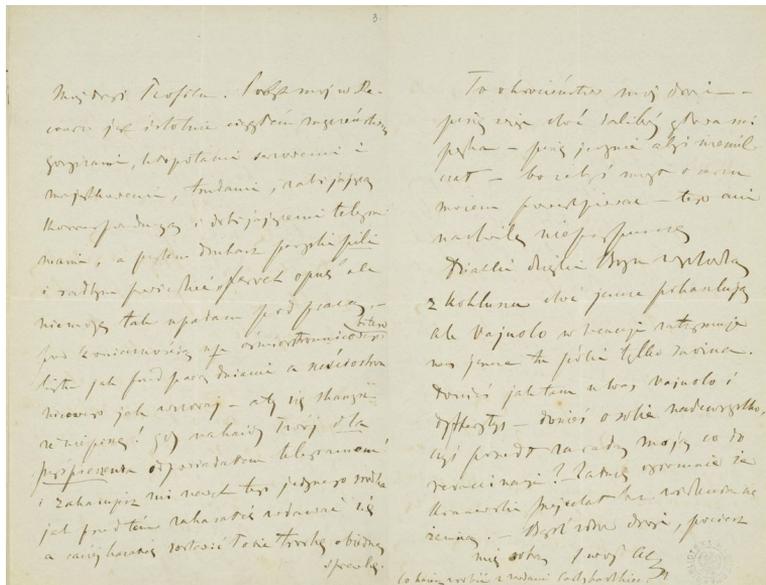
⁷ L. Sokołowski, *Wody mineralne włoskie: w celu lekarskim najwięcej używane*, Warszawa 1853, s. 305, dostępny w Internecie: <https://polona.pl/item-view/6323a4a9-d90b-4f14-91bd-c96cb8c3f37f?page=6> [dostęp: 2 lutego 2024].

⁸ Ze zbiorów Biblioteki Narodowej (sygn. SD W.1 658), domena publiczna, źródło: <https://polona.pl/item-view/6323a4a9-d90b-4f14-91bd-c96cb8c3f37f?page=6>.

bijającą korespondencją i dobijającymi telegramami, a przy tem drukarz paryski pili i radnym powie- dzieć »fares opus«¹², ale nie mogę, tak upadam pod pracą, pod koniecznością ośmiostronicowego bitego listu jak przed paroma dniami, a sześciostronicowego jak wczoraj, a Ty się skarżysz, że nie piszę! Gdy na każdy Twój [list – M.N.] dla pośpieszenia odpowiadam telegramem! I zakazujesz mi nawet tego jedynego środka jak przedtem zakazałeś wdawać się, a raczej kazałeś zostawić Tobie troskę o biedną śpiewkę. To okrucieństwo, mój drogi, piszę więc choć dalibóg głowa mi pęka – proszę jedynie, abyś nie milczał, bo żebyś mógł o sercu mojem powątpiewać, tego ani na chwilę nie przepuszczę. Dziatki dzięki Bogu wychodzą z kokluszki, choć jeszcze pokaszają, ale wajuolo w Wenecyi zatrzymuje nas jeszcze tu póki tylko można. Donies jak tam u was wajuolo i dyfteryty, donies o sobie nade wszystko, czyś poszedł za radą moją co do revaccinacji? Żałuję ogromnie, że Kraszewski pojechał bez widzenia się ze mną»¹³.

Po lekturze listu wiadomo, że August nie mógł wyjechać z Recoaro do Wenecji (i spotkać się z Józefem) z powodu tajemniczej „wajuolo”. To włoskie słowo (funkcjonujące w języku polskim jako variola) oznacza ospę, która najwyraźniej panowała wówczas w tym mieście i skutecznie odstraszała od podróży. Również rada Augusta na temat „revaccinacji” (po polsku – rewakynacji) ma związek z tą chorobą i w czasopiśmie medycznych tego czasu jest polecana (choć z pewnymi zastrzeżeniami) metodą zabezpieczenia się przed

zakażeniem¹⁴. Szczepienia przeciw ospie u progu XIX wieku wywoływały wciąż opór i strach, ale w latach 70. miały już grono zwolenników, zwłaszcza w środowisku naukowym.



Autograf listu Augusta Cieszkowskiego do Teofila Lenartowicza¹⁵.

Choć Kraszewski nie spotkał się z Augustem, to dotrzymał obietnicy danej Lenartowiczowi i odwiedził go we Florencji w październiku 1871 r., a więc po kongresie naukowym. Obaj gościli w tym czasie u hrabiny: „Capellowa pocziwa aż mało się nie skręci z pragnienia oglądania Pana Józefa»¹⁶. 19 października Kraszewski był już w swoim domu w Dreźnie. Tymczasem Cieszkowski pozostał we Włoszech dłużej. Wiadomo, że w listopadzie przebywał w Padwie, starał się też być pociechą dla coraz bardziej osamotnionego Lenartowicza. Poeta

¹² fares opus (łac.) – dokonasz dzieła.

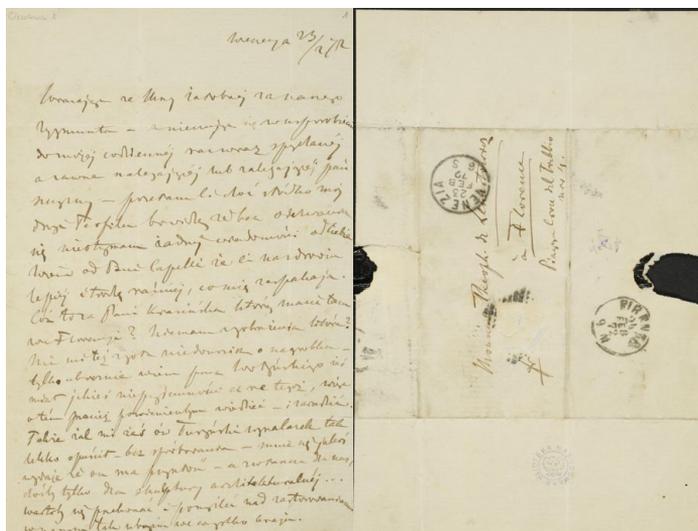
¹³ August Cieszkowski w liście do Teofila Lenartowicza [b.d.], zob.: *Fragment korespondencji Teofila Lenartowicza*, rękopis ze zbiorów Biblioteki Narodowej, sygn. Rps 7092 II, dostępny w Internecie: <https://polona.pl/item-view/338b7283-35ae-44ae-88c4-8f1ec208d5b8?page=6> [dostęp: 7 lutego 2024].

¹⁴ Termin „rewakynacja” oznaczający szczepienia został zaczerpnięty z drugiego członu nazwy „variola vaccina” (ospa krowiej) od której zaczęły się badania nad szczepionką. Więcej zob.: L.L. Chodakowski, *Prace oryginalne o ospie*, „Pamiętnik Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego” 1872 t. LXVII, z. IV, ss. 189-198, dostępny w Internecie: <https://crispa.uw.edu.pl/object/files/240551/display/JPEG> [dostęp: 6 lutego 2024].

¹⁵ Ze zbiorów Biblioteki Narodowej (sygn. Rps 7092 II), domena publiczna, źródło: <https://polona.pl/item-view/338b7283-35ae-44ae-88c4-8f1ec208d5b8?page=6>.

¹⁶ Ibidem, s. 217.

po tak intensywnie spędzonym lecie skarżył się na ludzką obojętność: „Jedyny Pan August Cieszkowski, duszą i sercem wolny człowiek, zbliżył się do mnie, reszta [...] z daleka się trzyma, albo niechętna”¹⁷.



Autograf listu Augusta Cieszkowskiego do Teofila Lenartowicza z 23 lutego 1872 r. wraz z kopertą¹⁸.

W 1872 r. Cieszkowski wciąż jeszcze przebywał w Wenecji. W jednostronicowym liście z 23 lutego (a więc w 13. rocznicę śmierci Zygmunta Krasieńskiego), pisał do Lenartowicza:

„Wracając ze mszy żałobnej naszego Zygmunta – a nie czując się w usprawiedliwieniu do mojej codziennej raz wraz spychanej, a zawsze nalegającej lub zalegającej pańszczyzny – przesyłam Ci choć słówko, mój drogi Teofilu, bo widzę, że bez odezwania się nie otrzymam żadnej wiadomości od Ciebie. Wiem od Pani Capelli, że Ci na zdrowiu lepiej i troszkę raźniej, co mię zaspakaja. Cóż to za Pani Krasieńska¹⁹, którą macie tam we Florencji? Nie mam wyobrażenia która? Nic mi też nie donosisz o nagrobku, tylko ubocznie wiem przez Wołyńskiego, żeś miał jakieś nieprzyjemności [...],

więc o tym przecież powinienem bym wiedzieć i zaradzić. Także żał mi żeś ów Turyński wynalazek tak lekko opuścił – bez spróbowania – mnie się jakoś wydaje, że on ma przyszłość, a zwłaszcza dla nas choćby tylko dla skulptury architekuralnej...

Warto by się przekonać i pomyśleć nad zastosowaniem w naszym tak ubogim we wszystko kraju”²⁰.

Jaki to wynalazek mający zastosowanie „choćby tylko dla skulptury architekuralnej” mógłby zainteresować Lenartowicza? Skulptura to inaczej rzeźba (od łac. *sculptura*)... W końcu przecież wynalazkiem owym poeta-rzeźbiarz jednak się nie zainteresował i nie wypróbował go. Zaciekawienie wykazał przede wszystkim Cieszkowski. Dopiero pójście tym tropem, zbliża do ustalenia, że autor listu pod nazwą „Turyńskiego wynalazku” na myśli mógł mieć tunel kolejowy Fréjus, łączący Włochy z Francją. Budowano go przez kilkanaście lat z zastosowaniem najnowocześniejszych maszyn. Był to wówczas najdłuższy

tunel na świecie. August interesował się rozwojem techniki i doniesienia prasowe o tym jak doszło do wybudowania tunelu, musiały bardzo go zajmować. Być może nie miał okazji oglądać „The Illustrated London News” z ilustrowanymi relacjami z budowy i otwarcia, ale wyobraźnię i tak pobudzał już sam opis maszyny świdrującej Germaina Sommeilera. Maszyna ta zastąpiła dotychczasowy sposób pracy, jej działanie ze szczegółami opisywano w „Gazecie Polskiej” z 18 września 1871 r.²¹.

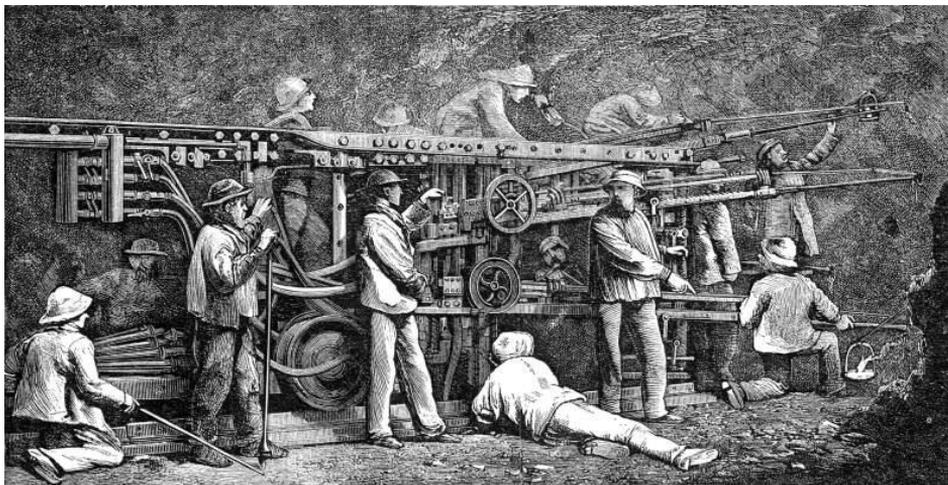
²⁰ August Cieszkowski w liście do Teofila Lenartowicza z 23 lutego 1872 r., zob.: *Fragment korespondencji Teofila Lenartowicza*, rękopis ze zbiorów Biblioteki Narodowej, sygn. Rps 7092 II.

²¹ W. Wierzbowski, *Inżynieria w r. 1869*, „Gazeta Polska” 1871, nr 203, s. 3, dostępny w Internecie: <https://crispa.uw.edu.pl/object/files/203294/display/Default> [dostęp: 6 lutego 2024]; ibidem, nr 204, ss. 1-3, dostępny w Internecie: <https://crispa.uw.edu.pl/object/files/203293/display/Default> [dostęp: 6 lutego 2024]. Zob. też: „The Illustrated London News” z 1869 – 13 February (machina Sommeilera), 1871 – 30 September (tłum w oczekiwaniu na pierwszy przejazd pociągu) i 7 October (pociąg wyjeżdżający z tunelu).

¹⁷ Ibidem, s. 219.

¹⁸ Ze zbiorów Biblioteki Narodowej (sygn. Rps 7092 II), domena publiczna, źródło: <https://polona.pl/item-view/338b7283-35ae-44ae-88c4-8f1ec208d5b8?page=2>.

¹⁹ W 1872 r. we Florencji przebywała Julia Olga Krasieńska z Naumów, która zamówiła u Lenartowicza płaskorzeźbę na grób ojca.



Pneumatyczna maszyna świdrująca Germaina Sommeillera używana przy budowie tunelu kolejowego Fréjus²².

Pierwszy pociąg na oczach zachwyconej publiczności przejechał tunelem 17 września, a więc w czasie, gdy prawdopodobnie Lenartowicz był jeszcze w podróży.

Próba zainteresowania przyjaciela postępowym technicznym najwyraźniej nie powiodła się. Porażka ta mogła po prostu wynikać z permanentnego braku zdrowia i środków finansowych, jaki odczuwał poeta. Za to Augusta Cieszkowskiego nie opuszczało praktyczne podejście do rzeczywistości. Liczył zapewne na szczegółowy, barwny i dynamiczny opis przejazdu pociągu najdłuższym tunelem świata. Naprawdę szkoda, że Teofil „Turyński wynalazek tak lekko opuścił bez spróbowania”. Cóż to by był za list!

Monika Nagowska

Bibliografia

Biegeleisen H., *Lirnik mazowiecki, jego życie i dzieła w świetle nieznannej korespondencji poety*, Warszawa 1913, dostępny w Internecie: <https://pbc.biaman.pl/dlibra/doccontent?id=43443>.

Biegeleisen H., *Żona poety*, Warszawa 1933, dostępny w Internecie: <https://polona.pl/preview/f043068d-224e-41d4-8e68-69bbbcc3c875>.

[Demińska K.], *Pamiętnik panny Klary Dembińskiej*, [w:] J. Pietrowicz, *Zamoyscy i Cieszkowscy*

we wspomnieniach Klary Dembińskiej, „Pamiętnik Biblioteki Kórnickiej” 2003, z. 26.

Fragment korespondencji Teofila Lenartowicza, rękopis ze zbiorów Biblioteki Narodowej, sygn. Rps 7092 II, dostępny w Internecie: <https://polona.pl/item-view/338b7283-35ae-44ae-88c4-8f1ec208d5b8?page=6>.

Karowski S., *Podróż do Włoch*, Poznań 1888, <https://polona.pl/item-view/faf3ac85-2376-4095-a13f-ab82e69413d2?page=244>.

Krasiński Z., *Listy do Augusta Cieszkowskiego, Edwarda Jaroszyńskiego, Bronisława Trentowskiego*, t. 1, oprac. Z. Sudolski, Warszawa 1988.

Kraszewski J.I., Lenartowicz T., *Korespondencja*, oprac. W. Danek, Wrocław 1963.

Król A., *Teofil Lenartowicz – rzeźbiarz*, Katalog wystawy monograficznej, Muzeum Narodowe w Krakowie, listopad 1993-styczeń 1994, Kraków 1993.

Pietrowicz J., *Podróże Augusta Cieszkowskiego*, [w:] *Duch wielki serce złote, August Cieszkowski i jego intelektualna i materialna spuścizna*, red. A. Kurowski, E.J. Buczyńska, W. Buczyński, Swarzędz 2004.

Sokołowski L., *Wody mineralne włoskie: w celu lekarskim najczęściej używane*, Warszawa 1853, <https://polona.pl/item-view/6323a4a9-d90b-4f14-91bd-c96cb8c3f37f?page=6>.

Taine H.A., *Podróż po Włoszech*, t. 2, *Florencja i Wenecja*, Warszawa 1887, <https://polona.pl/item-view/4f25579a-ff07-4fdd-b121-883fece9bc65?page=471>.

²² Domena publiczna, źródło: https://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/6/6d/Sommeiller_drill.jpg.

Irena Kulik

Wariantywność nazw Łopiennika w powiecie krasnostawskim



Każda nazwa ma swoją historię, a szczególnie jak z biegiem czasu ulega pewnym modyfikacjom. Tak również jest z nazwą miejscowości położonej nieopodal Krasnegostawu. Otóż w gminie *Łopiennik Górny* możemy zaobserwować inne nazwy zestawione wtórnie z nazwą miejscową *Łopiennik*. Są nimi określenia o charakterze topograficznym: *Łopiennik Dolny*, *Łopiennik Dolny-Kolonia*, *Łopiennik Górny*, *Łopiennik Nadrzeczny* oraz *Łopiennik Podlesny*. Jedne z nich ukazują położenie fizjograficzne i zostały utworzone z wyrażenia z przymkiem: *nad rzeką*, *pod lasem*, pozostałe – położenie ze względu na ukształtowanie falistego terenu wyrażone przymiotnikami: *górnny*, czyli położony na Wyniosłości Gielczewskiej oraz *dolny*, czyli usytuowany na jej dole. Możliwe, że ze względu na to, iż *Łopiennik Dolny* bardziej się powiększył, powstała dodatkowa kolonia, która z czasem stała się kolejną miejscowością *Łopiennik Dolny-Kolonia*. Źródła historyczne wskazują, że pierwotnie to była jedna miejscowość o nazwie *Łopiennik*¹ oraz przybrała nazwę od przepływającego przez nią potoku *Łopa*², którego nazwa pierwotnie brzmiała *Łopień*³. Rzeczka swój początek bierze nieopodal wsi Krzywe, pokonując 16,86 km, by w *Łopienniku Dolnym* znaleźć ujście w Wieprzu. *Łopiennik Górny* oraz *Łopiennik Nadrzeczny* przecina droga krajowa nr 17, która jakby lejmem zagłębia się w kierunku koryta rzeki. Ten odcinek zaprojektował Józef Schoupe, natomiast w latach 1834-1835 wykonano go pod kierunkiem Macieja

Bayera. Tak ukształtowany falisty teren mógł pozostać po wycofaniu się lodowca. W *Łopienniku Dolnym-Kolonii* w 1961 roku odkryto grób skrzynkowy z epoki późnego neolitu⁴, który ze szczątkami obecnie jest przechowywany w Muzeum Regionalnym w Krasnymstawie. To wskazuje, że ten teren był zamieszkały od dawien dawna i może mieć inne nienotowane określenie ze względu na tak wklęsłe położenie potoku na pierwszym odcinku. Jedynie przypuszczam, że pierwotna nazwa rzeczki może pochodzić od archaicznego słowiańskiego wyrazu **lupja* o prawdopodobnym znaczeniu 'koryto, dolina rzeki', o którym wspomina Urszula Bujak w monografii „Nazwy wodne dorzecza Wisły”⁵, ale w przypadku rzeki *Skierniewki* prawego dopływu *Bzury* na Nizinie Środkowomazowieckiej, która pierwotnie nosiła miano *Łup(i)a*.

Natomiast o podobnym pochodzeniu nazwy miejscowości *Łopiennik* od wyrazu „łup” mówi etymologia ludowa, gdyż wg legendy dotyczy historycznego wydarzenia z 1282 roku, kiedy Leszek Czarny pokonał Jaćwingów i zdobył ów „łup”, czyli nieprzyjacielski tabor⁶. Wtedy po raz pierwszy pisemnie wymieniono nazwę *Łopiennik*, który zapisywano w różnych okresach w następujący sposób ze względu na powiększającą się liczbę mieszkańców dwóch sąsiadujących obok siebie nacji, o czym informują wtórne nazwy odetniczne oraz topograficzne, które przytacza Barbara Czopek⁷: *Lopienniki* (1439), *Lopyennyk* (1447), *Lopinik Ruski i Liaczki* (1565), *Łopiennik Ruski (Dolny) i (Górny) Lacki* (1921), *Łopiennik Nadrzeczny i Podlesny* (1952), *Łopiennik Dolny-Kolonia* (1981). Jako ciekawostkę można zauważyć inne określenia, ale nie jest pewne, czy to dotyczy tegoż *Łopiennika*: *Ziemiany*⁸ (pow. krasn.) (*Lopiennik Ziemiany* (1607), *Łopiennik seu Ziemiany* (1610) *Łopiennik Ziemianski* (1611) gw. *żemany perse*

¹ K. Cabaj, *Zarys dziejów Łopiennika do roku 1915 jako przyczynek do historii wsi krasnostawskiej*, [w:] „Zapiski Krasnostawskie. Z przeszłości Krasnegostawu i okolic”, t. II, Lublin 1994, ss.169-174.

² *Elektroniczny słownik hydronimów Polski* na stronie: <https://eshp.ijp.pan.pl/search/results/182224> [dostęp:25.04.2024].

³ *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, pod red. F. Sulimierskiego, B. Chlebowskiego i W. Walewskiego, t. V, Warszawa 1884, s. 722.

⁴ <https://goklopiennik.org/turystyka-i-promocja/historia-ziemi-łopiennickiej> [dostęp: 25.04.2024].

⁵ U. Bijak, *Nazwy wodne dorzecza Wisły. Potamonymy odapelatywne*, Kraków 2013, s. 49.

⁶ K. Cabaj, *Zarys dziejów...* dz. cyt. s.169.

⁷ B. Czopek, *Nazwy miejscowe dawnej ziemi chełmskiej i bełskiej (w granicach dzisiejszego państwa polskiego)*, Wrocław 1988, s. 177.

⁸ Tamże, s. 204.

i drugie oraz jako *Kindoły*⁹ (pow. krasn.): *Klindoty* cyli *Ziemiany* (1796), *Kindoły* (1839). Również wg tejże autorki przyrostek *-nik* szczególnie często łączy się z podstawami określającymi nazwy roślin, za którą uchodzi *łopień* czyli *łopian* 'roślina szerokoliściasta'¹⁰, od szcążkowo zachowanego prasłowiańskiego wyrazu **lorъ* '(duży) liść'¹¹. Dlatego współcześnie liście łopianu możemy zobaczyć w herbie miejscowości, gdyż nazwa potoku może mieć późniejsze określenie odroślinne *Łopień*¹² i stanowić podstawę nazwy miejscowości *Łopiennik* wraz z powyżej wymienionym przyrostkiem *-nik*.

dr Irena Kulik



Antoni Oleszczyński, św. Florian, 1843.
Zbiory Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie.

Andrzej Stanisław Adamczuk



Dożynki

Z cyklu: „Mój Jaślików”

Wielka gilza armatnia, kaliber chyba ze 200 mm, wisiała na łańcuchu przytwierdzonym do poprzeczki „szubieniczki” przy remizie strażackiej. Obok gilzy, również na łańcuchu wisiał młotek z żelaznym trzonkiem. Uderzony młotkiem dzwon, wydawał przeciągły, jęklivy i złowieszczy głos. Jedno uderzenie żelaznym młotkiem w „dzwon” oznaczało, że w remizie zaraz zacznie się jakieś ważne spotkanie i jeżeli nie chcesz się spóźnić, musisz już wychodzić z domu. To pojedyncze uderzenie w dzwon, wielu kojarzy się będzie ze spotkaniem wiejskiego zespołu dożynkowego, w remizie strażackiej w czasie żniw w letnie ciepłe wieczory.

Tradycja organizowania dożynek na wsi musiała być bardzo stara. Nie pamiętam, żeby któregoś lata dożynki się nie odbyły. Zawsze były osadzone w kalendarzu wiejskich wydarzeń i nikomu nie przychodziło na myśl, żeby mogło być inaczej. Dożynki na wsi, były imprezą roku, odbywały się zwykle pod koniec sierpnia, a przygotowania do nich trwały w zasadzie całe wakacje – zespół aktorsko-taneczny przygotowywał się intensywnie do dożynkowych piasów, zaś panny i kawalerowie, niebiorący bezpośredniego udziału w popisach artystycznych, szykowali się, aby mocno zaistnieć towarzysko na tak ważnym dorocznym wydarzeniu.

Grzechem byłoby bowiem, zmarnować okazję do tego, żeby nie błysnąć urodą, zdobną szatą, czy zaprezentować swoje inne cenne walory przed gronem zacnych panien i kawalerów z Jaślikowa, Olszanki, Niemienic i z innych nienazwanych tutaj okolicznych wsi. Słowem – gotowość do wzięcia udziału w ucieszach dożynkowych była ogromna i przebierano nogami z niecierpliwością, oczekując na te wydarzenia.

Do części artystycznej imprezy, zapraszano młodzież w wieku „poborowym”, czyli tak 17-22 lata. Rekrutacja „artystów” odbywała się po rozestaniu po wsi „wici”, które głosiło, że w dniu oto takim a takim, w porze wieczorowej, po dojeniu

⁹ Tamże, s. 172.

¹⁰ A. Brückner, *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Warszawa 1970, s. 312,

¹¹ W. Boryś, *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Kraków 2005, s. 302.

¹² U. Bijak, *Nazwy wodney... dz. cyt.*, s. 81.

krów i po obrzędku trzody, odbędzie się zebranie organizacyjne w sprawie dożynek. Wszyscy zainteresowani mają być w ustalonym czasie w remizie OSP. Pojedyncze uderzenie w dzwon alarmowy oznaczyć będzie, że już trzeba się śpieszyć.

Na tym pierwszym zebraniu ustalano skład osobowy grupy „artystycznej” oraz kto w tej grupie będzie „dowodzić”. Potrzebna była tutaj osoba charyzmatyczna ze zdolnościami przywódczymi, mająca pojęcie o „choreografii” w tańcu ludowym i o regionalnych śpiewkach, gdyż główną atrakcją występów były zwykłe tańce i popisy śpiewane, przeważnie chóralne.

Przewodząc takiej hurmie młodych indywidualistów nie było łatwe, bo oprócz tego, że trzeba było umieć ich zdyscyplinować, poradzić sobie z robotą reżyserską, to jeszcze trzeba było niejednokrotnie wykazać się nie lada zdolnościami dyplomatycznymi, aby w miarę bezkonfliktowo ustalić kto z kim ma tańczyć w parze, kto jaką rolę dostanie, rozstrzygać wiele innych „prestizżowych” sporów – tak aby nikt nadmiernie nie poczuł się urażony.

Przeważnie było jakoś tak, że jeszcze przed pierwszym spotkaniem organizacyjnym wiadomym już było, kto reżyserem zespołu będzie. Czuło się tutaj tajemniczą moc ręki lokalnych decydentów, sponsorów i głównych organizatorów zabawy dożynkowej, czyli OSP w Jaślikowie. Zespołowi pozostawiano jeno „gromkie brawa” akceptujące „trafną” decyzję wyboru. Problemu z tym nigdy w zasadzie nie było.

Natomiast w części demokratycznej zebrania, członkowie zespołu artystycznego, wybierali spośród siebie parę przodowników korowodu dożynkowego. Była to funkcja honorowa, ale bardzo ważna, bo to na przodowników spadał splendor związany z niesieniem wieńca i celebrowaniem oficjalnych obrzędów dożynkowych.

W zespole toczyła się cicha rywalizacja o to, kto dostąpi zaszczytu bycia przodownikiem, wybór musiał być zaakceptowany przez zespół, a decydowały o tym „szeptane” negocjacje wewnątrz grupy, których wyniki ogłaszała szefowa zespołu. Kiedy decyzja zapadała i została ogłoszona, żadnych fochów na temat wyboru pary przodowników już nie miało prawa być.

Przeprowadzano też dyskretny wywiad, kto z zasobniejszych gospodyń i gospodarzy był

by zainteresowany funkcją starościny i starosty dożynek. Upatrzonych kandydatów nagabywano dyskretnie, ci udawali zaskoczonych, a następnie z ochotą zgadzali się pełnić tę prestiżową funkcję, obiecując, że oczekiwani organizatorów nie zawiodą, starań wszelakich dopełnią, a śladów sknerstwa żadnego u nich nie zoczysz – pod karą „pręgierza publicznego”. Zatem, machina organizacyjna ruszała powoli do przodu.

Starostowie dożynek, mieli w obowiązku zorganizować przyjęcie z darmowym wyszynkiem i atrakcyjną zakąską, czyli imprezę – po występach artystycznych – dla zespołu i osób „godnych”, aby znaleźć się w towarzystwie dożynkowym. Było to przedsięwzięcie wcale nie małe, bo „uprawnionych” do udziału było ze 30 osób – takie mniejsze wesele! Na starostów dożynek wybierano przeważnie dwie pary zacnych gospodarzy, co do których pewność była, że grosza nie poskąpią i przyjęcie zorganizują godne, a pamięć o nim aż do następnych dożynek trwać będzie, a może i dłużej.

Tymczasem wieczorami w remizie zaczynała się codzienna „harówka” w zespole artystycznym. Szefowa zespołu (piszę „szefowa”, bo jakoś zawsze była to dziewczyna – o parytecie jakoś dziewczyny wtedy nie wspominały!) przedstawiała program występów, rozdzielano role (nie zawsze bez problemów) i zaczynały się próby.

Całe to dożynkowe zamierzenie przypadało na czas wytężonych prac żniwnych. „Aktorzy” – wszystko młodzi ludzie – ledwie przychodzili z pola, a tu pojedyncze uderzenie w dzwon wołało na próbę, jakieś szybkie mycie, żeby splukać pot żniwny, zjadło się coś w biegu i do remizy!

Próby przed dożynkami były też okazją, dla Nas Młodych (duża litera tutaj nieprzypadkowo), żeby się spotkać, pogadać, czasami coś wypić po próbie (jak było za co!), urządzić wspólne śpiewanie – takie na całą wieś.

Remiza strażacka była jedynym miejscem we wsi, gdzie mogliśmy się spotkać wszyscy razem. Oprócz członków zespołu dożynkowego, mieliśmy stałych kibiców za oknami. Młodszy co nie co mieszkańcy Jaślikowa, namiętnie nas podglądali przez malutkie okienka remizy, rozpowszechniając czasami jakieś niewiarygodne, a czasami nawet wiarygodne historie – kto, z kim i kiedy...



Zdjęcie grupowe z roku 1967 z imprezy, w której i ja brałem udział. Na samej górze stoją od lewej: Halina Żebrowska – szefowa zespołu, Janek Bojarski i Halina jego starsza siostra. W rzędzie środkowym stoją od lewej: Tadek Sałamacha (z mojej klasy), Renia Adamczuk, ale nie była moją siostrą, Tadek Piętał, Andrzej Adamczuk (czyli ja), Danka Szymaniakówna – moja partnerka od tańca, Felek Malinowski – mój sąsiad i Hanka Sałamachówna – siostra Tadka, tego z lewej, dziewczynka z chlebem to córka Stacha Bojarskiego, chyba Marysia miała na imię. Rząd dolny od lewej: Bojarska chyba Zofia – mama Marysi, Żebrowska (imienia nie pamiętam), Stach Cichosz – ten spod wielkiej lipy, Helenka Szymaniakówna – moja cioteczna siostra, Manio Bochyński (z mojej klasy), następną to dziewczyna, której nazwisko uleciało, ale twarz pamiętam, Gienek Świrszcz – sąsiad, mąż Jasi Pastuszkówny i Henia Drozd – moja wychowawczyni ze szkoły podstawowej i kierowniczką szkoły.

Próbowaliśmy ich dyscyplinować, ale przeważnie bez rezultatu. Pyskowali, odszczekiwali się i robili swoje.

– Możecie nam – ooo! Gdyby znali gest Li-chockiej, to by go pokazali.

Najwięcej czasu zajmowały próby z zespołem tanecznym. Na tej grupie bowiem spoczywał główny ciężar atrakcji występów, dlatego też szlifowanie ich sprawności tanecznej i prezencji było bardzo ważne i czasu na treningi im nie żałowano. Grupa ta liczyła przeważnie 6 par tanecznych, a w repertuarze był m.in. krakowiak, mazur, trojak, polka i inne tańce, w zależności od pomysłu szefowej zespołu.

Choreografia nie była jakaś szczególnie trudna, a ćwiczenia podczas prób polegały głównie na wyrobieniu w zespole poczucia jedności ruchu, gestu czy kroku tanecznego – ot taka taneczna musztra z muzyką. Na przedstawienie bardziej

wysublimowanych treści tanecznych nie było ani czasu, żeby się tego wyuczyć, ani zapotrzebowania odbiorcy – miało być rytmicznie, równo, no i muzyka miała nie przeszkadzać tancerzom.

Muzyka na próbach była zawsze żywa – era magnetofonów miała dopiero nadejść. Zespołowi przygrywali na akordeonie m.in. Maniek Bochyński (ps. „Manio”), Antoś Szewczyk (ps. „Polek”), Szymaniaki – Gienek albo Tadek (ps. „Siurki”), Miecio Nowacki. Byli jeszcze inni, ale pamięć mnie tutaj zawodzi. Najtrudniejszym dla przygrywających muzykantów było utrzymanie równego tempa, tak aby tańczący nie „pozabijali” się przy nagłej nieplanowanej zmianie rytmu. Gienek Szymaniak i jego brat Tadek byli tutaj chyba najlepsi. Gienek chodził do ogniska muzycznego, więc był już prawie zawodowcem, a Tadek skutecznie podglądał jego grę i z czasem też nie było wstydu.



Zdjęcie grupowe pochodzi z roku chyba 1960 lub 1961. Na samej górze od lewej: Józek Żebrowski (brat Haliny), Wanda Łapa obok przeszłego męża Wacka – mojego średniego brata. W środkowym rzędzie: Janek Piętał, za nim dziewczyna, miała na imię chyba Halina, ale jak na nazwisko – nie pamiętam, Tadek Bojarski – przyszły profesor UMCS i ceniony naukowiec, Danka Jaszakówna, Olek Kędrak, Zosia Marczevska, chyba Karauda – imię wyleciało. W dolnym rzędzie od lewej: kobieta pierwsza z lewej – twarz znana i nic poza tym, Tadek Woroch, Basia Wojtałówna, Madej imię (?), Bojarska chyba Zofia, z domu Szorc, Karol Janowczyk i moja siostra Halina – szefowa zespołu artystycznego.

Jak już wspomniałem, szefem zespołu, choreografem i reżyserem w jednej osobie, była przeważnie obrotna dziewczyna z zacięciem artystycznym albo z wykształceniem pedagogicznym. Takie się już trafiały, bo średnie wykształcenie w latach 50. przestało być rzadkością.

Taką szefową artystyczną była (chyba przez 2 kolejne lata 1958-1959) Halina, moja siostra (kończyła LP w Chełmie) i trzeba przyznać, że zrobiła dwie bardzo dobre imprezy. Szkoły pedagogiczne, wtedy w latach 50. przygotowywały bardzo wszechstronnie do zawodu. Muzyka, taniec, stroje ludowe, rysunek, krawiectwo – to były naprawdę mocne atuty Haliny. Jak na owe czasy, zrobiła przedstawienie bardzo nowoczesne, ale nie awangardowe. Ludziom się to bardzo podobało.

Wcześniej szefowała Zosia Perestajówna. Jej brat Stach był naczelnikiem OSP w Jaślikowie. Do „rządzenia” brały się też inne dziewczyny ze wsi

wykazujące predyspozycje w tym kierunku. Do pracy nad spektaklem włączaly się też nauczycielki.

W zespole, w którym ja brałem udział (1967) rządziła Halina Żebrowska z Kolonii – też po LP w Chełmie. Była chyba moją rówieśnicą, więc miała dopiero 18 lat (...cholerka, ale to wszystko było młode, zadziorne i przedsiębiorcze) – „szefowała” twardą ręką z niezłym rezultatem na koniec.

Wprowadziła do repertuaru dużo śpiewania, niektóre kawałki z jej śpiewów miały swoje prywatne, wiejskie życie. Wiele dni po dożynkach, gdy podczas jakiejś imprezy, któryś z uczestników zmęczony intensywnością biesiadowania udał się w ramiona Orfeusza – rozbawiona gawiedź śpiewała mu: „Zasnęła dziewczeczka pod lelują!, pod lelują!, pod lelują! itd...”, szydząc z nieboraka tekstem jednego ze śpiewów chóralnych z dożynek. Takich kawałków, które przylgnęły do wiejskich dialogów było wiele.

Zespół występował w regionalnych strojach ludowych, pożyczanych z domu kultury w Krasnymstawie albo z Zespołu Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej, czyli z tzw. Zespołu Kaniorowej w Lublinie. Pamiętam też, że stroje ludowe szyto we własnym zakresie. Popularny był strój krakowski – dla dziewczyn kwieciste kolorowe spódnice z białą zapaską, gorsety haftowane i bogato zdobione cekinami, chustki kwieciste na głowę zawiązane z tyłu. Dla chłopaków spodnie granatowe z lampasami, wpuszczane do butów z cholewami, wyszywana koszula na wypust z krawką pod szyją – namiastka sukmany, czyli czarna kamizelka, nieco dłuższa, przewiązana w pasie czerwoną materią i czapka rogatywka z kotylionem. Był to taki ludowy eklektyzm czerpiący wzory z kultury miejscowej i gdzieś tam zasłyszanej czy obejrzanej.

Krakowski strój w tym wydaniu regionalnym, był także paradnym strojem dla małych dziewczynek i dorastających pańienek. Przywdziewano go na procesję Bożego Ciała, na odpust w Łopienniku czy inne uroczystości, gdzie powaga dnia wymagała odpowiedniej prezencji, podkreślonej zdobną szatą.

Przychodził wreszcie ten dzień, ta niedziela pod koniec sierpnia, czas na to, żeby efekty trudu zobaczył świat – świat mały, co prawda, bo miejscowy, ale ten świat potrafił wziąć na jęzory nieźle, gdyby coś nie wyszło. Trema była duża, bo widownia była znana osobiście.

Od rana działo się bardzo dużo. Najpierw poświęcenie wieńca w kościele parafialnym w Krasnymstawie, cały zespół artystyczny oraz starostowie dożynek jechali do kościoła udekorowanymi wozami, nieraz bryczkami. Po mszy i po poświęceniu wieńca – obowiązkowo pamiątkowa fotografia u Jana Seweryna w Krasnymstawie, potem jeszcze jakieś poprawki w dekoracji sali i „modlitwa” o dobrą pogodę, bo od tego zależało, czy impreza będzie mogła odbyć się na dworze czy w dość ciasnej remizie, gdzie trzeba by się było pomieścić razem z publicznością.

Wieniec dożynkowy to było małe dzieło sztuki. Trzeba go było zamówić dużo wcześniej u fachowca od wicia wieńców – przeważnie były to kobiety zajmujące się tym prawie zawodowo i to za sprawą ich talentów. Ochów i achów nad urodą wieńca nie było końca.

Remiza czekała udekorowana kolorowymi girlandami z karbowanej bibuły, podłoga zamieciona na mokro, luźne sprząty strażackie poupychane po kątach. Bufet obficie zaopatrzony, jak pisano na plakatach zapraszających na dożynki w Jaślikowie. Słowem – gotowość pełna!

Na dworze czekał krąg taneczny, czyli „parkiet” trawiasty otoczony zielonymi brzoźkami. Podwyższenie dla orkiestry na przyczepie traktorowej – gotowe! Zawsze, jeżeli nie było deszczu, występy odbywały się „na powietrzu”, by wieczorem przenieść się z zabawą pod dach remizy, gdzie „podłoga z desek...”, na których tańce były wygodniejsze.

Korowód dożynkowy organizował się u Stasia Wojtala na podwórzu, stamtąd wychodziłszy dostojnym krokiem z Wojtalogo wąwozu w kierunku remizy. Główni aktorzy w parach mieszanych, a dookoła zgraja dzieci i kumy, które chciały wykorzystać okazję, żeby bohaterów zbiegowiska artystycznego zobaczyć z bliska. Przedownicy korowodu intonowali pieśń obrzędową i cały zespół podejmował melodię, śpiewając do nośnie pełnym głosem, a towarzyszący grupie muzykant, starał się ze wszystkich sił, żeby utrzymać wolne tempo marszu, co nie było takie proste.

*Plon niesiemy, plon,
W gospodarza dom
Żeby dobrze plonowało,
Po sto korcy z kopy dało!
Plon niesiemy ...*

Pieśń niosła się po opłotkach, echo obijało się o czworaki i stodołę u Borowca, korowód kroczył ku gospodarzom, którzy i dumni z pełnionej funkcji, i zestresowani trochę sytuacją, czekali przy prezydialnym stole ustawionym w tanecznym kręgu wyznaczonym przez młode brzoźki.

Chwila stawała się bardzo uroczysta, niektóre kumy co bardziej wrażliwe na „sztukę ludową” – albo i na widok swojej latorośli w korowodzie – wycierały rąbkami chusteczki ukradkiem urońioną łezkę, bochen chleba wędrował w ręce gospodarzy, którzy dziękując, zapraszali wszystkich i każdego z osobna na tańce, igrы i swawole.

Rozpoczęła się tzw. „część artystyczna” wydarzenia. Przy wtórze „muzykanta” z zespołu albo

też przy orkiestrze „doborowej”, która przecież była na dożynkach, na „arenę” wkraczał zespół taneczny z polonezem albo trojakiem. Krąg widowni mimo woli zaciskał się, wychodząc poza linię brzózek, bo każdy chciał zobaczyć jak najwięcej, toteż porządkowi w mundurach strażackich, grzecznie acz stanowczo, co i raz poszerzali krąg widzów, żeby zrobić miejsce dla „aktorów”. Dzieci wpuszczano do pierwszego szeregu i spektakl toczył się dalej.

Tańce przeplatane były popisami wokalnymi grup śpiewających, skeczami i popisami solowymi członków zespołu. W latach 50. i 60. do Jaśki Sarneckiej (chodziliśmy do jednej klasy) przyjeżdżał na wakacje jej kuzyn – Rysiek Sarnecki z Pałkości pod Inowrocławiem. Był chyba o rok starszy ode mnie. Pewnego lata, na początku lat 60. przyjechał ze swoim kolegą Leszkiem (miał chyba Leszek, ale pewny nie jestem) Buholcem. Obaj grali na gitarach i nieźle śpiewali w duecie nowoczesne kawałki Presleya, Paula Anki i innych gwiazd rockandrolowych z tamtego czasu.

Podczas imprezy dożynkowej wystąpili oni *ad hoc*, w przerwie podczas występów zespołu, w duecie z gitarami z wielką werwą zaśpiewali parę kawałków rockandrolowych. Szczególnie brawurowo zaśpiewali w duecie „Hello Mary Lou”, wzbudzi w widowni duży aplauz i było to prawdopodobnie pierwsze spotkanie Jaślikowiaków z muzyką rockandrolową wykonywaną na żywo. Wspominam to do dzisiaj.

Po występach cały zespół artystyczny oraz osoby „uprawnione”, jak np. kierowniczką szkoły, czyli Henia Drozd wraz z gospodarzami dożynek udawali się na „bankiet”. Nie zdarzyło się nigdy, żeby gospodarze zawiedli oczekiwani, za każdym razem stoły uginęły się od jądła wyborowego i napitku. Grosza nie skąpiono i żal było opuszczać gościnne progi gospodarzy, ale trzeba było też pokosztować smaku zabawy dożynkowej w remizie. Zatem po posileniu się i przyjęciu „środków” na zabawowe samopoczucie, grupa artystyczna formuje „szyk” i idzie zadawać szyku do remizy.

A słyszymy, że w remizie dzieje się! – Oj, dzieje! Klarnet orkiestry rzeźbi akurat aksamitnym dźwiękiem „Biały kwiatek”, saksofon wtóruje i zawodzi tęsknie, tu i ówdzie wtrąca się harmonia, werbel przytakuje dyskretnie. Panny i kawalerowie – a to z Zakręcia, a to z Olszanki albo z Nie-



Impreza dożynkowa w roku 1959, jest na nim mój brat Wacek i Zosia Marczevska.

mienic lub innego Krzywego, nie wspominając już o tutejszych – piękni jak na wybiegu. Wkraczamy z fasonem do sali, nastrój granej melodii udziela się, struny w 18-letniej duszy same do orkiestry stroją i do „grania” się garną.

Rozlegają się głośno szepty:

- Przyszedł zespół!
- Zespół przyszedł!
- Patrz, to tamten!
- Nie, głupia! To ten drugi!

Wchodzące do zabawy pary taneczne, biorą się w ramiona, wtulone w siebie, skore do „obietnic” – „Biały kwiatek” zmysły tumani i gotów na manowce poprowadzić, jeszcze parę dłuższych chwil z „Białym kwiatkiem” i orkiestra cichnie. Coś tam szepcą między sobą, kiwiają głowami. I nagle! Jak nie wrzasną skrzypce oberkiem, akordeon za nimi, mało klawiszy nie pogubi, bęben ledwo to to w ryzach trzyma, klarnet śmieje się od ucha do ucha i ciągnie do płasów bez opamiętania, saksofon coś tam próbuje skomlić – ale gdzież by tam – nie dla niego to chyba robota!

Tumult podniósł się okrutny, zakurzyło się na deskach, zawirowały barwne dożynkowe kiecki, drzazgi z podłogi się posypały... Kto żyw ruszył! Ni jedna dusza pod ścianą się nie ostała! Twarze rozpalone, oczy jak latarnie, nogi już ledwie nadszają za chęcią, a oni wirują i wirują – świata bożego nie widzą, tak w tańcu zapamiętani.

I tak pewnie zatracili by się w tym wirze, gdyby nie skrzypek litościwy – smyczkiem tnie dźwięk ostatni, deski podłogi dudnią ostatnim przytupem obcasów tancerzy, przez moment robi się cicho i rozlegają się brawa, kurz powoli opada, a staniające się pary ruszają do bufetu i gdzie kto może, aby ugasić pragnienie, dać chwilę wytchnienia spracowanym nogom, zapalić papierosa. I tak do rana z przerwami na bufet, na papierosa i na krótki spacer z panną.

*I ja tam byłem
Miód i wino piłem
Po brodzie ciekło
Ale w gębie też było*

(W oryginale było trochę inaczej). O czym przypominam tym, którzy zapomnieli i ku uwadze tych, którzy o tym wiedzieć nie mogli, bo za późno się urodzili.

Andrzej Stanisław Adamczuk

Andrzej Stanisław Adamczuk urodził się w roku 1949 w Jaślikowie, tam też spędził dzieciństwo. Przez wiele lat mieszkał w Lublinie, gdzie pracował, głównie na lubelskich budowach oraz w pracowniach projektowych. Pod koniec XX wieku zostawił Lublin i znowu zamieszkał na wsi, tym razem niedaleko Lublina. Obecnie - emerytowany inżynier budownictwa lądowego, projektant konstrukcji budowlanych. Autor projektów konstrukcji kilkudziesięciu SE 110kV w całej Polsce; autor projektów kilkunastu konstrukcji kościołów m.in. - kościół pw. św. Piotra w Krośnie; autor projektu konstrukcji nowych pawilonów Muzeum Nafty w Bóbrce k/Krosna; wielu budynków mieszkalnych i innych obiektów. Do dzisiaj uprawia swoją profesję mając za sobą 55 lat praktyki zawodowej. Chętnie oddaje się fotografii oraz sztuce pisarskiej. Wybrane bardzo klimatyczne wspomnienia publikuje m.in. w „Nestorze” z zamiarem wydania indywidualnej książki.

Andrzej Stanisław Adamczuk



Panie! – Wtedy słowo warte było więcej niż pieniądze!...

Z cyklu: „Mój Jaślików”

Gwaro jest ostatnio o gwarze, a to za sprawą Ślązaków upominających się o prawne uznanie ich „języka” śląskiego za język regionalny – język wziąłem w cudzysłów, bo nie wiadomo czyje racje za ważniejsze uznać i po czyjej stronie się opowiedzieć. Emocje każą trzymać stronę gwarzących Ślązaków, ale wyważone racje i argumentacja prof. Miodka oraz innych speców od słowa, swoją siłę mają, zamęt w głowie czynią i na strapienie decyzyjne prowadzą.

A tak przy okazji, pochylając się nad wyrazistą mową Ślązaków, przypomniało mnie się, żem w młodości w Moim Jaślikowie również przeżywał dylematy ze słowem związane. Rozmach ich był mniejszy, bo jak w Jaślikowie wtedy gadano: – „Kudy tam naszej wsi ze Śląskiem się równać”, ale sprawa była i co rusz trzeba było się o nią potykać – czy to w szkole, czy w urzędzie, czy to przy spotkaniu z panną z Krzywego, która gadała niby po naszymu, ale czasami trzeba było bardzo przy rozmowie się starać, żeby śmiechem nie parsknąć i panny „naśmierć” nie obrazić.

Sami używając języka nasyconego silnie gwarą i regionalizmami, byliśmy skłonni śmiać się do rozpuku, gdy inni zza miedzy używali swoich regionalizmów i nie mówili np. „koń” tylko „kón”. „Obcych” wyczuwało się na odległość, nawet po bardzo delikatnych różnicach w wymowie, akcencie czy lekkim „zaśpiewie”.

Do tego śpiewnego zaciągania, skłonności pozostały mi do dzisiaj, szczególnie kiedy znajdę się w towarzystwie ludzi z „moich stron”, a atmosfera spotkania jest luźna – zawsze z grona rozmawiających nieznanym, ucho moje potrafi bezbłędnie wyłowić ziomek. Mowa ta siedzi mi w uchu do dzisiaj i za najlepszą muzykę robi.

Zacząć jeszcze chciałem o to, jak ważnym słowo było w czasach, o których piszę. Chłop z tamtej wsi, z Mojego Jaślikowa, był człowiekiem prostym, ale honornym i słowo szanował wyjątkowo, bo czasami jedyne, co miał wartościowego to honor słowem poświadczony. Słowo chłopieckie wartość wielką wtedy miało i raz wypowiedziane w ważnej sprawie

– prawo stanowiło i zmieniane być nie mogło. Chłop mówił: „Słowo u mnie wart więcej niż pieniądze!”. Słowem poświadczal prawdę, zaklinając się: – „Jak Boga Kocham!”, – „Bóg mi świadkiem”, a w sprawach mniejszej wagi – „na sumienie swoje przysięga!”.

Książd tępił z ambony nadużywanie imienia Boskiego, ale chłop zasady honorowe miał i kiedy wiarygodność jego była na szali, nie zważał na słowa klechy i swoje kanony przestrzegania dekalogu wprowadzał – bez wahania Najwyższego biorąc na świadka. I te słowa wystarczały, żeby mu uwierzyć. Ale jeśli który „zaklinając się”, świadomie poświadczal nieprawdę słowem – szacunek w grupie tracił i na „infamię” się narażał, jako ten, co to jęzorem wiele fałszywie i z którym układać się nie warto.

Pochodząc z chłopów, albo bardziej z wiejskiego proletariatu, bo ojciec kowalem był, miałem okazję patrzeć z bliska na to środowisko i widzieć, jak słowem „zabić” można i jak słowem człowieka „do życia” przywrócić da się, jak słowem można zafascynować i do działania pobudzić i jak słowem można zadusić w zarodku wartościową inicjatywę. Mogłem usłyszeć: – „Nie rób tak, bo cię na jęzory wezmą”, a to mogło być bardzo bolesne spotkanie ze słowem.

Ale wracając do „słowa” jako tworzywa kultury chłopskiej, po latach dopiero doceniam jaką miało wagę i znaczenie w czasach, kiedy nie było jeszcze wsadzone w ramy zasad językowych i zależało li tylko od wyobraźni i intencji mówcy. Zdarza mi się niekiedy zagadać do „drugiego”, słowem „prostym”, do celu prosto zmierzającym, bez ornamentów i dwuznaczników – jak to we zwyczaju na wsi bywało – a i nutka akcentu śpiewnego też gdzieś tam się mimo woli wplecie.

Na takie dictum, mój znajomy z miasta, który pewnym jest swoich miejskich korzeni, pyta:

– A co pan tak nie „mówisz”, tylko „śpiewasz”?

– Że to niby „gwarzę”, mówisz Pan? Ano, czasami zdarza mi się „gwarzyć”.

– Panie!

– Jak mnie czasami zapachnie tamta jaślikowska mowa, to powstrzymać się trudno – a jak jeszcze drugi się trafi, co też „gwarzy” – „mowy ni ma, pogwarzyć musowo”.

– Panie!

– Formowanie trudnych nieraz myśli, gdzie giętkość języka potrzebna jest wielka, żeby zrozumienie u drugiego znaleźć, przy użyciu gwary łatwe

jest i proste niezmiernie. Trzema słowami sedno myśli uchwycisz, omijając zakręty i zawiłości mowy ojczyściej, poprawną polszczyzną zwanej.

– Możesz Pan mówić, że wygodne herezja ja tu głoszę i „nieuctwo” językowe usprawiedliwić próbuję, na kpiny biegłych w piśmie się narażając, ale tak to „jestaj” – jak mówił mój wuj Józef Krysa z Krzywego – a bo na Krzywem nie mówili „jest”, tylko „jestaj”.

– Trudno jest gwarę zapisać, bo to, Panie, i wyraz twarzy rozmówcy jest ważny, intonacja z intencją i zaśpiew „wschodni” na głoskę odpowiednią być musi.

Nieraz jedna głoska „zaśpiewana”, za wiele zdań „robi” i przyczyną zwady być może. Toteż ktoś, kto nie słuchał tej mowy w dzieciństwie – dzisiaj zapisanej – pojąć do końca nie może. Pokolenia całe pracowały nad tym, by język ten, niby w słowa uboższy, treści bogatsze przekazywał, a jego żywotowość gestem i „melodią” podkreślał.

„Gwarząc”, myśli w zdaniu zmienione same w gębie się układają, jęzor tylko nimi obraca i w kolejności ustawia, sedno sprawy krótkimi wyrazy wyraża. Kiedyś ten nasz naturalny sposób wyrażania myśli, uznany został za zły i traktowany jak piętno noszone przez ludzi gorszego sortu. Wstydzić się go kazano, w nowe prawidła wsadzano i „poprawnej” mowy uczono. Ciężko było i wstyd czasami.

Pojechałeś do miasta – a tam na każdym kroku, próbując uczyć cię mówić „po polsku”. Młody człowiek szybko łapie, o co w tym języku chodzi, z werwą wielką w czyn nauki wprowadza, chcąc w tłum wielkomięjski się wtopić.

Przyjeżdżasz na wieś – śmieją się z ciebie do rozpuku, że po „pańsku gadasz”. Jak się nie obrócisz – dupa z tyłu.

Młodym będąc, poprawną mowę w mig można jako tako pojąć, gorzej jest z tym zaśpiewem kresowym, który każdemu został wszczepiony za młodu i nawet nie wiesz, że go masz, tak żeś się z nim oswoił, że nie słyszysz go, jak powietrze traktujesz. Dopiero inny ci musi powiedzieć, że „śpiewasz” po kresowemu – tak jak mnie dowódca plutonu w wojsku:

– Wy to, Adamczuk, chyba z Lubelszczyzny?

– A po czym ob. porucznik poznaje?

– A bo wy nie mówicie, tylko tak „śpiewacie”!

A ja już parę lat pewien byłem, że poprawną polszczyzną gadam.

No i tak ten czas kształtuje nam język i obyczaje, a ja dzisiaj muszę sięgać po „rady” językowe do moich wnuków, żeby zrozumieć ich współczesną „gwarę” i dowiedzieć się, co oznaczają te tajemnicze koromyselka językowe w ich SMS-ach.

Ada – moja wnuczka – zdawała w tym roku maturę, siadłem tak koło niej, kiedy coś tam zapisywała z opasłego tomiścza, po tytule widać było, że o język polski chodzi.

– Co tam skrobiesz?

– Dziadku! „Potop”... kwestie najważniejsze wypisuję...

Zaryzykowałem i mówię do niej: – Chcesz to w 15 minut najważniejsze kwestie Ci opowiem.

– Dałbyś radę?

– No, możemy spróbować. – I jakoś tam poszło. Może trochę chaotycznie, bom dawno „Potopu” w rękach nie miał, ale sam zdziwiony byłem, że tyle jeszcze pamięta!... Ada też była zdziwiona, że taki balast wkładaliśmy sobie kiedyś do głowy...

Gdzieś wyczytałem informację, że najbardziej nie lubiane lektury szkolne to „Trylogia” H. Sienkiewicza i „Krzyżacy”. Głównym powodem ponoć, dla którego Sienkiewicza nie lubi się we współczesnej szkole, to archaizowany język, którego składnia i słownictwo są coraz bardziej obce i mało atrakcyjne dla współczesnych młodych czytelników, a i problematyka, którą poruszał Sienkiewicz w swoich powieściach, nie „porusza” dzisiejszego czytelnika, zmieniły się wzorce i standardy bohaterów.

Potrzebna by była opinia znawcy tematu – dlaczego nam, czytelnikom z lat 50., to słownictwo i archaizowany język nie przeszkadzał. Ba! – znaliśmy długie kawałki tej prozy na pamięć, a współczesny młody czytelnik już tego nie „trawi”. Myślę, że język, jakim posługiwaliśmy się w tamtym czasie, nie odbiegał tak znacznie od języka, jakim posługiwał się Sienkiewicz.

Dzisiaj, to już ponadstuletnia „przepaść” czasowa, no i klimaty powieści Sienkiewicza mają się nijak do „Potterowej” symboliki – tak cenionej przez dzisiejszego młodego czytelnika. Tylko patrzeć, jak książki Sienkiewicza będzie można oglądać tylko w antykwariatach.

No i miało by o gwarze, a skończyło się na „Potopie”... Zgroza!

Andrzej Stanisław Adamczuk

Leszek Janeczek

Powstanie apteki „Prima” w Krasnymstawie



Pomysł

Narodził się w jednej chwili. Był październik 1990 r. Miałem wtedy 32 lata. W swoim mieszkaniu w bloku na ulicy PCK, nazywanym „sierżantem”, robiłem coś w kuchni i nagle w jednej sekundzie, ten bardzo jasno sprecyzowany pomysł, wpadł mi nagle do głowy. Był to moment, w podobnych sytuacjach nazywanym olśnieniem. Dlaczego ja, szeregowy pracownik i przewodniczący zakładowej „Solidarności”, myślałem o powstaniu w Krasnymstawie apteki, chociaż istniały już dwie – nie wiem. Ciekawe może być to teraz i dla mnie samego, jakimi ścieżkami w umyśle chadzają takie idee, zanim się narodzą. Początku tej należy szukać 12, może 13 lat wcześniej. Byłem uczniem III klasy krasnostawskiego liceum im. Własysława Jagiełły. Wtedy to mógł być „tylko”, ale dzisiaj to „aż” Jagiełło. Co dziwniejsze, działo się to na lekcji francuskiego. Ale niby co ma piernik do wiatraka? To, że pomysł zawdzięczam – a właściwie to obywatele Krasnegostawu winni być wdzięczni – mieszkańcowi Zamościa! Nauczycielowi języka francuskiego w Krasnymstawie, niestety już nieżyjącemu. W rzczonej III klasie przejął on naszą matematyczno-fizyczną trzódkę i... niczego przez rok nas nie nauczył. Nie to, że ta trzódka to barany – nauki nie było wcale. Wydaje się, że nauczyciel pobierał tylko pensję. Wprawdzie zaczynał lekcję słowami: „No to jedziem w teren!” – wszyscy myśleliśmy, że zaraz będzie jakieś francuskie „parlanie” czy odpytywanie – ale nic z tych rzeczy. Podejrzewaliśmy nawet u niego kompletny brak znajomości języka. Pan nauczyciel uważał za stosowne skupić się na czymś innym. Był to jedyny przedmiot w szacownej szkole, gdzie nawet nie było pozorowania nauki. Dziś dziwi mnie to w dwójnasób. Dyrekcja czy wiedziała, czy pozwalała, czy nieświadoma – trudno powiedzieć, ale tak literalnie było. Za to pan profesor romanista opowiadał wiele kawałów, a był w tym bardzo dobry. Nie wiadomo w czym był lepszy, bo francuskiego nie chciał za

bardzo ujawnić. Co do humoru, w dużej liczbie były to dowcipy żydowskie, jeśli nie wyłącznie. Jednemu z nich należy zawdzięczać trzecią aptekę w mieście. A z francuskiego jaki byłby pożytek? Żaden. Można powtórzyć za belfrem: „no to jedziem w teren!”. Ale po kolei.

Otóż w jakimś dużym mieście – opowiadał nauczyciel - były dwa wielkie sklepy, magazyny, dziś nazywałyby się może i galeriami, z butami. Każdy z nich miał szyld. Na jednym z nich stało: *Najlepsze buty tylko u Silberstajna*. Drugi wielki magazyn przyciągał takim oto napisem: *Najsolidniejsze obuwie tylko u Libermana*. Już znacznie wcześniej, zanim powstały sklepy tych bogaczy, istniała mała, niepozorna budka biednego Żyda handlującego również obuwem. Teraz, ów marny sklepiczyna, znalazł się na środku, pomiędzy potentatami. Po otwarciu wielkich sklepów w sąsiedztwie, dla drobnego sprzedawcy byłaby to kompletna katastrofa. Ale co znaczy żydowski łeb(!). Myślał, myślał i wymyślił. Na swoim sklepiku umieścił wielki napis WEJŚCIE. Co to ma do apteki? Bardzo wiele, ale nie tak prosto. W Krasnymstawie istniały, jako się rzekło, dwie apteki. Pierwsza przy placu 3 Maja, założona jeszcze w roku 1782 za pozwoleniem samego najjaśniejszego pana, króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Drugą otworzyła Polska Ludowa 200 lat później, na początku lat też 80. Tymczasem naprzeciw stadionu istniała, śmiało można powiedzieć - jak na Krasnystaw – wielka przychodnia. Chorzy z receptami tu wystawionymi szli, do którejś ze wspomnianych dwóch aptek. Trzeba było im zastąpić drogę i – tym razem przy wyjściu – skierować ten ludzki potok w pożądanym przez nas kierunku. Jak widać, tu w naszym mieście, w przeciwieństwie do żydowskich sklepów obuwniczych, ważniejsze było wyjście. A pacjenci zamiast iść w miasto, mieliby zaraz przy wyjściu, wejście do apteki.

Realizacja

Sam pomysł to jak rozkwitły kwiat jabłoni. Z większości kwiatów wszak nie ma owoców. Albo kupon totolotka przed losowaniem. Zrealizować to marzenie wydało się dla tak młodego człowieka zupełnie nierealnym. Ale po kolei. Byłem wtedy przewodniczącym NSZZ „Solidarność” w krasno-

stawskim ZOZ-ie. Mogłem więc inicjować pewne pomysły. Nie wyjawiając, w jakim robię to celu, zainspirowałem dyrekcję szpitala, ażeby powołać fundację. Jej nazwa brzmiała „Fundacja na rzecz rozwoju Zespołu Opieki Zdrowotnej w Krasnymstawie”. Aby zapewnić dla fundacji jakieś pieniądze, a był to ciężki czas roku 1990, zaproszono do współpracy znaczniejsze zakłady z Krasnego-stawu i okolic. Kogóż tam nie było, a więc: Ceramika, OSM, cukrownia, cementownia w Rejowcu Fabrycznym (dziś już zlikwidowana), POZH (po którym dziś też nie ma już śladu), fermentowania tytoniu (po niej stoją teraz tylko puste budynki), chyba jeszcze Zremb (który w niedługim czasie uległ likwidacji). Fundacja powstała z całymi szykanami, jakich wymagało prawo. Nie wiem już dzisiaj, czy wyjawiałem pomysł tworzenia apteki, ale chyba nie.

Kilka miesięcy później nastąpiła zmiana dyrekcji szpitala. Ogłoszono konkurs. Namówiono mnie, abym do niego przystąpił. W sumie zgłosiło się czterech kandydatów. Nas dwóch było ze szpitala i dwóch zupełnie spoza branży. Konkurs ten wygrałem i z dniem 1 grudnia 1990 roku zostałem dyrektorem dla 1300 pracowników, sam mając zaledwie 6 lat pracy, a wieku swojego lat 32. Już w czasie konkursu, kiedy przepytывano kandydatów powiedziałem, że mam taki pomysł, który będzie przynosił dla ZOZ-u stały dochód i to pozwoli wzbogacić naszą jednostkę w sprzęt, którego państwo nie jest w stanie nam kupić. Pamiętam, że wymieniłem nawet kwotę, jakiej się spodziewam, było to czegoś 500, chyba milionów. Będąc już dyrektorem, mogłem przystąpić do działania. Potrzebne były dwie rzeczy. Pieniądze i koncesja. Wydawać by się mogło, że trudniej było o to pierwsze. Szpital, czy szerzej ZOZ nie mógł takiej apteki założyć. Do tego posłużyła właśnie fundacja, którą zainicjowałem jakiś czas wcześniej, jako przewodniczący „Solidarności”, z myślą, że ona ten pomysł zrealizuje. Pieniądze podarowały zakłady pracy zrzeszone w fundacji. Ale to jeszcze było za mało. Jako dyrektor, zwróciłem się do dwóch osób w mieście o nieformalną pożyczkę. Jedną z nich był wójt gminy Krasnystaw Janusz Korczyński, drugą proboszcz parafii św. Franciszka Ksawerego ksiądz Piotr Kimak. Pamiętam, że ksiądz proboszcz pożyczył mi kwotę, która wynosiła 10 praw-

dopodobnie milionów. Gdy mi pożyczał, poprosił, abym napisał kartkę. On podyktował tekst. Było w nim, że ja pożyczam od niego określoną kwotę. Po podpisaniu kartka została u księdza proboszcza, jako zabezpieczenie na wypadek, gdybym pożyczki nie zwrócił. Wójt wykazał się większą wiarą niż ksiądz, gdyż żadnego potwierdzenia ode mnie nie żądał. Pozostała teraz tylko kwestia koncesji, która przy zdobytych pieniądzech wydawała mi się niezbyt trudna. Jako dyrektor udałem się do Warszawy do Ministerstwa Zdrowia. W ministerstwie w roku 1991 koncesje na otwarcie apteki wydawał Departament Farmacji. Gdy tam przyjechałem, zobaczyłem, że na korytarzach, pod ścianami, na parapetach siedzieli różni ludzie i patrzyli coś w papiery, wypełniali jakieś dokumenty. Przyjęła mnie pani dyrektor Mańko, przedstawiłem siebie i mój pomysł i w jakim celu chcę zrobić tę aptekę. Złożyłem stosowne dokumenty. Minął jakiś czas, odpowiedzi nie było. Pojechałem ponownie i znowu spotkałem się z panią dyrektor. Zorientowałem się, że ci wszyscy ludzie, których tam ciągle można spotkać na korytarzach, starają się o prywatne apteki dla siebie. Nie na darmo nazywa się ten okres czasem transformacji. Postanowiłem wykorzystać fakt tylu prywatnych aptekarzy chcących założyć własne apteki. Pani dyrektor nie odmawiała mi oficjalnie przyznania koncesji, ale widziałem, że bardzo wahała się. Widać to było po jej mowie ciała, tembrze głosu i wypowiedzanych słowach. To wzbudzało we mnie skrywaną furię. Zupełnie tego nie rozumiałem. Jak można przyznać bez oporów zgodę na otwarcie prywatnych aptek, a zastanawiać się przy czymś, co ma służyć szerszej społeczności. Szerszej to mało powiedziane, chodziło o około sto tysięcy i tak to wyraźnie podkreślałem w rozmowach. Pani dyrektor jakby się bała. Kiedy znalazłem się z nią sam na sam powiedziałem, że ja tej apteki nie chcę dla siebie, tak jak wszyscy, którzy tutaj czekają. Statut fundacji zakładał, że wypracowane przez fundację pieniądze mogą być użyte tylko na taki sprzęt, który podniesie jakość szpitala. Tych pieniędzy nie można było użyć na zakup igieł, rękawic, tym bardziej na pensje. Powiedziałem wtedy pani dyrektor, aby zważyła to, że dzięki tej aptece zakupimy sprzęt, którego państwo nam nigdy nie kupi. Sytuacja była wtedy tak trudna, że nie widziało się nadziei. Mówiłem, że

chciałbym, aby nasi pacjenci mieli taką aparaturę, jak mają w Warszawie. Pani dyrektor – perorowałem – ja z tego nic nie będę miał. Nie tak jak ci tutaj czekający. Problem polegał na tym, że w kraju nie było takiego precedensu, aby istniała apteka fundacyjna, stąd pani dyrektor nie bardzo wiedziała, jak postąpić. Działała już wtedy Naczelna Izba Aptekarska, która pilnowała sprawy prywatnych aptekarzy. Będąc młodym człowiekiem, może trochę narwanym, a przede wszystkim widząc niezdecydowanie pani dyrektor Departamentu Farmacji, nie mając za sobą żadnych innych argumentów, blefując powiedziałem w końcu:

– *Pani dyrektor, prezydent Wałęsa powiedział, że trzeba sprawy brać w swoje ręce. Widzę, że Pani dyrektor nie wie, co ze mną zrobić, więc ja jadę do Belwederu do prezydenta Wałęsy.*

Rzuciwszy taki argument, wyszedłem. Na zawile dyplomatyczne rozmowy byłem wtedy jeszcze zbyt młody a i nie miałem takich predyspozycji. Nie miałem też żadnych znajomości, dzięki którym mógłbym tę sprawę z innej strony popchnąć do przodu. Nocując w Warszawie, w jakimś dziwnym obiekcie zaimprovizowanym na niby-hotel, zetknąłem się z kimś, kto reprezentował nowo powstałe państwo litewskie w Polsce. Chyba nie był to ambasador. Skarżył się na liche lokum dla niego, jako przedstawiciela państwa. Z tym człowiekiem był bliski współpracownik braci Kaczyńskich. Może ta znajomość – kalkulowałem – mogłaby się przydać. Pelen niepewności wróciłem do Krasnegostawu. Za około dwa, może trzy tygodnie przyszedł list z ministerstwa zdrowia do naszej dyrekcji. Jakież było moje zdziwienie i radość, kiedy okazało się, że pani dyrektor przyznała nam koncesję na otwarcie apteki. W żartach tak czasem mówiłem do znajomych, że prezydent Wałęsa otworzył aptekę w Krasnymstawie, sam nawet o tym nie wiedząc. No bo ja oczywiście do żadnego belwederu nie pojechałem, tylko rzuciłem pani dyrektor na pożegnanie taką groźbę. Apteka została otwarta 3 sierpnia 1991 roku w przeddzień moich 33 urodzin. Miałem z tego wielką satysfakcję, że to wymyśliłem, ale jeszcze bardziej z tego, że potrafiłem doprowadzić sprawę do końca, pokonując różne przeszkody. Dość powiedzieć, że pewien bardzo wpływowy działacz krasnostawskiej „Solidarności” na jakimś publicznym spotkaniu w Krasnostawskim Domu

Kultury był bardzo przeciwny temu przedsięwzięciu, jeszcze na etapie planów.

I tak powstała trzecia apteka w Krasnymstawie. Pierwsza została założona w I Rzeczypospolitej, druga w czasach socjalizmu, a trzecia za Wałęsy w III RP. I co bardzo istotne – wykreowała dodatkowo aż 7 nowych miejsc pracy. A określano wtedy, ile trzeba wydać, aby stworzyć pracownikowi możliwość pracy. Był to czas szalejącego bezrobocia, dramatów socjalnych wielu ludzi. A tu prawie bezkosztowo, właściwie tylko dzięki pomysłowi powstało coś z niczego. Na cześć pierwszej fundacyjnej apteki w Polsce nadałem jej nazwę „Prima”. Kilka miesięcy później zwalczający naszą aptekę szef drugiej, konkurencyjnej apteki w mieście mawiał tak: – *Apteka Prima, w której nic ni ma*. Była to oczywiście nieprawda, a najlepszym dowodem na to jest fakt, że w województwie chełmskim, obejmującym Włodawę, Chełm i Krasnystaw, była to apteka z największym obrotem refundacyjnym. Idea z żydowskiego dowcipu rzeczywiście zadziałała.

Zbudowany powodzeniem, chciałem realizować następne plany. Założyć hurtownię leków, eksportować leki na Ukrainę i zakładać następne apteki. Dla pani dyrektor Mańko było tego za wiele. Na jej fizjonomii widać było napięcie, jakąś wewnętrzną irytację, skrywaną z trudem. Jej słowa ukazywały stan jej umysłu i nastawienia do mnie. Powiedziała, a było w tym niemal oburzenie, że ja mam zajmować się leczeniem pacjentów, a nie robić biznesy. Postanowiłem spotkać się z ministrem zdrowia. Był nim Kosiniak-Kamysz, ojciec obecnego ministra obrony, szefa PSL-u. Nie było go tego dnia w ministerstwie. Gabinet w złoceniach i czerwieniach obici, cicho, pusto, tylko sekretarka. Pani Mańko głównie obawiała się hurtowni leków i eksportu na Ukrainę. Wicewojewoda chełmski, Eugeniusz Wójcik, któremu o tym powiedziałem podczas wizyty w Łucku na Ukrainie, wystąpił w tamtejszym radiu i nagłośnił temat, nawet znalazł już chętnych na kupowanie leków. Mając przetartą drogę, postanowiłem założyć następną aptekę, tym razem w Łopienniku. Istniała tam już apteka, działająca w ramach Cefarmu przy naszym ośrodku zdrowia. Budynek był także nasz, wybudowany siłami naszego zakładu remontowo-budowlanego. Tym razem ja już do Warszawy nie jeździłem, wy-

syłałem panią Zofię Staszak, etatową pracownicę fundacji. Ta apteka była dużo mniejsza niż „Prima”. Chciałem ją nazwać „Secunda” – co miało oznaczać „Druga”. Następne miałyby nazwy „Tertia”, „Kwarta” i tak dalej. Założenie drugiej apteki było jeszcze trudniejsze z powodu oporu Naczelnej Izby Aptekarskiej. Pani Mańko nie mogłem już nastraszyć Wałęsą, a większego asa w rękawie nie miałem. Ostatecznie, dzięki naszej determinacji i na tę aptekę uzyskaliśmy koncesję. Następną aptekę planowałem otworzyć w Leśniowicach. Wszystkie ośrodki zdrowia w naszym rejonie podlegały mi, jako dyrektorowi, więc mogłem sobie na to pozwolić. Tak mi się przynajmniej wydawało. Gdy pani Zofia pojechała do Naczelnej Izby Aptekarskiej, od której wymagane było zezwolenie, usłyszała takie słowa: – *co my się mamy z tym Janeczkiem, a ta fundacja jest jak rak, chce coraz więcej i więcej. Jak inne ZOZ-y w kraju się o tym dowiedzą, to nasi farmaceuci – miała na myśli prywatnych – pójdą z torbami*. Szefowa Naczelnej Izby Aptekarskiej miała na imię Edwarda. Przypadkiem zobaczyłem jej wypowiedź w głównym wydaniu dziennika telewizyjnego o godz. 19.30 jak utyskiwała na zakładanie takich aptek, jak nasza. I na trzecią aptekę nie pozwolono. Pomyślałem wtedy, jaki to kraj? Z jednej strony szpitale i w ogóle cała służba zdrowia przeżywa drastyczne trudności – brak pieniędzy na wszystko, brak pieniędzy na leczenie chorych, a tu ma taki pomysł pozwalający w krótkim czasie zaradzić trudnościom, znacznie wesprzeć finansowo. I nie ma nikogo z decydentów, kto mógłby w tej idei dostrzec jej wartość. Początek III Rzeczypospolitej, trudności mieszają się z nadziejami. A tu zwycięża prymitywna prywatata, spychając interes nas wszystkich w niebyt. W ostatnim czasie natrafiłem na sentencję, która zdaje się trochę pasować do tej sytuacji. *Zdrowe społeczeństwa umieją wykorzystać każdego, chore nie dadzą nikomu nic zrobić*.

Jednak inne szpitale dowiedziały się o naszych poczynaniach. Ich dyrektorzy przyjeżdżali do nas, aby zdobyć informacje, jak założyć taką aptekę. Gazeta „Służba Zdrowia”, dziś już nieistniejące czasopismo, w pewnym okresie, krótkim zresztą, wydawała dodatek zatytułowany „Szpital Polski”. W jednym z numerów redaktor z Warszawy, który przyjechał do Krasnegostawu, było to

w maju 1994 roku, zamieścił bardzo obszerny wywiad ze mną, w którym przedstawiłem swoje działania. Na pierwszej stronie wielkie zdjęcie starego szpitala i kwitnące kasztany. W regionie, po moim pomysle powstało około 16 aptek fundacyjnych. Apteki te, wypracowany zysk przekazywały szpitalom. Tak mi się przynajmniej zdaje. Pamiętam pierwszy nasz zakup sprzętowy, był to bronchofiberoskop dla Oddziału Gruźlicy i Chorób Płuc. Został zakupiony z zysku wypracowanego przez aptekę „Prima”. Przekazanie tego, dziś wydaje się nie tak bardzo znaczącego sprzętu, odbyło się przy licznie zaproszonych gościach, włącznie z lekarzem wojewódzkim doktorem Leszczym Pańskim, dyrektorami 7 zakładów pracy związanych z naszą fundacją, przedstawicielami władz. Dla mnie satysfakcjonujące najbardziej było to, że to, co sobie założyłem teoretycznie, zaczyna działać w praktyce. Bronchofiberoskop był pierwszym takim urządzeniem zakupionym w województwie chełmskim, a dodać trzeba, że w Chełmie istniał szpital wojewódzki, dwukrotnie większy od naszego.

Pomimo sukcesów, apteka „Prima” nie miała lekko. Zawistnicy nasyłali na nią różnego rodzaju kontrole. Chciano ją chyba zlikwidować. Nawet jeden z tytułów prasowych brzmiał: *Apteka „Prima” solą w oku aptekarzy*. Pewnego razu, kiedy wszedłem do naszego sekretariatu, czekała na mnie niewysoka kobieta z warkoczem blond włosów. Powiedziała do mnie, że jest z NIK-u, z Warszawy i że przyjechała na kontrolę naszej fundacji z polecenia prezesa. Zapytałem wtedy – z polecenia Lecha Kaczyńskiego? – gdyż on wtedy był prezesem NIK-u. Pani potwierdziła. Zdziwiłem się, aż z Warszawy widzą naszą niestandardową aptekę i martwią się, czy aby nie jest to jakiś nieczysty interes. Następne kontrole Najwyższej Izby wykonywane były przez pewnego kulturalnego pana z Lublina. Mówił mi, że nie wie, po co tu przyjeżdża, tu nie ma żadnych nieprawidłowości, ale mu każą. Nasyłano również kontrole skarbowe. Nigdy nic nie odkryto. Wójtowi i proboszczowi szybko oddałem pożyczone pieniądze. Potem, gdy apteka stanęła na nogi, mogła własnymi siłami działać przez następne lata. W rok po otwarciu apteki i jej sukcesie finansowym wewnętrzna opozycja szpitalna wspierana przez jednego działacza z zewnątrz, chciała

mnie odwołać ze stanowiska dyrektora. Grupa ta pojechała do wicewojewody Wójcika z tym problemem. Ten pochodzący jeszcze z czasów PZPR aparatczyk, który jakimś cudem utrzymał stanowisko, tak bał się działaczy „Solidarności”, że odmówił spotkania wicepremierowi Białorusi, który gościł tego dnia w Chełmie, aby nie narazić się działaczom ówczesnej siły przewodniej. Nie miało znaczenia, że w tych właśnie dniach fundacja z Holandii przekazała naszemu pogotowiu karetkę mercedesa, który to pojazd pozyskaliśmy dzięki mojej wizycie w Holandii. Wówczas była to jedyna takiej klasy karetka w województwie lubelskim. Odwołanie mnie z dyrektora ostatecznie nie udało się, puczyści zostali zawiedzeni w swoich nadziejach. Na spotkaniu u wojewody nie umieli logicznie uzasadnić swoich zarzutów skierowanych do mnie. Bo tu wcale nie o zastrzeżenia chodziło. Broniło mnie wtedy w Chełmie wiele osób, delegaci Lubelskiej Izby Lekarskiej, gdy miejscowi mnie oskarżali, bronił wójt Korczyński i burmistrz Andrzej Jakubiec. W jakiś sposób moje pomysły dotarły po pewnym czasie do Warszawy. Pośrednią drogą dostałem propozycję pracy w Ministerstwie Zdrowia jako dyrektor departamentu. Ministrem zdrowia był Wojtyła jakiś daleki krewny naszego papieża. Odmówiłem. Było to po śmierci mojej żony Grażyny, wychowywałem dwie małe córki Olę i Asię, to było dla mnie priorytetem.

Od roku 1993 na terenie szpitala działała apteka leków darowych. Jej powstanie to zasługa mojego zastępcy doktora Zbigniewa Bijaty. To on, we współpracy z międzynarodową organizacją Pharmaciens Sans Frontières czyli Farmaceuci bez Granic, zorganizował punkt, do którego z zagranicy, przede wszystkim z Francji, przychodziły leki, a mieszkańcy Krasnegostawu i okolic mieli je wydawane za darmo. Pewnego razu, jesienią 1992 przyjechała nawet delegacja z Francji, aby na miejscu sfinalizować projekt. Apteka leków darowych, mieszcząca się w budynku przypominającym barak, działała kilka lat. Korzystało z niej setki, jeśli nie tysiące naszych pacjentów. Dziś tylko nieliczni mogą sobie o niej przypomnieć. Większość beneficjentów już odeszła. Czas pośpiesznie zacierania ślady.

Epilog

Apteka „Prima” przetrwała w sumie 21 lat i została zlikwidowana przez jednego z kolejnych dyrektorów, tym razem już nie jako fundacyjna, ale zozowska. Miała być nierentowną. W Krasnymstawie było już wtedy może 10 aptek, w tym tak zwane sieciówki, z którymi trudno było konkurować. Korporacje rozdrapały rynek farmaceutyczny, jak prawie wszystko. Dziwne tylko jest to, że w miejscu zlikwidowanej apteki, powstała inna, tym razem prywatna, której wydzierżawiono niemal te same pomieszczenia. Po cichu plotkowano z kim powiązana i że likwidacja naszej miała być ukłonem w stronę tej wpływowej osoby, aby się jej przypodobać. Nie sprawdzałem, nie dochodziłem. Ale jeszcze dziś są tacy, którzy jakoby wiedzą, do jakich zakładów sprzedawano z niej leki psychotropowe. Może to tylko plotki. Gdyby to było prawdą, byłoby to wielkie zwycięstwo ukrytej prywaty w pełnym świetle demokracji dla naiwnych. Moja siostra była farmaceutką i gdybym myślał tylko o sobie, mogłem założyć własną aptekę. Pewnie dla wielu ta ideowość była naiwnością. Następcy nie mieli takich skrupułów. Przychodziła era żarłocznej prywatyzacji.

Profesor od języka francuskiego nigdy się nie dowiedział o wielkim pożytku wynikłym z jego inspiracji. Po raz ostatni widziałem go kilka lat później w Zamościu, w zimowy poranek stał na bazaru przy swoim stoliczku, sprzedając jakieś rzeczy. Nie chciałem, aby rozpoznał we mnie dawnego ucznia, nie był już nauczycielem.

dr Leszek Janeczek

Leszek Janeczek (1958). Doktor nauk medycznych, ginekolog, regionalista, działacz społeczny i samorządowy, autor książek. Laureat m.in. krasnostawskiego wyróżnienia „Złote Karpie” oraz kawaler Orderu Nestorii.

Marta Kafarska

Poświęcenie Urzędu Skarbowego



Dawny Wydział Finansowy Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Krasnymstawie miał początkowo swoją siedzibę w prywatnym budynku śp. mecenasa Lucjana Hendigerego przy ulicy Pocztovej. To tutaj w roku 1959 rozpoczęłam swoją pracę na okres próbny trzech miesięcy. Wyposażenie Wydziału w pomoce do pracy było skromne, a porównując je do czasów dzisiejszych, określe jako prymitywne. Były to zwykłe ołówki kopiowe, służące m.in. do wypisywania pokwitowań, szklane kręcone pióra maczane w kałamarzu z atramentem do księgowania przez kalkę, liczydła drewniane, powielacze nasycane denaturatem do kserowania dokumentów, aparaty telefoniczne na korbkę, a w przypadku połączeń zamiejscowych rozmowy zamawiało się.

Po zakończeniu próbnego okresu pracy, w roku 1960 zostałam zatrudniona na czas nieokreślony. Siedziba Wydziału Finansowego w tym czasie została przeniesiona do dawnego budynku sejmikowego, w tym również historycznej sali sejmikowej na pierwszym piętrze. W tym miejscu Wydział Finansowy funkcjonował przez 15 lat.

W roku 1975, w wyniku nowego podziału administracyjnego naszego kraju, likwidacji powiatów oraz powstania nowego województwa chełmskiego, Wydział Finansowy w Krasnymstawie uległ likwidacji z dniem 1 czerwca.

Z całego składu osobowego dawnego Wydziału liczącego ponad 40 pracowników pozostał wówczas mój referat egzekucyjny, którego zadaniem było egzekwowanie różnych należności finansowych Skarbu Państwa, jak również innych wierzycieli. Były to zadłużenia podatkowe, niespłacone kredyty, przejazdy bezbiletowe, nieuiszczone mandaty, abonament RTV itp. Referat składał się z kilku osób służby wewnętrznej i zewnętrznej – poborców skarbowych. Referat działał przy Urzędzie Miasta w dwóch małych pokojach obok głównego budynku przy ul. Browarnej, a jego jednostką nadrzędną był Wydział Finansowy Urzędu Wojewódzkiego w Chełmie. Wówczas z dawnego

Wydziału Finansowego powołano także jednoosobowe stanowisko do spraw podatkowych indywidualnej działalności gospodarczej.

W związku z wejściem w życie Ustawy z dnia 29 grudnia 1982 r. o Urzędzie Ministra Finansów oraz urzędach i izbach skarbowych, od 1 stycznia 1983 r. powołana została Izba Skarbowa w Chełmie i podległe jej Urzędy Skarbowe w Chełmie, Krasnymstawie i Włodawie. Były referat egzekucyjny w Krasnymstawie został automatycznie włączony do Urzędu Skarbowego wraz ze stanowiskiem do spraw podatkowych.

Urząd Skarbowy zaczął wzrastać etatowo i w związku z tym zachodziła potrzeba zwiększenia liczby pomieszczeń biurowych. Dlatego też Izba Skarbowa w Chełmie zakupiła prywatny budynek jednopiętrowy w stanie surowym przy ul. Rzecznej od znanego wówczas pracownika w Krasnymstawie śp. Chmielewskiego. Urząd Skarbowy miał więc już własną siedzibę, własne pomieszczenia.

Wówczas z inicjatywy ówczesnego przewodniczącego związków zawodowych kol. Stanisława Wyszyńskiego i kol. śp. Witolda Kurka odbyła się uroczystość poświęcenia Urzędu Skarbowego przez ks. proboszcza parafii św. Franciszka śp. Piotra Kimaka. Zawieszony został również krzyż w holu przy wejściu do budynku.

Wkrótce budynek okazał się jednak w dalszym ciągu za mały, jak na potrzeby Urzędu Skarbowego. Powstawały nowe agendy i zaistniała potrzeba jeszcze nowych pomieszczeń. Zapadła więc decyzja Izby Skarbowej jego rozbudowy. W związku z tym już wtedy dla referatu egzekucyjnego wynajęte zostało jedno większe pomieszczenie w zasobach Spółdzielni Mieszkaniowej przy ul. Okrzei na okres dobudowy budynku przy ul. Rzecznej. Tutaj dodam, że referat egzekucyjny był wówczas sąsiadem gabinetu stomatologicznego p. Krajewskich, przy jednym wspólnym korytarzu. Tak bliskie sąsiedztwo z gabinetem stomatologicznym do dziś wspominam bardzo pozytywnie ze względów oczywistych.

Rozbudowa budynku Urzędu Skarbowego trwała ponad dwa lata. Tym razem nowy budynek o trzech kondygnacjach nadziemnych okazał się właściwy i wystarczający. Wyposażenie budynku było też imponujące, nowe biurka, szafy, krzesła miękkie obrotowe, wykładziny, firanki, maszyny

elektroniczne, komputery, drukarki, kserokopiarki i inne drobne pomoce do pracy. Jednakże, kiedy tak wszyscy pracownicy rozmieścili się wygodnie w przestronnym budynku okazało się, że brakuje krzyża zawieszzonego wcześniej w jego starej części. Wraz z młodszą kol. Wandą Łagowską zaczęliśmy szukać, ale na próżno. Zatrudnione dwie nowe panie sprzątaczkі także nie wiedziały, gdzie może się znajdować.

Tymczasem zbliżała się oficjalna uroczystość otwarcia budynku i oddania go do użytku. W związku z tym zaproszone zostały osoby reprezentujące ważne kierownicze stanowiska w instytucjach użyteczności publicznej naszego miasta wraz z burmistrzem, a także władze Izby Skarbowej w Chełmie i Ministerstwa Finansów. Według informacji ówczesnego przewodniczącego związków zawodowych nie został zaproszony ks. proboszcz Piotr Kimak. Uroczystość odbyła się w przyjemnej atmosferze w dużej sali narad Urzędu, gdzie zgromadzili się wszyscy pracownicy i przybyli zaproszeni goście.

Krzyża jednak wciąż nie było. Któregoś dnia, przebywając na zwolnieniu lekarskim w domu, otrzymałam telefon od kol. Wandy: – „Znalazłam krzyż!” – „Wandziu a gdzie był?” – „W magazynku, w suterenie, pod drukami”. Chwilowo oniemiałam. Zgodnie z naszą umową, po powrocie do pracy, krzyż leżał w szufladzie mojego biurka. Wówczas wspólnie z b. przewodniczącym związków zawodowych kol. Wyszyńskim i kol. Wandą oraz krzyżem w dużej białej kopercie A4, udaliśmy się do naczelnika Urzędu z prośbą a właściwie informacją, że chcemy zawiesić znaleziony krzyż w odpowiednim miejscu nowego budynku, tak jak było to wcześniej. Otrzymałszy odpowiedź, że jest dużo spraw i ta sprawa zostanie podjęta za tydzień. Przyznam, że wtedy byłam jakoś dziwnie przedwcześnie usatysfakcjonowana. Minął jednak tydzień, dwa, miesiąc i sprawa nie została sfinalizowana. W związku z tym krzyż został zawieszony przez kolegów w moim pokoju.

W roku 2001 Urząd Skarbowy w Krasnymstawie przejmuje nowy naczelnik Henryk Kolar z Lublina, jako kolejny z moich ośmiu wszystkich pracodawców. Któregoś dnia, mając sprawę służbową do naczelnika, jednocześnie przy okazji poinformowałam go o zaistniałej wcześniej sytuacji

w Urzędzie. Dało się odczuć wówczas, że naczelnik był wyraźnie tą sprawą zainteresowany. Uplęło dokładnie kilka dni, wzywa mnie informując, że nowy budynek Urzędu będzie poświęcony i w związku z tym przyjedzie do nas abp Józef Życiński. Jednocześnie poinformował, że tego samego dnia poświęcona zostanie również kuchnia dla ubogich przy parafii Trójcy Przenajświętszej zbudowana z inicjatywy proboszcza Ryszarda Winiarskiego oraz kaplica w Areszcie Śledczym. Ta informacja zrobiła na mnie ogromne wrażenie ze względu na rangę osoby, która miała przybyć, a także moje zamierzone odejście wkrótce na emeryturę z dniem 31.12.2001

9 grudnia wraz z naczelnikiem i kol. Wandą powitaliśmy przed budynkiem Urzędu śp. ks. abpa Józefa Życińskiego, śp. ks. prałata Piotra Kimaka i jego następcę ks. prob. Henryka Kapicę. Główna uroczystość odbyła się na dużym holu I piętra, gdzie w obecności zgromadzonych pracowników Urzędu naczelnik powitał przybyłych gości. Nowy budynek został uroczystie poświęcony, jak również krzyże poszczególnych referatów. Oprawę muzyczną tej uroczystości przygotował mój zięć Jacek Dzik, śpiewając psalm i grając na gitarze.

Ks. abp Józef Życiński skierował następnie miłe słowa do pracowników Urzędu, życząc sukcesów w pracy zawodowej oraz pomyślności w życiu osobistym. Jednocześnie poszczególne referaty pracowników mogły zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia z Jego Ekscelencją Józefem Życińskim.

Dziś zastanawiam się, komu przeszkadzał krzyż zawieszony w starej części Urzędu Skarbowego, który to Urząd działał wówczas w normalnych warunkach w czasie prowadzonej jego budowy.

Marta Kafarska

Elżbieta Patyk

Agnieszka Battelli o miłości w poezji i w piosence

21. Ogólnopolski Tydzień Bibliotek rozpoczęliśmy 8 maja od spotkania z Agnieszka Battelli. Spotkanie prowadził poeta Wojciech Bieleń (Targosz). Agnieszka Battelli czytała swoje wiersze i wykonywała piosenki z płyty „Pytasz mnie, czy cię Kocham...”. W czasie rozmowy określiła siebie jako wielozawodowca. Ukończyła Akademię Muzyczną w Łodzi na wydziale wokalnno-aktorskim. Wokalistka, aktorka, muzyka, kompozytorka, reżyser teatralny, pedagog śpiewu, poetka, pisarka, dramaturg, animator kultury, a także arteterapeutka i terapeutka zajęciowy. W swoim dorobku ma wiele pozycji poetyckich, śpiewa piosenki poetyckie z własnymi tekstami i czasami własną muzyką. Pisze sztuki teatralne i bajki dla dzieci. Na co dzień współpracuje z wieloma muzykami, realizując różne projekty zarówno estradowe, jak i fonograficzne. Jest otwarta wciąż na nowe wyzwania, a jako pedagog uczy młodych adeptów wokalistyki śpiewać. Z Krasnymstawem związana jest przez swoich przodków. Na cmentarzu parafialnym znajduje się grobowiec ro-



Fot. Joanna Radziszewska.

dziny, w którym spoczywają praprapradziadowie Paweł i Maria Krassowscy. Prapradziad Stanisław Pomian-Srzednicki przez 9 lat pracował w sądzie w Krasnymstawie, jednym z największych sądów pokoju w kraju. W roku 1869 ożenił się z praprabką Bronisławą z domu Krassowską. Agnieszka Battelli jest fundatorem i członkiem rady programo-

wej Fundacji imienia Stanisława Pomian-Srzednickiego. Fundacja zajmuje się wieloma projektami patriotycznymi i edukacyjnymi, a jej głównym celem jest propagowanie wiedzy o patronie Fundacji i przywracanie pamięci o sędzi Stanisławie Pomian-Srzednickim, twórcy sądownictwa w odrodzonej Polsce i pierwszym prezesem Sądu Najwyższego w latach 1917-1922. Zainteresowani otrzymali tomiki poezji i płyty z dedykacją poetki.



Fot. Joanna Radziszewska.

Elżbieta Patyk

Po południe z poezją i muzyką

Światowy Dzień Książki i Praw Autorskich obchodzony 23 kwietnia tradycyjnie poświęcony jest promocji literatury i czytelnictwa. Co roku staje się też okazją do dyskusji na temat roli książki jako źródła wartości i wiedzy, a także skarbnicy dziedzictwa niematerialnego i różnorodności kulturowej oraz narzędzia dialogu. W tym dniu w Bibliotece Powiatowej swoją poezję zaprezentowała Urszula Bydlińska, mieszkanka Siedlisk. Poetka skończyła historię, zajmuje się też malarstwem olejnym oraz akwarelą. Przygodę z poezją zaczęła we wczesnym dzieciństwie, pisząc wierszyki o sąsiadach, swoich pupilach – psach, a w stanie wojennym krótkie, dziecięce formy antysystemowe, które rodzice przechwytywali i ukrywali z wiadomych względów. W szkole średniej pod wpływem fascynacji polskimi i rosyjskimi poetami powstały pierwsze wiersze o tematyce uczuć. Za udział w szkolnych konkursach literackich otrzymywała nagrody i wyróżnienia. W okresie studiów zadebiutowała w tygodniku „Angora” wierszem „Biedronka”. Poza nielicznymi publikacjami, większość wierszy ukrywała w czełusciach szuflady, by wreszcie za namową poetki Joanny Pąk, w 2022 r. trafić do druku. Zadebiutowała zbiorem wierszy „Otulam się Tobą”. W 2023 r. ukazał się drugi tomik poezji „Zabłądziłam”.

Poetka podziękowała wszystkim, którzy przybyli na spotkanie, żeby spędzić ten czas razem, a także wielu osobom, dzięki którym pewne rzeczy się zdarzają w jej życiu. Wiersze opublikowane, ale i zupełnie nowe, oprócz poetki czy-

tały Dorota Gołębiowska, Anna Wołosiuk i Anna Winiarska-Biszczan. Oprawę muzyczną wieczoru zapewniła gra na skrzypcach i śpiewem Julia Nowacka, uczennica liceum w Chełmie. Zainteresowani mogli otrzymać tomiki z dedykacją autorki i zaproszeniem do lektury.

Elżbieta Patyk

Światowa Noc Kosmonautyki w Krasnymstawie

12 kwietnia miłośnicy astronomii spędzili popołudnie i wieczór z astronomią i kosmonautyką. Polskie Towarzystwo Miłośników Astronomii Oddział Lublin i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Krasnymstawie byli organizatorami Światowej Nocy Kosmonautyki. Wiesław Krajewski w prelekcji „Medycyna i kosmos” mówił między innymi o tym, że od 60 do 80% astronautów doświadcza syndromu adaptacji do przestrzeni kosmicznej w ciągu pierwszych trzech dni lotu, w postaci nudności czy wymiotów. Astronaucci mają problemy zdrowotne (dezorientacja, zaburzenia wzrokowe, choroba lokomocyjna). Są narażeni na osłabienie kości, zanik mięśni i na promieniowanie kosmiczne. Podczas lotów astronauci biorą leki poprawiające nastrój, rytm snu, leki przeciwbólowe, na niestrawność czy też antybiotyki.

Zbigniew Jankowski opowiedział o „Historii Space Shuttle”. Promy kosmiczne, wahadłowce zostały skonstruowane przez NASA



Fot. Joanna Radziszewska.

i przystosowane do odbywania wielokrotnych podróży na orbitę. Discovery był trzecim promem, który odbył lot w przestrzeń kosmiczną. Jego zadaniem był transport załogi i wymiana zaopatrzenia Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). Discovery wyniósł na orbitę teleskop Hubble'a, a także uczestniczył w dwóch misjach serwisowych tego satelity. Wznosił też amerykańskie podróże kosmiczne po katastrofie Challengera i wahadłowca Columbia. W latach 1984-2011 odbył trzydzieści dziewięć misji, więcej niż którykolwiek z promów kosmicznych.

Marcin Jarski pokazał jak przez radio można skontaktować się z satelitami i ISS – Międzynarodową Stacją Kosmiczną.

Łukasz Tkaczyk zaprezentował próbki skał impaktowych, które można było zobaczyć przez mikroskop. Skały impaktowe to typ skały, która powstała lub została poważnie zmieniona bezpośrednio pod wpływem uderzenia meteorytu, na skutek wysokiej temperatury lub siły uderzenia. Są to też skały osadowe zawierające domieszki materiałów pochodzenia pozaziemskiego.

Zbigniew Jankowski zrelacjonował aktualności astronautyczne z ostatniego roku. Marcin Jarski opowiedział, co aktualnie możemy zobaczyć na kwietniowym niebie.

Na korytarzu zaprezentowano wystawę modeli ciał Układu Słonecznego oraz starych instrumentów astronomicznych. Niezapomnianych wrażeń dostarczyła obserwacja Słońca, Księżyca i planet przez teleskopy. Do zobaczenia za rok!

Elżbieta Patyk, dyrektor Powiatowej Biblioteki Publicznej w Krasnymstawie.

Protokół

Jury XVII Konkursu Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a Ty pisz!” im. Mariusza Kargula organizowanego przez Krasnostawski Dom Kultury Krasnystaw 2024

Komisja w składzie:

Jan Henryk Cichosz – poeta, krytyk literacki, animator kultury, przez wiele lat związany z ZLP
 Urszula Gierszon – poetka, prozaiczka, krytyczka literacka, animatorka kultury, członkini ZLP
 Anna Łyczewska – poetka, wieloletnia nauczycielka języka polskiego w szkołach lubelskich, animatorka kultury, członkini ZLP
 dokonała oceny 201 zestawów poezji, łącznie w dwóch kategoriach wiekowych.

W kat. I (młodzież do lat 18) wpłynęło 31 zestawów zawierających 78 utworów, natomiast w kat. II (dorośli) – 170 zestawów zawierających 453 wiersze. Łącznie komisja oceniła 531 utworów poetyckich, nadesłanych przez autorów z całej Polski. Przy wyborze wierszy do nagród, jury kierowało się następującymi kryteriami oceny: treść zgodna z tematem konkursu, przesłanie, język, zasób słownika; styl, forma; walory wypowiedzi poetyckiej (środki wyrazu).

Komisja z przyjemnością przyznała następujące nagrody i gratyfikacje pieniężne:

Kat. I – młodzież do lat 18:

I nagrody nie przyznano

II nagroda – **Grzegorz Sobkiewicz** (Agatówka),
 godło „Grechut”

III nagroda – **Nadia Pacocha** (Szczecin),
 godło „Figa”

wyróżnienie – **Zofia Krasuska** (Ozorków),
 godło „Zolovenia”.

Kategoria II – dorośli:

I nagroda – **Emilia Marniok** (Łaziska Górne),
 godło „Poezja popełniona”

II nagroda – **Agnieszka Mędrzak-Sikora** (Pogórze),
 godło „Kruszczyk”

III nagroda – **Iwona Świerkula** (Warszawa),
 godło „Calineczka”

wyróżnienie – **Piotr Zemanek** (Bielsko-Biała),
 godło „Proces nieodwracalny”

wyróżnienie – **Jakub Wasilewski** (Koło), godło „Waran z komodą”

wyróżnienie – **Mariusz S. Kusion** (Kraków),
godło „Lord Zedd”.

Jury gratuluje laureatom, życząc dalszych sukcesów literackich.

Serdecznie dziękujemy organizatorom za podjęcie trudu prowadzenia Konkursu po raz siemdemnasty. Mamy nadzieję, iż z takim samym zapałem i konsekwencją, jak obecny, będzie on prowadzony przez wiele kolejnych lat.

Dziękujemy za przywoływanie postaci **Patrona Konkursu – Mariusza Kargula (1976-2013)** – poety, prozaika, dziennikarza, animatora kultury Lubelszczyzny, oraz propagowanie jego ideałów i ponadczasowych wartości humanistycznych, które przesycały jego twórczość, działalność i postawę życiową.

Uwagi jury

Komisja stwierdza, że ogólnopolski Konkurs Twórczości Miłosnej „Ja Cię Kocham, a ty pisz!” im. Mariusza Kargula od 17 lat cieszy się niezwykłym powodzeniem, świadczy o tym liczba nadesłanych wierszy i zasięg terytorialny – miejsce zamieszkania uczestników, którzy nadesłali swoje utwory z całej Polski.

Zachęcając adeptów pióra do stawiania w literackie szranki, jednocześnie zwracamy się do przyszłych uczestników konkursu z apelem o zaznaczanie kategorii na wszystkich tekstach, o podpisywanie każdego z utworów czytelnym literowym godłem.

Przestrzegamy przed plagiatami, w kilku tekstach były wersy zaczerpnięte z literatury lub znanych piosenek, nie zawsze zaznaczone jako cytaty, co jest kradzieżą własności intelektualnej. Ponadto zwracamy uwagę na to, że konkursy literackie są po to, aby przysyłać i poddawać ocenie własną oryginalną twórczość. Przestrzegamy także przed sięganiem do pomocy sztucznej inteligencji. Utwory niespełniające warunków regulaminu Konkursu nie są oceniane.

*Jan Henryk Cichosz
Urszula Gierszon
Anna Łyczewska*

Krasnystaw, 17 lutego 2024 roku

Kategoria I – młodzież

II nagroda

Grzegorz Sobkiewicz

Miłosna makrama

splątani niczym nitki makramy
sercem
duszą
myślą

poplątani
zakochani

bo ja Kocham Cię
za wszystko
mimo wszystko
i wszystkim na przekór...

to z Tobą odnajduję
w plątaniu dróg
naszą ścieżkę życia
trudną, wyboistą, jedyłą – do celu

to Ty rozniecasz we mnie ogień
młodzieńczej miłości
prostej, delikatnej
bezw warunkowo dojrzałej – do Ciebie

to Ty koisz mój ból
znajdujesz odpowiedź
na każde cierniowe pytanie
wałęsające się
kołające w mojej głowie – do upadłego

wiem, że tylko z Tobą
mogę dotrzeć na krańce
naszego świata
szczęśliwa,
zasłuchana
w słowa niewypowiedziane
ukryte w ogrodzie ciszy
zroszonym wzajemnymi łzami
których tak bardzo się wstydzisz
a za które ja
Cię zwyczajnie Kocham...

Myślałaś...

zakochałam się
w Twoich
oczekiwaniach
prawie zawsze wygórowanych

utonąłam w Twych
myślach
ramionach
i błękitach oczu

zatraciłam się w Twych
dłoniach
oddechu
i słowach niewypowiedzianych

otulona lekkim dotykiem
Twojej bez troski
wypływającej z krainy nicości
wciąż prosiłam
o Twe odwzajemnienie

dziś już wiem
tylko tak mi się wydawało...

Pieśń do miłości

jesteś
Jak nadzieja wąpiących
światło w drodze znużonego wędrowca
odczuwalna
w natężeniu myśli
ledwie słyszalna
w rozkołatanej duszy
choć niewidoczna na widnokręgu
W powietrzu się nie unosisz
nie znajdę cię na półce w markecie
w głębi oceanu nie odnajdę
nie dotknę i nie uściskam
Lecz czuję twoją obecność
młodzieńczą i tą dojrzałą
delikatną choć i czasem chropowatą
między gestami zakochanych

III nagroda**Nadia Pacocha****Modlitwa**

Pod łagodnym spojrzeniem pełnym zwątpienia,
Z krzywym uśmiechem cofając ręce,
Zgubiłam obietnicę naszego odkupienia.
Zapomniałam gdzie leży moje miejsce.

Nic szlachetnego nie ma w miłości,
Mrugnięciem zatapia motyle marzenia.
Rozgrzanym językiem pomiędzy wargami,
Smakuje z ciała wyrzuty sumienia.

Wybacz nam, Agape, te czasy nowe,
Gdzie miłość mijają ulotne pragnienia.
Ja wciąż poszukując piękna w wyrazie,
Błagam – składając w ofierze serce o szczęście,

Oczyszczenie wierność przebaczenie... Ciebie

Do A.

Chciałabym móc minąć się
Z jeszcze jednym „my”;
Zawierając wiarę w milimetrową drogę
Łączącą serca nasze w jeden przetarty szlak

Chciałabym móc skoczyć
Bez wahania
W metrową kalużę rozpacz
Wycierając buty w trawiaste rzęsy samotności

Chciałabym móc obwiązać
kilometry przyszłości
nicią trwalszą niż niejedna myśl
niepozwalająca mi na spokojne dryfowanie
w krainie koszmarów Fobetora

Chciałabym móc zetrzeć
z opuszków palców
Popiół ślepej wiary
Oddzielić ziarenka gorczy
Od kwaśnego smaku szczęścia

Chciałabym móc wyciąć
Twoje wspomnienia
Od którego umysł nie może uciec
I zapomnieć zapach bratków

Od lat zalegających w płucach

Chciałabym móc zanurzyć się
w tlenku wodoru
I wpuścić maleńkie kropelki w nozdrza,
Łapiąc oddech niespełnionych snów
Zastygając w bezruchu minionej chwili

Chciałabym móc wpaść
do ciemnej toni
Dawno zapomnianych przez ludzkość sekretów
Powolutku je odkrywając,
Lecz serce uparcie ciągnie mnie ku dnu

Reminiscencji gdy pomyliłam się
O tonę
Starych uśmiechów
O, tonę
ja tonę tonę

Miłość

Nie udało mi się
Uwięzić szczęścia
W moich przekonaniach
Ani w moich śmiertelnych ramionach
Kosmos zawsze był
Wytłumaczeniem błędów
Nieludzkim placem zabaw
Dla nieodwracalnych zmian
Jednak gdy patrzę na bezkres nocy
Widzę tylko grób –
Równie niezgłębiony
Jak sens życia i śmierci
Kolory zderzające się
W zalanych krwią oczach
Odbijając obraz posiniaczonego
Jedwabnego nieba

Kategoria II – dorośli I nagroda

Emilia Marniok

pierwsze pranie w nowym roku

leży przede mną rozrzucone
kilka tygodni życia

twoja skarpetka z dziurą na palcu
moim

rozciągnięte dresy
mieszczą się w nich ja
i to wszystko
co miało być

koszulki bluzki golfy
prześniknięte słodkim śwędem
grudnia

podróżami pociągiem
smogiem obcych miast

wytrzępuję z kieszeni
zagubione fragmenty
niewypowiedzianych zdań

zamki błyskawiczne i tak
przycięły je w
półsłowa

po raz ostatni zanurzam twarz
w naręczu wspomnień
za chwilę zatopi je
lilia i lawenda

płyn do tkanin
syntetyki 60 stopni
intensywne odplamianie

dla pewności włączam tryb
płukanie extra

zasnąłeś na kocu i oblażył cię mrówka

młody jeleni
nie uciekł przed nami

szelest reklamówki

do złudzenia przypomina
dźwięk motyli skrzydeł

idziemy lasem
za linią drzew
szumi morze

biegnę
gubiąc po drodze
buty i skarpetki
resztki wstydu
ubranie
zdrowy rozsądek

tylko się nie utop
mamroczesz
upychając wszystko
na dnie siatki

unoszę się
z gracją śniętej ryby
lub plastikowej butelki

fale w końcu
zabiorą mnie
ze sobą albo

wyrzuca na brzeg

II nagroda**Agnieszka Mędrzak-Sikora****Monidło współczesne**

takie czasy, że nikt
nie pokoloruje nam oczu ani ust.
o retuszu też nie może być mowy.
bierzemy wszystko – szczyptę albo całą garść.
zależy od ciśnienia, wiatru, pogody –
najczęściej ducha.
codziennosc nauczyła nas
dostrzegać błękit, mrużyć oczy
od najsłabszych promieni słońca.

I tak

w siostrzeństwie nie może być mowy
na przygniatanie –
zaniedbaniem, myślą i mową
albo brakami uczynków.
wiem, że mogę przyjść zawsze,
choć ten ostatni wyraz jest
kompletnie niemodnym słowem.
ty też jesteś pewna.
mówimy sobie w oczy, co boli
i uwiera. nie smarujemy karmelowym kremem,
ale kawa ma właśnie taki smak.
wracasz do kuchni i znów mamy się
głęboko w sercu.
jesteśmy światłem.

Cel

żeby się nie znudziło
patrzeć w tym samym kierunku.
rozkładanie ramion, by przygarniać
do siebie – każdą chwilę, jasne i ciemniejsze dni.
wprawić w ruch skrzydła, gdy zgasną
ostatnie promienie lata,
nie zapominając, że tego, co razem,
jest mnogość – niczym drobin piasku.

III nagroda**Iwona Świerkula****W jednym domu**

w bajkach też giną ludzie
Jagi w chatkach z pierników
w Calineczkach smoki ponad łąką
z oka wiatru może narodzić się Cyklop
który podepcze domy
a przecież to ja jestem twoim domem
ty moim

mieszkam w tobie
ty mieszkasz we mnie
w mieście z naszą ulicą
nad którą jeden księżyc świeci
noc mlaska chwile bulgoczą
a my szepczemy
aż do świtu

Rzeźbienie

smakujesz jak niedojrzałe jabłko
 połyam cię powoli
 już ściany rozbierają się do snu
 masz takie cierpkie dłonie
 sekunda po sekundzie
 wrastamy w noc

udaję sen
 bo nie chcę krzykiem sięgnąć gwiazd
 wystarczą twoje ramiona
 gdy obejmą mnie mocniej
 rozmemłani w koldrach
 uczymy się pływać
 wplątujemy ciała w pościel

fale gorąca uderzają o skórę
 wyluskujesz mnie do nagości
 rzeźbisz krągłości
 będziemy syrenieć
 aż po łuski bawełny
 podaj mi usta
 bym jeszcze

Porządki

porządkuje siebie
 aż po prawdę
 na widowni same anioły

kurz wspina się na palce
 i ta data
 z której nie można się otrząsnąć

wyszła do sklepu
 i nie trafiła w chwilę
 otworzyła się nieskończoność

między nimi gęsta jak kisiel tęsknota
 rozsiada się we wszystkich kątach
 jej nieobecność

Konkurs Kamieńskiej w rodzinnym mieście

Konkurs Poetycki im. Anny Kamieńskiej autorów Województwa Lubelskiego ogłaszany jest od 1993 roku. Nagrodę w pierwszej edycji wręczono w 600-lecie nadania praw miejskich dla Krasnegostawu. Głównym organizatorem wydarzenia jest Krasnostawski Dom Kultury, a od dziesięciu lat współorganizatorem Miejska Biblioteka Publiczna.

Do tegorocznej XXVI edycji zgłoszone zostały 24 następujące książki:

Anna Łyczewska, „Zarażona wojną”, NORBERTINUM, Lublin 2022

Leszek Wójtowicz, „Zgodnie z rozkładem”, NORBERTINUM, Lublin 2023

Artur Chlewiński, „Wiersze z różą”, NORBERTINUM, Lublin 2023

Jan Fiedurek, „Gordyjskie węzły”, NORBERTINUM, Lublin 2023

Henryk Jan Kozak, „Komunikaty z botanika”, NORBERTINUM, Lublin 2022

Zygmunt Marek Miszczak, „Reduta”, NORBERTINUM, Lublin 2022

Zygmunt Marek Miszczak, „Ziarno. Rzecz o Niezłomnych”, NORBERTINUM, Lublin 2023

Danuta Wójcik, „Moje *życiopisanie* – tylko nocą”, NORBERTINUM, Lublin 2023

Urszula Katarzyna Bydlińska, „Zabłądziłam”, TAWA, Chełm 2023

Iwona Chudoba, „Senna kolekcja”, TAWA, Chełm 2022

Danuta Agnieszka Kurczewicz, „Pęknięcia i wiry”, TAWA, Chełm 2023

Henryka Dederko, „Zadrzemana dal”, Mirosław Dederko, Czuczycze 2022

Jadwiga Graboś, „Przeprowadzki”, KWADRATURA, Łódź 2022

Beata Głowacka, „Po kanałach”, OSTATNIA SOBOTA LATA, Warszawa 2023

Urszula Michalak, „Rozdarty błękit”, POLIHYM-NIA, Lublin 2022

Urszula Michalak, „Popiół, pusty grób i soczysty tatarak”, Wydawnictwo i Drukarnia Diecezjalna Sandomierz 2023

Jadwiga Graboś, „Kontakt”, Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Świdnicy, 2023

Jolanta Koziej-Choldżyńska, „Warsztaty duszy”, MULTIPRESS, Lublin 2022

Dariusz Kostecki, „Z ciszy”, AUSTERIA, Kraków 2022

Katarzyna Anna Lendzion, „Tablice wrażliwości”, Centrum Kultury, Łęczna 2023

Weronika Pyszyńska, „Siła motyla”, Centrum Kultury, Łęczna 2023

Oliwia Harmasz, „Promyk światła”, Centrum Kultury, Łęczna 2023

Roksana Skibnicka, „Kwiaty na śniegu”, Centrum Kultury, Łęczna 2023

Pola Waszuk, „Ocalić świat miękkością”, Centrum Kultury, Łęczna 2023

Jury w składzie: Paweł Podlipniak (przewodniczący), Andrzej David Misiura i Rafał Kasprzyk nominowało pięć tytułów, spośród których główne równorzędne nagrody przypadły książkom: „Po kanałach” Beaty Głowackiej i „Z ciszy” Dariusza Kosteckiego oraz wyróżnienie dla „Zarażonej wojną” Anny Łyczewskiej. Wysoko ocenione zostały pozostałe nominowane tomiki: „Kontakt” Jadwigi Graboś i „Zgodnie z rozkładem” Leszka Wójtowicza.

Ogłoszenie wyników nastąpiło 26 kwietnia 2024 roku. Tradycyjnie prezentowane były nagrania wierszy recytowanych przez patronkę konkursu. Z zainteresowaniem wysłuchano również prelekcji Jagody Zarzyckiej pt. „Sztuka pisania według Anny Kamieńskiej”. Po przedstawieniu werdyktu, dyrektorzy instytucji będących organizatorami oraz jurorzy wręczyli nagrody i okolicznościowe dyplomy autorom i wydawnictwom. Spotkanie podsumowała rozmowa laureatów prowadzona przez jurora Rafała Kasprzyka.

(adm)

Paweł Podlipniak

Tak trudno o wymuszony uśmiech i wiersz*

Wydanie werdyktu w konkursie poetyckim nigdy nie jest rzeczą łatwą. Tym bardziej w konkursie, który w założeniu ma oceniać całe tomiki poetyckie. Takie wartościowanie to zbieg wielu zmiennych: tematyki, biegłości warsztatowej autorów, ogólnego wrażenia estetycznego. Na końcu tego szeregu stoi zmienna bodajże najbardziej istotna – gusta i preferencje literackie jury.

Nie inaczej było więc w przypadku XXVI Konkursu Poetyckiego im. Anny Kamieńskiej na najlepszy tomik poetycki województwa lubelskiego wydany w latach 2022-2023. Kiedy członkowie jury Andrzej David Misiura i Rafał Kasprzyk oraz piszący te słowa Paweł Podlipniak (jako przewodniczący) zasiadali do wirtualnych obrad, musieli nie tylko dać się wciągnąć w obce poetyckie światy – bo każda z 19 uczestniczących w tej rywalizacji książek, to osobna literacka kraina – ale i zapomnieć o sile własnych estetycznych preferencji. A jest to szalenie trudne, bo sami przecież piszemy i publikujemy. A jest to trudne *najszalniej*, bo jak oceniać coś tak ulotnego, jak poezja.

Staraliśmy się więc wyważyć werdykt. I okazało się, że finałowa pula trzech książek poetyckich wyłoniła się w zasadzie sama. Tomiki te różniły się jedynie miejscami na naszych „listach przebojów”. Do ścisłego finału dotarły książki: „Zarażona wojną” Anny Łyczewskiej, „Po kanałach” Beaty Głowackiej i „Z ciszy” Dariusza Kosteckiego.

Końcowy werdykt był w sumie prosty. Jury postanowiło uhonorować dwoma równorzędnymi nagrodami książki Dariusza Kosteckiego i Beaty Głowackiej, a książce Anny Łyczewskiej przyznać wyróżnienie.

Jak podsumować i choćby naszkicować sedno naszego werdyktu? Jury nagrodziło książki w pełni dojrzałe, na wskroś współczesne, których autorzy/autorki operują mocnym językiem, niestroniącym od oceny naszej rzeczywistości i tematów, z którymi mamy do czynienia na co dzień. Książki te są dojrzałe warsztatowo, soczyste literacko

i jednocześnie bardzo subtelne, stroniące od płytkiej publicystyki. I każda z nich jest zupełnie z innej bajki.

„Z ciszy” Dariusza Kosteckiego to w zasadzie zbiór obrazów, melancholijne i czułe objęcie przemijającego, czy raczej umykającego nam świata, krajobrazów, odchodzących ludzi, innych epok. To podróż, gdzie my – czytelnicy jesteśmy pasażerami pociągu, a autor konduktorem sprawdzającym, czy aby zajęliśmy miejsca przy właściwym oknie. A każdy wiersz to kolejne okno, nowy widok. Przy czym tomik Kosteckiego jest zróżnicowany formalnie, bo obok bardzo ascetycznych utworów, mamy tam formy większe – takie mini-poematy, płaszczyny poetyckie, na których dzieje się bardzo dużo, gdzie słowo szaleje.

Na drugim biegunie stoi „Po kanałach” Beaty Głowackiej. To zbiór oszczędniejszych form poetyckich, momentami lakonicznych. Język jest bardziej agresywny od języka, którym operuje Kosteki. Autorka bije w nas krótkimi seriami emocjonalnych wypowiedzi. Bije celnie i nie pozostawia czytelnika obojętnym. I o ile Kosteki skupia się głównie na pokazywaniu i wywoływaniu skojarzeń, to Głowacka jego skupioną melancholię zastępuje ekstrawertyczną eksplozją bólu, cierpienia. Sama autorka w jednym z wierszy pisze o tym tak: „po wyłączeniu głosu/ krzyk rozbija ekran”. U niej słowo też szaleje i jest w tym szaleństwie wysmakowana, perfidna metoda.

Pomiędzy książkami Kosteckiego i Głowackiej stoi „Zarażona wojną” Anny Łyczewskiej. Przyznam się, że wahałem się z umiejscowieniem tego tomiku na mojej „liście przebojów” i to do ostatniej chwili. Tu migawki z wojny i ludzkich tragedii balansują na granicy krzyku i obrazu, pomiędzy okiem a gardłem, przecuciem a doświadczeniem, rezygnacją a nadzieją. Ta książka nie jest wcale gorsza od swoich konkurentek – po prostu wypadkową gustów i poetyckich zapatrywań jury. Konsensusem. Kompromisem.

Tak czy inaczej, autorkom i autorowi serdecznie gratulujemy!

Paweł Podlipniak

*tytuł jest cytatem z wiersza Anny Łyczewskiej „Niewojna”

Andrzej David Misiura



Refleksje jurora

Spośród 24 książek nadesłanych na konkurs imienia Anny Kamieńskiej zbierał się w bibliotece organizatorów interesujący pakiet tomików na całkiem przyzwoitym poziomie. Jurorzy zmuszeni byli jednak podjąć niełatwą regulaminową decyzję i wytypować tylko nieliczne tytuły do nagrodzenia.

Jako wieloletni animator kultury, nieco inaczej postrzegam konkursy, szczególnie w dyscyplinach artystycznych. Albowiem podstawowym zadaniem tej profesji jest nie tylko ocena, ale również merytoryczna opieka m.in. nad twórcami oraz ich dorobkiem. Być może dlatego wychodzę z założenia, że bezduszne jest (i jak by nie patrzeć subiektywne) nagradzanie jednego autora lub jednego dzieła, gdy obok jest wiele nie mniej wartościowych tytułów.

Jury zdecydowało w tej edycji nominować, aż pięć książek i wdzięczny jestem, że przystało na propozycję, aby przyznać dwie równoległe nagrody główne. Dzięki temu w gronie zwycięzców zasłużenie znalazły się książki: „Z ciszy” Dariusza Kosteckiego, „Po kanałach” Beaty Głowackiej i wyróżniona „Zarażona wojną” Anny Łyczewskiej. Pozostałe nominowane to „Przeprowadzka” Jadwigi Graboś i „Zgodnie z rozkładem” Leszka Wójtowicza.

Wiele tomików zasługuje na dodatkową uwagę za pomysłowość poetyckiej wypowiedzi, odkrywczość, a również bezpardonową śmiałość i odważne obrazowanie. Gdzieniegdzie pojawiają się cytaty, powiedzonka, objaśnienia, a nawet kolaż, które potrafią zaskoczyć czytelnika. Ale wiele też tomów z kolei ujmuje równy wypracowany warsztat, który prowadzi czytelnika „kędy chce” jak dobry tancerz.

Cieszy obecność obiecującego młodego pokolenia z Łęcznej, które prezentuje pięć broszur poetyckich. Opiekunom merytorycznym tej młodzieży należą się ukłony.

Wśród nadesłanych tomików uwagę zwracają, nazwijmy to „księgi dwojga sztuk”. Autorzy obok zdolności pisarskich ujawniają i prezentują

również owoce innych talentów. Należą do nich dzieła plastyczne, fotografia artystyczna, a nawet pamiątkowa (dokumentalna). Myślę o książkach m.in.: Danuty Kurczewicz „Pęknięcia i Wiry” (malarstwo artystyczne), Dariusza Kosteckiego „Z ciszy” (fotografia artystyczna), Henryki Dederko „Zadrzemała dal” (fotografia), Artura Chlewińskiego „Wiersze z różą” (fotografia).

Na tego rodzaju dwugłos artystycznej wypowiedzi stać było również innych autorów, jak chociażby utalentowaną malarkę i poetkę Urszulę Bydlińską. Mimo wszystko, te wartości ze względu na regulaminowych, nie ważą na ocenie jury, chociaż w każdej z dziedzin spotykamy królową sztuk – poezję, pod kątem, której wybierana jest przeciwieństwo poetyka książki roku.

Dzisiaj mogę otwarcie wyznać, że jako juror miałem zamiar oprócz nagród i wyróżnień zgodnych z założeniami konkursu przyznać w uzgodnieniu z Zespołem Redakcyjnym „Nestora” dodatkowe wyróżnienia, na zupełnie innych płaszczyznach i odmiennych w kolejnych edycjach. Np:

Pióro Anny Kamieńskiej za przekaz wartości chrześcijańskich dla s. Urszuli Michalak,

Pióro Nestora – Piewcy Polskiego Heroizmu dla Zygmunta Marka Miszczaka,

Pióro Gęsie za zbiór utworów satyrycznych dla Jana Fiedurka.

Nielatwe jest jednak dokonanie takich zmian za jednym podejściem. Zrozumiałe jest, że te propozycje być może będą dojrzywać do następnej edycji. Pamiętajmy jednak, że jest kogo nagradzać i warto mieć więcej miejsca na podium.

Andrzej David Misiura



Beata Głowacka



Z tomu: „po kanałach”

mieli już o mnie mówić w czasie przeszłym

przygotowania zaczęłam od sprzątania szafy
dziwne ile człowiek gromadzi rzeczy
wszystkie okazały się niepotrzebne
i tak do trumny trzeba kupić nowe

potem nastaly dni cichego lamentu
który według bliskich był wyciem bitej suki

kiedys myślałam że umieranie to przedsięwzięcie nieba
leją się łzy zrozumienia
wilk z barankiem
baranek z wilkiem

a tu co nierozwiązane się nie rozwiązało
związane zostało związane

powiedziałyby babka marianna współczesnym feministkom

*co wy wiecie o życiu
tak ciężko pracowałam
że poronione dziecko w cholewie buta do domu przyniosłam
i nawet nie poczułam jak ze mnie wypadło*

jak mają się wiersze do życia

*po co takie ohydztwo pokazywać
z ludzkiego cierpienia robić widowisko*

spytałyby babcia marianna która w czasie wojny wkładała
drewnianą tyżkę pomiędzy zaciśnięte zęby dziadka żeby
podać lekarstwo po tym jak cały osiwił jak niemcy strzelali
do drugiego a on był pierwszy

też z lekcji polskiego pamiętam tylko orszulkę

monice

i było dobrze
rodziło się życie i śmierć
kilka wesel
pogrzebów
jedno trzęsienie
dwa zaćmienia

tylko moje wyjścia zaczęły przypominać wyprawy na
księżyc

trzeba je było przygotować
zaopatrzyć w babcię pierogi ubrania
przewidzieć zmiany pogód i gorączek
zacząć i skończyć odpowiednio wcześniej

twoje wyjścia były wyjściami zdrowego człowieka
poprzedzonymi nałożeniem butów i wrócę późno albo
później

dobrze tak niczego nie udowadniać
mieć prawo do oczywistości
majtek w szufladzie
chleba na stole
kobiety która czeka

wywiad z matką

chcę napisać o twoim życiu

*a o czym tu pisać
miałam męża
dzieci
teraz jestem sama*

mamo nic o tobie nie wiem

*miałam męża
dużo pił
miałam dzieci
jeden syn się zmarnował
siedział w więzieniu
jak wrócił to mnie okradł*

mamo jak się czujesz

bolą mnie nogi

mamo co czujesz

bolą mnie nogi

poezja kobieca to krajobrazy orgazmów

nosiłam życie i śmierć
w kieszeni ciała

to moja historia
nie moja

jak mają się wiersze do wódki

piejesz nad alkoholizmem pilcha
i że nawet wojaczek
nawet wojaczek
uciekam w bezpieczną przestrzeń
gdy zdania zmieniają się w belkot
nie przeciągaj samogłosek

na przykład śmierć

plastikowy worek
zamek błyskawiczny

nie ma czasu na lzy
trzeba załatwić formalności

jeszcze ksiądz organista
kondolencje dla wdowy

dobrze że jest grób
choć tego wam oszczędził

a tobiasz oslepl

twardzina

napięcie skóry
skrajne reakcje na bodźce
potem twardnienie
twarzy
dłoni
płuc
serca

zmieniasz się w kamień
życie znosi metafory

\

zabawa

ojciec chodzi ulicami
zbliżam się
zmienia twarz
zamykam oczy
znika

ojciec ucieka w obce twarze

ojciec

widziałam miłość

sześćdziesięciosiedmioletnia kobieta podaje rosół
umierającemu na raka krtani mężczyźnie

przebite słowa
wiotkie dłonie
zaćmione oczy
odgrywają scenę balkonową
odkładaną na ostatnią godzinę

...o...ry ...sólanie
(dobry rosół kochanie)



Beata Głowacka, urodziła się w 1971 r. w Zamościu i z tym miastem jest związana zawodowo i sentymentalnie. Pracuje jako polonistka w szkole średniej. Wydała dwie książki

poetyckie: „Ikonostas” (Wydawnictwo NORBERTINUM, Lublin 2017) i „Po kanałach” (Ostatnia Sobota Łata, Warszawa 2022). Książka „Ikonostas” zajęła II miejsce w XIV Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Artura Fryza na najlepszy poetycki debiut książkowy roku 2017. „Ikonostas” był nominowany do Nagrody Anny Kamieńskiej. W 2024 roku otrzymała nagrodę główną w Konkursie Poetyckim im. Anny Kamieńskiej za tom poetycki „Po kanałach” na najlepszą książkę poetycką województwa lubelskiego.

Dariusz Kostecki**Żalin**

Żalin to metafora życia
wszystko tu prowizoryczne
niby zamknięte a otwarte
niby okrzepłe
a ulotne
materialne
a bezcielesne
makieta niedokończonych iluzji
jeśli róże
to bez rumieńców
komin bez dymu
chata bez ludzi
ludzie bez uśmiechu
okna bez szyb
tylko Chrystus w koślawej kapliczce
przywiązany przez parafian
drutem do krzyża
cierpi jak trzeba
po ludzku

Babka Izabela

Babka Izabela
nie czytała wierszy
ale jej uśmiech
zdradzał gorzką wiedzę
że dosłowność zabija poezję

wpada do mnie czasami
we śnie
siadamy na niebieskiej trawie obłoków
za plecami pasie się Leda
kobyła
która przywędrowała z mitologii
do Czulczyc
miejsca ucieczki
miejsca zesłania
prostokąta na chwilę wyznaczonej ziemi

więc
wpada do mnie we śnie
i jak kiedyś
rżniemy w karty
złości się
że nie potrafię dobrze grać w tysiąca

jest sierpień
z jej skroni ścieka stróżka potu

była prostą chłopką
ale w niedzielę nosiła strojne żaboty
a do trumny
kazała sobie włożyć perfumy
wieczorami opowiadała nam
przepowiednie Sybilli
więc wiemy aż nadto dobrze
że wydarza się to co wydarzyć się musi
razem z gromadką dzieci
uciekła przed wołyńska rzezią

z rodzinnego domu
ocaliła dwie pierzyny i żabot
ot
i życie całe

teraz siedzi na krawędzi snu
pomiędzy cembrowaną studnią
przy której kury piją wodę
z niemieckiego hełmu
a chałupą krytą strzechą

wszystko tu nie swoje

za drewnianym okienkiem z sześcioma szybkami
stoi słój z wiśniami zasypnymi cukrem
dojrzewa lato
jak tam
w Kowlu
skocz no Daruś po wodę
mówi

wtedy na stalowym łańcuchu opuszczam wiadro
do samego źródła dobrego i złego
poza rdzeń ziemi
poza jej jądro
na tamtą stronę
gdzie ludzie
chodzą do góry nogami

na dnie cembrowanej studni widzę
i odbite niebo
i piekło
i siebie
miejsca ucieczki
miejsca zesłania
prostokąt na chwilę wyznaczonej ziemi
grymas losu odbity w zwierciadle
żywej wody

Chaty

z uporem odkrywam archipelagi
okolicznych wsi
fotografuję chaty z dziurawym dachem
rosnące wśród pokrzyw
czarnego bzu lebiody

lubię patrzeć w oczodoły okien
słuchać bezgłośniego szeptu
rozwartych drzwi
gdy w strudze światła
wiruje kurz

każda opowiada
swoją opowieść

na ścianie oleodruk
Chrystus nauczający z łodzi
monidło
kalendarz mnichów z Jasnej Góry
na rok dziewięćdziesiąty trzeci
w oknie
firanka postrzępiona wiatrem

któż pamięta
Sabinę Staśka
Izabelę Jana Teresę
Antka Józefa

gdy ich wynosili
po trzykroć
uderzali w dębowy próg skrzynią
przykrytą na wieki wieków

wiekami

Definicja

jest przekornie konkretne
i zawsze cielesne
zręcznie wymyka się abstrakcji
potrzebuje żywego człowieka
ze wszystkimi jego zmysłami
dotyka twego rdzenia
przenika tkanki
widzisz je i słyszysz
jednocześnie
to pocieszające
że wraz z tobą
łuszczy się i kruszy

kiedyś będziesz wiedział
tak smakuje rdza
teraz ze spokojem zdejmujesz
kolejne warstwy prehistoczeń
wchodząc w siebie
głębiej i głębiej
kiedyś będziesz wiedział
tak smakuje
ziemia Tego
który cię tu posłał

Dmuchawce

choć od tamtego zdumienia
minęło pół wieku
ciągle nie mogę pojąć
tej niezwykłej przemiany
na majowej łące

jak to możliwe
że złociste mniszki lekarskie
Taraxacum officinale
w ciągu jednej nocy
przywdziewają stroje
baletnic aby już o świcie
droczyć się z wiatrem

wieczorem wyniosłem przed dom
wędkarski fotel
otulony w światło księżycza
chciałem obserwować misterium
metamorfozy

gdy ucihły metaliczne głosy świerszczy
w sadzie jakiś ptak wyśpiewywał twogę
by go nie płoszyć
zamieniłem się w łąkę
i poczułem jak ciężą mi zielone
powieki

daję wam słowo
zamknąłem oczy tylko na okamgnienie
jak strażnicy u Grobu Pana
gdy je otworzyłem
dokołało się

puszyste kule wypełniły przestrzeń
od moich stóp aż po horyzont
i powiał wiatr łagodny i ciepły
i poniósł śpiącym z całej Judei
Dobrą Nowinę
Przemienienia

Książki

w sklepie ze starzyzną
wśród naftowych lamp
zdekompletowanych serwisów do kawy
mebli
zepsutych parasolek
bibelotów
na drewnianych pryzkach
pótek
leżały rozrzucone w nieładzie
książki niechciane
bezdolne samotne abortowane

w kącie baru
lkał skulony Mistrz Immanuel z Królewca
na karnym apelu z ogoloną głową
w zawiei widziałem Marka Aureliusza
do łaźni wysłano Conrada
Raskolnikow słuchał ostatniej spowiedzi Dostojewskiego
Achmatowa żaliła się Brodskiemu
kapo biczem uplecionym przez Hegla
chłostał Ewangelistów
widziałem Eliota który chował do siennika
skibkę czerstwego chleba

dla bożka bez oczodołów uczyniono ofiarny stos
warstwami ułożono na przemian
Komedie ludzką i Kubusia Fatalistę
wiersze Mandelsztama i prozę Ichhoka Lejb Pereca
zbiory haiku i Rozprawę o metodzie
Listy o tolerancji z Kapitałem
Boską komedię z Nieboską
Biblię z apokryfami

w ostatniej chwili
parząc sobie dłonie
z ognia poniżenia
i popiołów wzgardy
ocaliłem św. Augustyna

wybaczcie Siostry i Bracia
wszystkim pomóc
nie mogłem

Marek

a cóż to za miasto
 aptekarz sędzia grabarz lekarz
 proboszcz jacyś rzemieślnicy
 sklepikarze
 wesoła dziatwa idąca do szkoły

mięso kupowane u Szymosiaka
 buty u Baty
 chleb u Grelu
 wiersze u Kołtuna
 pizza od Kozaka
 wieczność od księdza Mrozka
 miłość od Mariolki z ogłoszenia
 w Nowym Tygodniu

ach miasto
 zdechła mucha na wystawie
 w sklepie Kulisza z tytoniem
 przeleżała lat czterdzieści

napis na elewacji
 3 X TAK
 obiecujący nacjonalizację przemysłu
 łuszczył się pół wieku

mural Chełm Miasto PKWN
 do dzisiaj drwi z deszczu śniegu
 słońca i Solidarności
 nawet papież na placu
 jakiś dziwnie mały coraz mniejszy

koszary kościoł synagoga
 cerkiew Jana Teologa po nabożeństwie w której
 carscy gwardziści
 odwiedzali na Zaciszu
 przybytek Madam

Kumowa Dolina z jednej
 Borek z drugiej
 ot miasto Marka

pamiętam jego barwne koszule
 z Puerto Rico w papugi i palmy
 i włosy w kolorze starego złota
 przywracał nam wiarę w to
 że człowiek jest wolny
 zaiste
 coraz wolniejszy

gdy gasły światła w oknach sąsiadów

on przebrany za arlekina
 nucąc melodię z filmu Cinema Paradiso
 zapalał na firmamencie gwiazdy
 a na Placu Łuczковского
 rozniecał złote kandelabry

gdy oni budzili się
 śpiesząc w szarych uniformach do cementowni
 i fabryki butów on odziany w jedwabną koszulę
 otwierał książkę o japońskiej grafice
 i nie przerywając lektury
 sprawnym ruchem wkładał wykałaczką
 do ust skropionego limonką łososia

dekadent bez bohemy
 zbuntowany wobec samego siebie
 urodzony za późno modernista
 urodzony za wcześniej postmodernista
 zecer intrologator bibliofil
 najlepszy edytor
 po tej stronie Wisły
 degustator smaków dźwięków kolorów
 życia
 ambasador Chełma w Kazimierzu nad Wisłą
 on jeden spośród nas
 stojąc na linii i żonglując sylabami
 dogadał się z czasem
 wykradł tajemnicę wody ognia i ziemi
 temu
 który
 wie

Dariusz Kostecki (ur. 1960) – pedagog, fotografik, poeta. Ukończył filologię polską na UMCS w Lublinie. Jest członkiem Fotoklubu Ziemi Chełmskiej oraz Związku Polskich Artystów Fotografików. Od lat dziewięćdziesiątych fotografuje wschodnie pogranicze Polski, zafascynowany jego duchowym bogactwem i różnorodnością kulturową. W latach 2007-2012 dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Czarnieckiego w Chełmie. W 2022 roku nakładem krakowskiego wydawnictwa Austeria wydał debiutancki tom poetycki „W ciszy”, który w 2023 roku został nominowany do finału XII edycji Nagrody im. K.I. Gałczyńskiego ORFEUSZ przyznawanej przez Muzeum Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w Leśniczówce Pranie na Mazurach. W roku bieżącym za tom ten autor otrzymał nagrodę główną w Konkursie Poetyckim im. Anny Kamieńskiej na najlepszy tomik poetycki województwa lubelskiego organizowanym przez Krasnostawski Dom Kultury.

Mirosław Leszek Iwańczyk

Odcienia piękna miłości w literaturze w różnych kręgach kulturowych na przestrzeni epok



O miłości pisali wytrawni, wybitni poeci jak: Kazimierz Przerwa-Tetmajer („Pieśń Erosa”), Bolesław Leśmian („Jestem twoją rozkoszą”), Krzysztof Kamil Baczyński („Ciemna miłość”), Julian Tuwim („Miłość nam wszystko wybaczy”), Edward Stachura („Miłość jest wszystkim”), Leopold Staff („Kilka słów o miłości”). Podejmowały tematykę miłosną również znakomite poetki: Maria Jasnorzewska-Pawlikowska („Zakochana kobieta”), Halina Poświatowska („Miłość to Ty”), Kazimiera Iłakowiczówna („Kartki miłosne”).

Wcześniej w nurcie miłosnym tworzyli, w starożytnym antyku: Owidiusz – wiersze i poematy miłosne, jak „Sztuka kochania”, Horacy – ody miłosne, Safona – erotyczne liryki.

W średniowieczu, szczególnie w gotyku (XII-XIV w.) duchową, wzniosłą miłość opiewali trubadurzy, truverzy oraz artyści tworzący w konwencji miłości dwornej w formie romansów rycerskich, jak Krystian z Troyes – „Persewal z Walii, czyli Opowieść o Graalu”, Maria z Francji – „Opowieści” (laisy).

Natomiast w epoce renesansu miłość w swych utworach uwznioślali: Francesco Petrarca w „Sonetach do Laury”, William Szekspir w „Romeo i Julii”, Dante Alighieri w „Boskiej komedii”, w sposób frywolny, trochę rubaszny, z pewną dozą humoru pisał o miłości Giovanni Boccaccio w swym „Dekameronie”, zaś w Polsce renesansowej Mikołaj Rej tworzył rubaszne, miłosne „Figliki”.

Barok to domena poetów metafizycznych, największym z nich był angielski lyryk John Donne, poeta miłości zmysłowej, żarliwej, tworzył w swych lirykach obrazy miłości płomiennej, gwałtownej, towarzyszą jej czule westchnienia, smutek, ży, a nawet rozpacz.

U nas w okresie baroku tworzył wiersze o miłości Jan Andrzej Morsztyn, pisząc frywolne, erotyczne utwory w „Cudach miłości”.

Największym osiągnięciem w literaturze miłosnej klasycyzmu może się poszczycić żyjący i tworzący na przełomie XVIII i XIX w. Johann Wolfgang Goethe, pisząc powieść epistolarną „Cierpienia młodego Wertera”, w której zerwał z czułościowym sentymentalizmem, wprowadzając nowy typ bohatera, targanego namiętną, obsesyjną miłością do ukochanej Lotty, który nie mogąc się z nią połączyć, w końcu popełnia samobójstwo.

W romantyzmie tematyka miłosna przewijała się u wielu twórców, takich jak: Henryk Heine (autor cenionego zbioru liryków „Księga pieśni”), John Keats, który w swych miłosnych odach, balladach, sonetach głosił pochwałę Piękna, Miłości i łagodnej natury, William Wordsworth – sentymentalny poeta pejzaży, czulego serca.

Aleksander Puszkina pisał ody, ballady elegie, w poemacie dygresyjnym „Eugeniusz Oniegin”, określonym jako „romans wierszem” przedstawił nieszczęśliwą miłość wrażliwej i subtelnej Tatiany do Oniegina, chłodnego w uczuciach egoisty, dandysa, światowca, romantycznego marzyciela nękanego nudą.

W Polsce w epoce romantyzmu pisali o miłości Juliusz Słowacki – wiersze „Ukochanie moje”, Zygmunt Krasiński – zbiór poezji „Serce udreżone miłością”, Cyprian Norwid – „Kształt miłości”, lecz utwory te nie były najwyższego lotu w porównaniu do wyżej wymienionych twórców.

Wątek miłosno-romansowy kwitł barwną, wyrafinowaną poezją w literaturze perskiej i arabskiej. Pisano ją w formie kasyd, gazeli i rubajatów.

Kasyda to poemat złożony zazwyczaj z trzech części. Pierwsza ma charakter wypowiedzi lirycznej, druga może być opisem (np. podróży albo postaci ukochanej), trzecia, wyjaśniająca właściwy zamiar artysty, jest pochwałą, albo też krytyką osoby, rodu. Utwór zamyka przeważnie sentencja albo morał. Pierwsze kasydy powstały w VI wieku.

Gazela była początkowo erotykiem wyodrębnionym z kasydy. W późniejszym okresie stała się nawet wierszem satyrycznym. Liczy od kilku do kilkunastu bajtów, co oznacza werset złożony z dwóch połówek („półwierszy”).

Rubajat jest krótkim, zaledwie czterolinijkowym rymowanym wierszem, o treści refleksyjno-filozoficznej. Pojawił się w VI wieku, osiągając szczyty popularności w poezji perskiej.

Wyrafinowana poezja arabska, a także perska, operuje rytmem, rymem i asonansem. Nie bez znaczenia jest również graficzny obraz zapisanego utworu.

Do arcydzieł literatury światowej należy zaliczyć poezję arabskiej Andaluzji, tworzoną w Hiszpanii od IX do XI wieku. Na uwagę zasługuje zwłaszcza poezja miłosna, opisująca piękno kobiecego ciała.

Ulubioną figurą poetycką jest porównanie. Oczy, usta, ręce, piersi dziewczyny, porównywane są zwyczajowo do kamieni szlachetnych, owoców, roślin, zwierząt.

Liryka andaluzyjska wywarła niewątpliwy wpływ na twórczość średniowiecznych i renesansowych poetów europejskich. Autorzy arabscy i perscy mówią o sprawach miłości i seksu bez najmniejszej pruderii, stąd wielka liczba erotyków, poematów, ale także podręczników sztuki miłosnej (najbardziej znany to „Pachnący ogród” z XVI w.).

Do niedawna za najstarszy z zachowanych perskich eposów romantycznych uchodził poemat „Wis i Ramin”, wschodni wariant „Tristana i Izoldy”, napisany w połowie XI wieku przez poetę Fachrudina Asada Gurganiego.

Jednak wcześniejszą datą zapisu ok. 1030 r. legitymuje się rękopis poematu „Warka i Gulzsch”, pióra Ajjukiego, odkryty w 1972 r. w Stambule. Miłość w tym poemacie jest zmysłowa, spotkania i pieszczoty kochanków opisane są bez żenady. Miłość ziemską jest tutaj czysta i święta, poeta kunsztownymi gazelami, kasydami, opiewa jej piękno ustami zakochanego.

Teraz pozwolę sobie przedstawić dwóch najwybitniejszych liryków perskich.

Pierwszym jest Omar Chajjam, poeta i filozof żyjący na przełomie XI i XII wieku, zasłynął jako twórca najznakomitszych rubajatów. Jego kunsztowne wiersze wyrażają miłość do piękna, ale jednocześnie wskazują na jego ulotność, mówią o melancholii, ale i spokoju, z jakim mędrzec kontempluje niszczące, znikające piękno.

Z kolei Hafiz, działający w XIV wieku, ceniony jest jako autor gazeli erotycznych. Był poetą miłości, radości i wesela oraz obrońcą wina (źle widzianym przez ortodoksyjnych wyznawców islamu), zapewniał w swych gazelach, że nawet aniołowie lubią zaglądać do winiarni. W swej mądrości,

a także w skargach na niestałość świata, bliski jest poetom europejskiego renesansu.

Dywan Hafiza, czyli zbiór wierszy w alfabetycznym porządku rymów, zawiera 573 gazele, tj. poematy erotyczne, liczące od pięciu do piętnastu dwuwierszy, kończących się monorymem. Występuje w nich trzynaście systemów metrycznych, opartych na iloczasię, więc niepowtarzalnych w wersyfikacji polskiej.

Zasadniczym wątkiem poezji Hafiza było opiewanie wina i miłości metafizycznej i jej absolutnego przedmiotu; właściwie Hafizowa „miłość” jest źródłem migawkowych, subtelných oczarowań pięknem, a także ciągłym cierpieniem.

*W tej nocy rozłąki, racz do mnie wysłać
– choć Twego motyla złączenia:
nim od pożaru, co mi w sercu płonie,
świat cały zgorzeje jak świeca.*

[...]

*Uchwyc choć lok księżycolichy!
A nie baj mi już więcej,
że dola – niedola jest w ręce
– Harfistki lub Nikiego.*

[...]

*Upojony jestem Jego pucharem:
niech nikt mi wina nie szczędzi!
Nalewaj nam Saki, bo bez pucharu,
w miłości czaru nie będzie.*

Czytając gazele Hafiza, odniosłem wrażenie, iż nie sposób się oprzeć niezliczonym blaskom jego liryzmu, niewyczerpanym natchnieniom zmiennego obrazowania poetyckiego. Wyraźnie tu widać miłość zmysłowej erotyki, ale też miłość do wina, do piękna oraz krytyczne spojrzenie na świat pełen obłudy.

Nie sposób też nie odczuć geniuszu jego pióra, ileż tu subtelných odcieni uczuć, ileż wysublimowanych obrazów, śmiałych i krytycznych myśli, ujętych w melodyjny, barwny, orientalny fresk wyszukanych wyrażeń poetyckich, kunsztownych środków artystycznych, przypominający księżycową poświatę lub perski gobelin.

Przejdźmy jednak teraz do muzułmańskiej Turcji, która także może się poszczycić wybitnym dziełem literackim o tematyce miłosnej, a jest nim przepiękny poemat epicki „Księga miłości”, napisa-

ny w XIV wieku przez znakomitego poetę Mehmeda, w formie romansu rycerskiego. Mehmed znał doskonale literaturę perską, wzorował się zresztą na niej, urzeczony melodią perskiego iloczasu (aruzu), potrafił wypracować coś w rodzaju tureckiego aruzu. W ten sposób stworzył w Turcji język poezji wykwinny i melodyjny.

O jego życiu wiemy tylko tyle, ile wyczytać można z Księgi. Dowiadujemy się z niej, że wiele podróżował i czuł się szczęśliwy tylko wtedy, gdy pisał. Narzekał na podeszły wiek w obawie, że nie dokończy dzieła, dokończył je jednak w 1398 r. Nie znajdując uznania w Egipcie, ofiarował je sułtanowi Sulejmanowi Czelebiemu.

Postacie romansu dzielą się bardzo wyraźnie na bohaterów pierwszo- i drugoplanowych. Najważniejsza jest oczywiście królewska para kochanków – muzułmanin szach Ferruh i chrześcijańska księżniczka Hüma. Bohaterowie drugoplanowi to Parsa, piastunka i powiernica Hümy oraz przyjaciel i doradca Ferruha, Hürem. W Księdze występują też liczne postacie epizodyczne.

Naczelnym tematem Księgi jest miłość, podobnie jak w romansach perskich. Jednakże Mehmed napisał nowe dzieło, któremu nadał własny kształt artystyczny. Zapewnił tym sobie poczesne miejsce w rozwoju rycerskiego romansu. Przedstawił nową gamę uczuć, uderzając w subtelne tony i wzbogacając przeżycia zakochanych obfitą korespondencją w formie gazelu, hamuje przez to nieco bieg akcji, ale za to jesteśmy świadkami miłosnych nieporozumień, dąsów, błagań, gniewu, obrazy, przeprosin i skruchy, które naprawdę wzruszają. Rozmowy, zaloty, tajne schadzki opisuje się tu bez niedomówień, a zespolenia kochanków metaforycznie, ale drobiazgowo.

Ważnym tematem Księgi jest rozłąka, która dyktuje najbardziej wyszukane strofy. Zakochani płaczą, chorują, szaleją, a gdy się wreszcie spotykają, szczęście jest nie do opisanego, ale krótkotrwałe. Ciągłe ich coś rozdziela, błądzą po stepach i pustkowiach, głodni, spragnieni, wynędzniali i chociaż nieraz bliscy śmierci, nie zapominają nigdy o najdroższej na świecie istocie.

Poemat zawiera wieloznaczne obrazy subtelnej miłości, odwołujące się do typowej dla orientalnej poezji symboliki drogich kamieni, ciał niebieskich, liter arabskiego alfabetu, drzew, kwiatów,

ptaków. Zaczniemy od pereł, są one najczęściej na Wschodzie synonimem łez, zwracają uwagę na delikatność karnacji, na białe ciało kochanki lub kochanka:

*Dwa ciała na postaniu – rzekłbyś – ciałem jednym;
dwie perły w jednej muszli, perełka przy perle.*

Perła w parze z rubinem – to białe zęby, gdyż rubin to czerwone wargi. Niekiedy rubiny oznaczają krew, jak w metaforycznym opisie defloracji Hümy.

Mehmed korzysta często z popularnego przedstawiania kochanków jako ciał niebieskich. Słońce to zazwyczaj kochanek, choć nie zawsze, a księżyc – kochanka:

*Wreszcie, Los w swych obrotach postój im wyznaczył,
by się Słońce z Księżycem znów mogło zobaczyć.*

Ukochana bywa również jutrznią.

*Wtem Jutrznia ukazała oblicze radosne,
wypełniły świat cały zapachy rozkoszne.*

Fauna i flora służą w poezji Wschodu jako niewyczerpane źródło porównań, metafor i zamienni, jak na przykład w tym wersie:

...Tyś ptakiem Salomona... Gdzie Ferruh przebywa?...

Nazywając Hürrema ptakiem Salomona, czyli po prostu dudkiem, Hüma czyni aluzję do przypisywanej temu słynącemu z mądrości ptakowi roznosiciela nowin.

Opisując scenę, w której Hüma zabija Murzyna imieniem Zendzi, autor odwołuje się do upiżenia ptaków:

*I zatopiła w Zendzim ostrze cienkie, długie,
aż się kruk czarny zmienił w czerwoną papugę.*

W następnym obrazie bażant to kochanek, do którego tuli się kochanka – kuropatwa:

*To bażant kuropatwę tuli, to znów ona
siada przy nim pod skrzydła bażanta wtulona.*

A oto opis miłosnej sceny, odwołujący się do myśliwskich doświadczeń. Łowy – jak wiadomo – były ulubionym zajęciem perskiej i tureckiej arystokracji:

*I pod mistrzowską dłonią charty się ozwały,
i porwał się do lotu sokół okazały.*

Skowyt psów gończych to jęki rozkoszy.

Ze świata zwierzęcego przenieśmy się w świat roślinny. Cyprys, który zazwyczaj oznacza wyszukłość kochanki, jej kibić lub też wyniosłą i zgrabną postać kochanka, u Mehmeda bywa równoznaczny z osobą:

*Hüma powstała, przed nią jej cyprys się skłoni,
którego rajskie paki ona trzyma w dłoni.*

Brzoskwinia, tradycyjnie oznaczająca policzek ukochanej, ma jeszcze inne znaczenie, na przykład pocałunku:

*Kilka brzoskwiń – całunków, potem już nie zliczysz,
ile było tych brzoskwiń, soku i słodyczy.
I tak pili do świtu i wypili wiele
a soczyste brzoskwinie były ich deserem.
Ach, cóż to za brzoskwinie, które zmusić mogą
pęd młody, aby sokiem spłynął – Żywą Wodą?*

W ostatnim dwuwierszu brzoskwinia występuje w parze z pędem, który jest eufemistycznym określeniem phallusa, co prowadzi nas do jeszcze jednego znaczenia brzoskwini, znajdującego swe potwierdzenie w następujących bejtach:

*Muskał, pieścił wiosenkę cudny wiew miłości
żądze w niej rozpalając do nieprzytomności,
aż brzoskwinia soczysta we krwi się skąpała,
i pęd młody, spragniony w słodkie więzy brała.*

Spośród kwiatów hiacynt oznacza najczęściej czarne loki. Dziko rosnące na Wschodzie hiacynty są ciemne, prawie granatowe, niekiedy z odcieniem fioletu, stąd skojarzenia, które by się nam nie nasuwały:

*to uśmiechy przecudne w krąg rozsiewa róża,
to znów różę hiacynt wonią swą odurza.*

Następny dwuwiersz świadczy o bardzo żywej wyobraźni poety:

*Ogród hiacyntowy widny do pępuszka
niby pąk, który wiosną głóg polny wypuszcza.*

Jaśmin oznacza białą karnację w przeciwieństwie do tulipana:

*To się jaśmin raduje, to nad tulipanem
niby dach pochylony zawisa cyklamen.
Muszla w rubinie trzyma perłę jak w więzieniu,
a z różą łączą hiacynt płatki cyklamenu,
więc kiedy to dostrzega Hürem doświadczony,
wnet osłania kochanków namiotem przestronnym.*

Czy chodzi tu o barwę, czy o kształt kwiatu? Że sytuacje były intymne, domyślamy się z reakcji Hürema. Z kolei narcyzy bardzo często oznaczają oczy:

*Dlaczego twoje oczy – narcyzy promienne –
są dziś jak anemony z upału przywiędłe?*

Przejdźmy teraz do symboliki tulipana, poniższe dystychy wyjaśniają jedną z najczęściej spotykanych jego funkcji:

*I znowu się zwały przecudne tulipany;
jednym z nich – zakochana – drugim zakochany.
W najrozkoszniejszych barwach teraz kwiaty oba;
niby wino w karafie płonie panna młoda.*

W połączeniu z różą tulipan niekiedy oznacza kochanka, a róża – kochankę:

*Zaśmiały się radością tulipan i róża,
cieszą się grą miłosną, która je odurza.*

Ale już bejt nie tłumaczy się tak jasno:

*I tulipan mógł zawsze u róży się stawić,
gdyż wszystko dozwolone było w tej zabawie.*

Wiemy, że tulipan symbolizuje również radość i szczęście, na przykład:

*Jak tulipan zajaśniał dla mnie obrót Koła,
a tron mój tonął w kwiatkach i pachnących ziołach.*

Wróćmy jeszcze do symbolizującego oczy narcyza, kiedy to córka Szada cuci omdlałego Ferruha:

*Na tron swój ciągnie szacha i wody różane
w twarz pryska, aż narcyzy otwały się same.*

Natomiast róża w symbolice Wschodu zamyka w sobie często mistyczne treści, jednakże w naszym poemacie, „róża połączenia” zgoła po ziemsku się tłumaczy. Róża to również synonim twarzy:

*Nie chcę, aby się kiedy do mnie uśmiechała
inna róża, jak tylko twoja róża biała,
i niech słowik zamilknie i synogarlica,
jeśli nie będzie moją różą twego lica.*

A oto inny przykład:

*Czerwona róża żółkła, by krokus na hali;
zwiądł hiacynt, smukły cyprys na ziemię się zwałił.*

Róża i słowik, tradycyjny obraz poezji mistycznej, występuje u Mehmeda wyłącznie w kontekście miłosnych scen:

*I jak słowik przy róży, przy słowiku róża,
szukają ukojenia, które ich odurza.*

albo:

*Byłam w rajskich ogrodach pąkiem róży cudnej
szczęśliwszym, promienniejszym od słońca w południe;
byłam dla róży krzewu słowikiem słowików
a dla słowika różą wśród wonnych kwietników.*

Róża to kochanka, ale nie tylko:

*Jeśli to miły żarcik, to otwórz się różo,
bo dobrze, gdy się róża z drugą łączy różą.
I stała się noc czarna jak zorza świetlista,
krzak róży stracił kolce w miękkich tonąc listkach.*

Róża to również ideał miłości, to symbol istoty, której nikt inny nie mógłby zastąpić:

Znalazłem swoją różę, nie chcę tulipana.

A oto cały bukiet uwity z symboli, wśród których mamy i orzechy, od dawna związane z kultem płodności, i ambre, czyli czerń włosów kochanka lub kochanki:

*Znowu się złączył cyprys z jaśminem powabnym
i otoczył go sobą jak mógł najdokładniej
i róża muska różę, orzech – łoża młoda
różę nurzając w cukrach, a pistację w miodach...
I rosa z hiacyntu na tulipan spada,
a na dzikiej różyczce ambra się układa.*

Winna łoża oznacza kochankę, choć kiedy indziej wyraźniej kojarzy się z pędem, czyli z phallosem. Również ma silne związki z kultem płodności, podobnie jak i sam napój. Wino jest również napojem budzącym ekstazę mistyczną. O kulcie wina pisałem już wcześniej, analizując gazele Hafiza, który był sufim, a jego przydomek „Hafiz” oznaczał umięjącego Koran na pamięć, bowiem wykladał komentarze do tej biblii islamu, choć wcale nie był świętoszkiem, gdyż w swoich lirykach opiewał zalety wina, zmysłową miłość, wesele i radość.

Zboczyłem trochę z omawiania treści poematu Mehmeda, chcę tylko jeszcze nadmienić, iż słownictwo sufich wywodzi się z irańskich (perskich) erotyków ludowych.

Powróćmy jednak do analizy „Księgi miłości”, a konkretniej do łoży kochanki:

Winna łoża z cyprysem przeplata się smukłym.

W symbolice orientalnej często występują sady, ogrody i owoce. Oto czym jest Ferruh dla Hümy:

*O, Panie tego świata jesteś moim szachem,
moja różą, kwietnikiem, winnicą i sadem!*

A gdy Hüme niepokoi przygnębienie kochanka, zapytuje:

*Czemu to purpurowa gałąź ergüwanu
barwę traci? Ogrody twoje zaniedbane?*

Tak zaś biada Ferruh z daleka od swej Hümy, której miałby tyle do ofiarowania:

*Sad mój pięknie sadzony, schnie dziś i umiera
a róże moje wędną miast paki otwierać.*

Jednym z najpopularniejszych elementów orientalnej symboliki jest woda życia. Występuje ona zarówno w swym znaczeniu właściwym, na przykład:

*Księżę słucha słów Hümy, co z jej ust tak płyną,
jak Woda Życia płynie spomiędzy rubinów.*

jak i metaforycznie:

*I rzecze: Moje ciało Woda myje Żywa
i czuję się szczęśliwy, kiedyś ty szczęśliwa.*

albo:

*Niech mi świat cały dadzą, co mi świat bez Niego?
Na co mi martwe ciało bez ducha jasnego?
Albowiem jego wody sycają moją glebę.*

lub:

*A gdy się Woda Życia z krzyży przelewała,
to nowy duch wstępował w na wpół martwe ciała.*

Kiedy indziej woda życia to eufemistyczne przedstawienie kochanka lub kochanki:

*Gdzieżeś, o Wodo Życia, bez której mi zginąć?
Gdzieżeś, słodki owocu? Gdzie luba roślino?!*

Woda życia w parze z Hyzyrem, prorokiem, wędrującym z Mojżeszem, utożsamianym z Eliaszem, który odnalazł jej źródło i stał się nieśmiertelny, nadaje szczególnych treści scenom połączenia, na przykład:

*I jak Iskender Wielki ciemność zwyciężyłam,
i jak Hyzyr Zielony Wodę Życia piłam.*

albo:

*I oto znowu Hyzyr wszedł do Żywej Wody
i popłynęło wino z owocem cukrowym.*

Podsumowując, należy stwierdzić, iż przytoczone przeze mnie opisy, obrazy liryczne, spowite osnową wysublimowanego erotyzmu, zawarte w poemacie Mehmeda, świadczą o wysokim poziomie literatury Wschodu, wywodzącej się ze świata islamu, zaistniałej nie tylko w Persji, w kalifatach arabskich, ale także w muzułmańskiej Turcji. W tym wypadku turecka literatura okresu średniowiecza na przykładzie „Księgi miłości” urzeka niespotykanymi porównaniami, niezwykle symboliką orientalnej erotyki, zaskakującą egzotyczną metaforą, ale przede wszystkim subtelnym, wyrafinowanym pięknem obrazowania poetyckiego, bogactwem niebanalnych skojarzeń, środków artystycznych, kunsztownych opisów, obrazów, przedstawiających wykwintnym słownictwem zarówno zmysłową, jak i duchową stronę miłości.

W związku z tym, iż tak wartościowa literatura jest u nas prawie nieznaną, pozwoliłem sobie zaprezentować jej wyszukane, skrzące się barwami, jak szlachetne kamienie, subtelne odcienie miłości.

Ważną rolę w kulturze muzułmańskiej średniowiecznego świata islamu odgrywała mistyka, w związku z tym bujnie się krzewiła poezja, ukazująca żarliwą miłość niebiańską, mistyczną, do Boga.

Największym poetą mistycznym islamu jest Dżalal ad-Din Rumi, urodził się w 1207 r. w Chorosanie, w Balku (obecnie Afganistan), był synem wielkiego teologa Baha ad-Din Walada. W 1209 r. rodzina opuściła Balk w obliczu zagrożenia mongolskiego i osiadła w Konyi (Turcja). Rumi studiował w Damaszku, gdzie był uczniem wielkiego mistyka i poety Ibn-Arabiego. Wkrótce po ukończeniu studiów zorganizował bractwo tańczących derwiszów. Rumi skutecznie realizował swe posłannictwo budziciela dusz, opracowując metodę umożliwiającą zjednoczenie się w miłości z Bogiem. Wedle niego muzyka jest echem sfer niebieskich, pierwotnej stwórczej wibracji, zaś święty taniec derwiszów – sama, odwzorowuje zawrotny płas planet, pełną triumfu radość, przenikającą kosmos.

W swej twórczości żarliwie opiewał miłość, najpierw boską miłość, ale również miłość do wszystkich ludzi i do wszystkich żywych istot. Rumi był panteistą, w każdej rzeczy dostrzegał Boga, zwykł mawiać: „Do Boga prowadzi wiele dróg, ja wybrałem drogę tańca i muzyki”.

Pisał ody mistyczne oraz liczne rubajaty (czterowersze). Największym jego dziełem jest „Mathnawi” – olbrzymi poemat mistyczny, składający się z 45 tysięcy wersów – prawdziwa odyseja duszy, która musi umrzeć dla siebie samej, aby wiecznie żyć z miłością w Bogu. W Europie poemat „Mathnawi” zyskał podziw u Goethego i Hegla.

A oto kilka krótkich fragmentów z mistycznej poezji Rumiego:

*W nocy mego serca, na skraju wąskiej drogi
kopałem – i oto trysnęło światło: Nieobjęta
ziemia, pełna dnia.*

*Byłem śniegiem, ty mnie roztopiłeś.
Wypiła mnie ziemia.
Teraz jako opar ducha,
wznoszę się ku słońcu.*

*W rytmach muzycznych
ukryta jest tajemnica,
gdybym ją objawił,
zatrząsłby się świat.*

*Moje życie streszcza się
w trzech słowach:
byłem surowy, ugotowałem się,
teraz się piekę.*

Następnym wybitnym mistykiem, poetą był Ibn-Arabi, zwany „Sułtanem gnostyków”. Urodził się w 1165 roku w Murcji (dzisiejszej Hiszpanii), później przeniósł się do Andaluzji i zamieszkał w Sewilli. Odwiedził Kair, Jerozolimę oraz Mekkę, gdzie zakochał się w córce perskiego szejka – Nizam, której zadedykował swój dywan pt. „Przewodnik namiętności” – arcydzieło poezji religijnej, w którym wysławiał w mistycznych odach, kasydach, rubajatach panteistyczną miłość do Boga (Allaha) do świata i ludzi.

Ibn-Arabi był poetą nadzwyczaj płodnym, napisał ponad trzysta utworów, są wśród nich zbiory wierszy. Najbardziej reprezentatywne to „Objawienia mekkańskie”, gdzie w 560 rozdziałach prozy poetyckiej daje szczegółowe studium aspektów duchowości i odbłasków miłości bożej. Oto jego mistyczno-poetyckie credo:

*Istnienie rzeczy stworzonych
to istnienie samego Stwórcy.
Wszczęświat to jakoby
cień samego Boga.*

Jak więc widać, panteistyczna miłość do Boga, przyczyniła się do powstania wspaniałej, mistycznej literatury, uwznioślającej człowieka, wznoszącej go ku sakralnym przestrzeniom i przenikającej transcendentnie miłością pełnej piękna, boskiej wibracji muzycznych sfer niebieskich.

Powróćmy teraz dla porównania do dzieł literatury miłosnej z Europy Zachodniej, o których wcześniej jedynie wspominałem lub zgoła pominąłem. Zaczniemy od anonimowego arcydzieła średniowiecznego, a mianowicie od miłosnego romanisu rycerskiego, zatytułowanego „Dzieje Tristana i Izolda”. Wywodzi się on ze średniowiecznej Francji. Pokrótkę postaram się przytoczyć jego treść.

Główni i tytułowi bohaterowie tego romanisu, wbrew swej woli – za sprawą tajemniczego, czarodziejskiego napoju, skazani są na miłość, która była przyczyną ich tragicznego rozdarcia. Izolda to przecież żona króla Marka – pana i wuja Tristana. Tristanowi zaś jako rycerzowi honor nakazywał dochowanie wierności swemu władcy. Zakochani, skazani na ból i cierpienie, jakie daje niedozwolona miłość, nie mogli razem żyć, nie mogli też żyć bez siebie. I choć próbują walczyć, muszą ulec namiętności, silniejsza jest ona bowiem niż rozum, wola, konwenanse, zobowiązania, silniejsza nawet niż śmierć, która na zawsze ich połączyła:

*...w nocy z grobu Tristana wybujał zielony
i liściasty głóg o silnych gałęziach, pachnących
kwiatach, który wznosząc się ponad kaplice,
zanurzył się w grobie Izoldy. Ludzie miejscowi
ucięli głóg, nazajutrz odrósł na nowo, równie
zielony, równie kwitnący równie żywy i znowuż
utopił się w łożu Izoldy Jasnowłosej.
Po trzykroć chcieli go zniszczyć, na próżno.
Wreszcie donieśli o cudzie królowi Markowi.
Król zabronił odtąd głóg ucinać...*

Miłość nieśmiertelnej pary urzeka swym dynamizmem, wstrząsa nas ich groza i gorzkie wyrzuty sumienia za wiarołomstwo. Genialny anonimowy twórca skonstruował tragiczny konflikt pod

brzemieniem ponurego, nieodwracalnego przeznaczenia. Dzięki temu bohaterowie są jak w antycznej tragedii, odpowiedzialni, więc muszą odpowiedzieć, ale nie są winni, a okwiecenie ich grobów jest pośmiertnym symbolem ich rozgrzeszenia.

Średniowiecze może się też poszczycić jak żadna inna epoka słynną i autentyczną miłosną historią, która wydarzyła się w XIII wieku, a jej bohaterami byli: znany francuski filozof, teolog i poeta Piotr Abelard i młodziutka jego uczennica Heloiza, w której Abelard zakochał się bez pamięci. W liście do przyjaciela wspominał: *...w miarę jak coraz bardziej ulegałem rozkoszy, mniej mogłem zajmować się filozofią, mniej interesowałem się szkołą. Bardzo niechętnie tam szedłem, niechętnie tam przebywałem. było zresztą rzeczą zbyt trudną, aby po nieprzespanych nocach poświęcać dni zajęciom szkolnym.*

Po wykryciu romansu przez wuja dziewczyny i po urodzeniu przez nią dziecka, zakochani pobrali się potajemnie, jednak zemsta opiekuna Heloizy dosięgnęła Abelarda, który na jego zlecenie został przez wynajętych zbirów pozbawiony męskości. Oboje kochankowie wstąpili do klasztoru, jednak cały czas o sobie pamiętali o czym świadczą pozostawione przez nich listy.

Pośród dzieł epickich nurtu romansu rycerskiego, należy przypomnieć utwory wywodzące się z kręgu celtyckich opowieści z tzw. cyklu materii bretońskiej, dotyczącej poszukiwania św. Graala. Najwspanialszym przykładem tej literatury jest rycersko-miłosna powieść Krystiana de Troyes – „Perceval z Walii, czyli opowieść o Graalu”. Krystian jako pisarz, poeta i trubadur jest nie tylko świętym artystą, jest również doskonałym znawcą klasy rycerskiej. W swej powieści pisze o zjawiskach społecznych, takich jak wytworne maniery, styl życia stanu rycerskiego, a głównie relacjonuje bitwy i oblężenia, turnieje i pojedynki, uczty i zabawy, rozmowy i sceny towarzyskie. Jednak miłość staje się dla niego najważniejszym, najbardziej szczegółowo opisywanym zjawiskiem psychicznym. Potrafił mistrzowsko przedstawić jej fazy: tajemnicze, podświadome załążki, pierwsze błyski uświadomienia, niespodziewany wybuch uczucia lub powolne jego narastanie, długie zmagania wewnętrzne, niepewność, wahania, poczucie ryzyka, walkę z przyrodzoną wstydlivością, z lękiem przed

nieznanym. Czasem uległość spada na kobietę jak piorun. Miłość jest jednak zawsze zwycięska, zawsze dochodzi do kulminacji. A potem Krystian umie przedstawić falowanie wzajemnego zbliżenia, utrwalanie i pogłębianie uczucia. Przedstawia też powolne zanikanie miłości, starcia wewnętrzne z nową miłością, zazdrość, rozczarowanie, zdradę, pogardę, mściwość, nienawiść.

Największą innowacją jego jest zajęcie się kobietą w idealnym stanie małżeńskim. Dla Krystiana jedynie nierozzerwalne, wierne małżeństwo umożliwia istnienie prawdziwej miłości, ale małżeństwo z wolnego wyboru w równości i czci dla kobiety, stąd u niego owe młodziutki, urocz dzieweczki, kochające szczerze, głęboko w uniesieniu pierwszej miłości. U niego prawdziwa miłość jest to uczucie poważne, ogarniające całość życia, dominujące. Istota miłości jest przede wszystkim duchowa. Autor czyni z niej narzędzie doskonalenia: jest to miłość – przyjaźń, jedność ciała i duszy.

Ale jest też miłość wiarałomna, kochanic opętanych nieokielznanym popędem płciowym, ślepa chuć rozpustnic i kusicielek lub też kobiet dławionych w ciężkich więzach ówczesnej instytucji małżeństwa, jest głód wolności i żądza zemsty za wieloletnie prześladowania, przemoc, szpiegowanie, żelazny dozór lub więzienie, tyranie znienawidzonego męża – starucha.

Chcę jeszcze nadmienić, iż Krystian w swej powieści w pełni uznaje cielesność w miłości, stawia miłość wyłącznie na planie ziemskim i doczesnym, obchodzi się bez kryteriów i nakazów religijnych i kościelnych. Krystian jest bez wątpienia genialną indywidualnością twórczą, który w swoim dziele osiągnął doskonałość artystyczną i ideową.

Znany jest również, wywodzący się z kręgu celtyckiego romansowo-rycerski cykl arturiański, czyli „Opowieści Okrągłego Stołu” z XII-XIII wieku. Autorzy dzieł nie są znani. Na podstawie pewnych aluzji odnalezionych w tekście można się jedynie domyślać, że wszyscy trzej pochodzili z Szampanii i byli klerykami.

Postacią wiążącą poszczególne części („Merlin Czarodziej”, „Lancelot z Jeziora”, „Poszukiwanie św. Graala”) jest król Artur – legendarny władca Celtów, który zgromadził wokół siebie przy Okrągłym Stole najznakomitszych rycerzy bretoń-

skich jak Gowen, Lancelot, Iwen. Biorą oni udział w licznych przygodach, uczestnicząc w bitwach, turniejach, pojedynkach i poszukiwaniach świętego Graala. Przeżywają też miłosne romanse, adorując swe ukochane. Dumni ze swych zwycięstw błędni rycerze wracają na dwór królewski i ubiegają się o łaskę dam niezrównanej piękności, wśród których kwitnie uroczy kwiat – królowa małżonka Ginewra.

Spśród rycerzy króla Artura szczególnie się wyróżnia Lancelot, który wydaje się dzięki swym cechom fizycznym, ale przede wszystkim dzięki swej szlachetności i sile moralnej, najpierwszym rycerzem świata, tym któremu ma przypaść honor zakończenia tajemniczej przygody poszukiwania św. Graala.

Niestety, Lancelot zhańbił się grzechem cudzołóstwa, zdradzając swego króla Artura z jego małżonką – królową Ginewrą. Od momentu, gdy owdładnęła nim miłość do królowej, nie może on więc dostąpić najwyższej nagrody poszukiwań św. Graala. Ale ponieważ należy do rodu Józefa z Arymatei i króla Rybaka, Bóg czyni mu łaskę, wyznaczając do tej roli jego syna Galahada. Kochankowie Ginewra i Lancelot muszą jednak zostać ukarani, a z racji ich wiary ukarany zostaje cały wewnętrznie rozdarty niesnaskami dwór króla Artura, który sam śmiertelnie ranny w walce, zostaje uniesiony na wyspę wiecznego szczęścia i miłości Avalon. Wraz z klęską Okrągłego Stołu i śmiercią władcy, zniknie dawny, wspaniały świat rycerski.

Przejdźmy teraz do następnego utworu z nurtu romansu rycerskiego, a mianowicie do niezwykle wdzięcznych i urokliwych „Opowieści” Marii z Francji. Jest to pierwsza znana z imienia pisarka francuska. Była na pewno rodem z Francji, ale życie spędziła w Anglii, przebywała zapewne na dworze króla Henryka II Plantageneta i jego małżonki Alienory Akwitańskiej, świetnych mecenasów, na których dworze panowały język i kultura francuska, gdzie jednak żyli Celtowie i Anglosasi.

Akcja „Opowieści” czerpie swe motywy z trzech dziedzin. Cechą jednej grupy, najciekawszej, jest jej fantastyczny charakter. Występuje tu cudowność mityczna celtyckiego pochodzenia.

Opowieść „Lanwal” przedstawia miłość wróżki do rycerza, która w końcu porywa go w zaświaty. Podobny charakter ma „Guigemer”,

którego bohaterowi wydaje się, że przeżył w miłości z wróżką trzy dni, a były to trzy wieki.

Druga grupa opowieści ma podkład uczuciowy, przykładem jest tutaj „Eliduc”, zawierający motyw miłości rycerza do dwu kobiet i wzruszającego poświęcenia jednej z nich.

Trzecia grupa zajmuje się sentymentalną, melancholijną, czasem tragiczną miłością, snutą na kanwie ówczesnego życia arystokratycznego. Tu należą „Dwoje kochanków”, w której to opowieści ojciec, utrudniający wszelkimi sposobami zamęście córki, narzuca starającym się o jej rękę rycerzom morderczy warunek wyniesienia ukochanej na wysoką górę, przy tej próbie bohater ginie z przemęczenia, a dziewczyna umiera z rozpaczy.

Opowieść „Nieszczęśni” kreśli smutny los czterech rycerzy, trzech z nich ginie w pojedynkach, a czwarty ciężko ranny uzyskuje miłość kobiety, o którą wszyscy się starali.

W „Słowiku” Maria snuje motyw najdelikatniej tkany z krzywdy i też, kiedy kochankowie, nie mogąc się zejść, łączą się przynajmniej sercem, tylko słuchając śpiewu słowika, a zazdrosny mąż zabija ptaszynę, chcąc uniemożliwić kochankom nawet tak idealne porozumienie.

Mimo, że Maria umie się wczuć w świat fantastyczny, mimo, że łączy z tym sprzeczny dar realistycznego odtworzenia otaczającego świata, to jednak dominującym czynnikiem wszystkich trzech grup opowiadań jest uczucie, a wszechobecnym tematem wszystkich opowieści jest miłość. Pisarka, poetka przedstawia w swych utworach ludzi, których cechą jest szczerłość, lecz wszechwładnym imperatywem ich istoty jest miłość.

Model miłości dwornej, czyli czystej, platonicznej, duchowej, opartej na kulcie kobiety doskonałej i niedostępnej dla przeciętnego rycerza, lansowały nie tylko wyżej omawiane przeze mnie dzieła epickie, ale również utwory liryczne. Przykładem jest tutaj przepełniona tematyką miłosną liryka prowansalska, która kwitła na południu Francji. Tworzyli ją zapraszani na dwory możnych poeci i pieśniarze, zwani trubadurami. W swych poematach opiewali miłość do wyidealizowanej kobiety, która jest przez rycerzy bezgranicznie wielbiona i zarazem niedostępna.

Natomiast na północy Francji, w Bretanii tworzyli truwerzy, którzy obok liryki miłosnej, uprawiali

także epikę rycerską. Pieśni trubadurów i truverów rozpowszechniali wśród niższych warstw społecznych tzw. minstrele – wędrowni śpiewacy, niestroniący nawet od wykonywania ludowych ballad.

Skoro jesteśmy już przy liryce, to nie sposób pominąć Francesca Petrarke, autora znakomitych liryków miłosnych, jednego z największych sonecistów w poezji światowej, który pisał również piękne canzony. Sonetami swymi wystawił pomnik ukochanej Laurze.

Wielu historyków literatury uważa Petrarke za poetę tzw. „wczesnego odrodzenia”, czyli włoskiego renesansu. Jednak żył i tworzył w epoce średniowiecza, w XIV wieku. Zbiór canzoniere Petrarki, którego najobszerniejszą częścią są „Sonety do Laury”, powstał od 1340 roku aż do śmierci poety (wydany został dopiero w 1470 r.).

Bohaterką cyklu jest kobieta – anioł, złotowłosa piękność, którą Petrarca miał pokochać od pierwszego wejrzenia. Sonety ustalają repertuar porównań i metafor typowy dla liryki europejskiej. Poeta porównuje miłość do ognia, trawiącego żaru, śmierci, morskiej burzy. Petrarca pisze, że miłość czyni człowieka bezbronny i ślepy, stanowi wyzwanie dla rozumu. Jej dary są paradoksalne: radość i cierpienie, rozkosz i ból, słodycz i trucizna, Poeta w swych sonetach nakreślił ideał nieszczęśliwej, niespełnionej miłości, trwającej nawet po śmierci jednego z partnerów, bliski będzie w przyszłości romantykom.

Drugą część cyklu, pisaną już po śmierci Laury, zamykają jednak wyznania pełne skruchy, w których stwierdza, że uczucie do ziemskiej istoty to niższy rodzaj miłości niż miłość niebiańska – miłość do Boga.

W drugiej połowie XIII wieku we Włoszech występował w miłosnej poezji „Nowy słodki styl”. Jego przedstawicielami byli m.in. Guido Guinizelli i Guido Cavalcanti. Sonety, ballady i canzony tych autorów czyniły z miłości sferę doznań czysto intelektualnych. Oddzielali wyraźnie miłość niebiańską, wyidealizowaną, mistyczną od erotyzmu. Kobieta stawała się istotą abstrakcyjną. Za jej największe zalety uważano mądrość, szlachetność serca i pobożność. Poeci szkoły „dolce stil nuovo” wywarli wpływ na twórczość Dantego i Petrarki. W „Boskiej komedii” Guinizelli jest autorem wierszy miodopłynnych, zasługującym na nieśmiertelność.

Zapewne wielu czytelników zdziwi, iż wielki poeta przełomu średniowiecza i renesansu Dante Alighieri pisał o miłości, co prawda nie w takim wymiarze jak wyżej wymienieni poeci, których twórczość wcześniej przedstawiałem i poddałem literackiej analizie.

A poza tym miłość nie była głównym tematem w twórczości Dantego, niemniej jednak pewne wątki miłosne przewijają się w jego słynnym i wybitnym dziele, jakim jest poemat „Boska komedia”, a także występują we wcześniejszej twórczości.

O życiu największego poety Italii wiemy właściwie niezbyt wiele. Do 1301 roku mieszkał we Florencji. Wplątany w walki polityczne między stronnictwami „czarnych” i „białych”, skazany został na wygnanie, a w pewnym momencie groziła mu nawet kara śmierci. Nigdy nie wrócił do swego rodzinnego miasta, pisał o nim z największą gorczycą („Rasa zawistna, chciwa, w złości żwawa”). Okres tułaczki zakończył w Rawennie.

Jego dzieła wskazują, że przez całe życie kochał się w jednej kobiecie, imieniem Beatrycze. Nie ma jednak zgodności, co do jej osoby. Najprawdopodobniej chodzi o Bice di Folco Portinari, żonę przyjaciela poety. To właśnie jej miał poświęcić liryczny pamiętnik „Życie nowe”, napisany jeszcze przed „Boską komedią”. Ujmuje w nim miłość zgodnie z konwencją „dolce stil nuovo”. Dante w swej „Boskiej komedii” zamieścił też wzruszającą historię tragicznej, występnej na owe czasy miłości Franceski i Pada, których nawet śmierć nie mogła rozdzielić.

Poemat Dantego jest też wyrazem miłości do kobiety i ludzkości. „Boska komedia” to pomnik miłości poety do Beatrice: „Miłość, co wprawia w ruch słońce i gwiazdy”. To właśnie ukochana Dantego Beatrice oprowadza go w zaświatach po Raju, będąc mu przewodniczką. Poeta w swym dziele przedstawił ukochaną jako ideał kobiety – można tu dostrzec podobieństwo do eposu rycerskiego i liryki prowansalskiej. Dante w swym poemacie składa hołd ukochanej kobiecie, to dzięki uduchowionej miłości do niej, dzięki jej pomocy i opiece uzyskał stan oczyszczenia moralnego.

Wybitnym twórcą, który zasłynął w literaturze włoskiej XIV wieku miłosnymi nowelami był Giovanni Boccaccio. Jego poezje (długie epiczne poematy, bukoliki, nawet sonet o Dantem) w więk-

szości przebrzmiały. Do nieśmiertelności przeszło jedno dzieło, „Dekameron” – zbiór stu nowel. Utwór ma kompozycję szufladkową, naśladowaną w innych dziełach tego typu. Akcja tego realistycznego, frywolnego i niezwykłego utworu rozpoczyna się wiosną 1348 roku w ogarniętej dżumą Florencji (zdaniem autora epidemia pochłonęła 100 tys. ofiar). Dziesięcioro młodych bohaterów (siedem kobiet i trzech mężczyzn) ucieka z miasta, by przez dziesięć dni znajdować rozrywkę i zapomnienie w opowiadaniu najprzeróżniejszych historii. Codziennie poznajemy dziesięć opowieści, jakkolwiek każdy posiada przewodni temat.

Tematem większości nowel „Dekameronu” jest miłość „największa z potęg”. Boccaccio i jego bohaterowie mają wątpliwości, czy idąc za głosem serca, można popełnić grzech. Obiektem krytyki (i to niezbyt surowej) może stać się najwyżej lubieżny starzec.

Erotyczne przygody najrozmaitszych postaci skupiają się wokół czterech głównych wątków:

1. Pierwsza miłość – związek młodych ludzi, ukrywany przed otoczeniem, kończący się na ogół pomyślnie. Typowe przeszkody, jakie przezwyciężyć musi para: niechęć rodziców, nierówności stanowe, niejasne pochodzenie jednego z partnerów (niewolnik w finale okazuje się książęcym synem rywala w miłości).
2. Miłość bez wzajemności. W tym związku kocha mężczyzna, kobieta pozostaje nieczuła na jego zabiegi. Jeśli nie odwzajemni miłości, spotyka ją sroga kara – jak ową dziewczynę, która po śmierci przebijana jest szpadą, a jej serce okrutny rycerz rzuca na pożarcie psom.
3. Miłość namiętnej mężatki zaniedbywanej przez małżonka. „Chytra białogłowa” zawsze znajdzie sposób, by wpuścić kochanka do sypialni, a przyłapaną na gorącym uczynku, wytłumaczy zręcznie jego obecność. „Rogacze” nie zasługują na litość, u Boccaccia są nimi zresztą zazdrośnicy, skąpcy i impotenci. Występują tu też wyczyny niewiernej żony – najślawniejsza opowieść to „Kadź i żona”.
4. Ostatni wątek to miłość duchownych (oboja-ga płci). W tym wypadku chodzi raczej nie o uczucie, ale o seksualne ekscesy, jak miłosne awantury mnichów, pustelników i zakonnic. Niewątpliwie najbardziej pikantną nowelą tego

wątku jest „Diabeł i piekło”. Boccaccio uważa celibat za niebezpieczne wyzwanie rzucone naturze. Jego zdaniem instynktu nie da się stłumić ani za pomocą edukacji, ani systemu religijnych zakazów.

W „Dekameronie” występuje też wiele pomniejszych wątków, jak: pieniądze i miłość, figle i psoty, zasadzki, fortele, pułapki miłosne, w których głupcy niezmiennie przegrywają, triumfują zaś najsprytniejsi.

Boccaccio uważany za twórcę noweli w klasycznej postaci, pisząc „Dekameron”, odwołał się do gatunków takich jak baśń, przypowieść, romans rycerski, bajka, mit. Punktem wyjścia były zapewne historie opowiedane sobie przez ludzi.

Kto nie lubi opowieści, które kończą się szczęśliwie? Boccaccio znał doskonale upodobania publiczności, tworząc dzieło tak pogodne, żartobliwe, pełne niebanalnego humoru. Jest ona też satyrą i krytyką ludzkich przywar, jak głupota, skąpstwo, rozpusta, obłuda, i dlatego jest dziełem genialnym i ponadczasowym, do którego będą zapewne wracać następne pokolenia czytelników.

Na koniec bardzo wymowne skojarzenie związane z początkiem utworu. Otóż patrząc na wszystko z pewnego oddalenia, widzimy z jednej strony zadżumioną Florencję, gdzie szaleje śmierć, a z drugiej strony wyłania się wiejska Arkadia – maleńkie dziesięcioosobowe państwko, kraina słońca, kwiatów, wina, muzyki i opowieści głoszących tryumf życia i miłości.

Został nam już ostatni z wielkich artystów w pierwszej części mojego eseju – dramaturg i poeta William Szekspir, który swym literackim geniuszem odcisnął nieśmiertelne piętno w literaturze światowej, nie tylko dramatami królewskimi, ale również niedościgłą w swym lirycznym pięknie miłosną tragedią „Romeo i Julia”.

Akcja sztuki rozgrywa się w renesansowej Weronie. Jej bohaterowie są bardzo młodzi (Julia nie skończyła jeszcze czternastu lat). Oboje spotkali się podczas jej urodzinowego, wystawnego przyjęcia i zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Piękność Julii zawładnęła niepodzielnie sercem Romea. Zbyt późno dowiedzieli się, że są dziećmi wrogich sobie rodów i że miłość ich jest z góry skazana na zagładę. Tak więc nad ich przyszłością ciąży walka dwóch zwaśnionych rodów

– Montekich i Kapuletich. Mimo to, wbrew woli rodziców biorą potajemny ślub. Niebawem pojawia się Kapulet – mocą ojcowskiej władzy nakazuje on Julii poślubić hrabiego Parysa. Ojciec Laurenty, który wcześniej udzielił im ślubu, pragnąc dopomóc Julii, daje jej narkotyk, sprowadzający sen podobny śmierci. Następują uroczyste zaślubiny Julii z Parysem, lecz w kulminacyjnym momencie Julia, niby martwa osuwa się na ziemię. Przeświadczeni o śmierci Julii, rodzice złożyli jej ciało w rodzinnym grobowcu. Przybywa tu potajemnie Romeo, którego ojciec Laurenty nie zdążył powiadomić, iż śmierć Julii jest tylko pozorna, i przekonany, że ukochana jego nie żyje – w rozpacz zażywa truciznę. W tym momencie Julia budzi się z letargu. Kochankowie zamieniają najczulsze słowa, cieszą się chwilą szczęścia. Lecz jest już za późno – Romeo umiera, Julia zaś, nie chcąc przeżyć śmierci ukochanego, przebija się jego sztyletem. Dopiero nad ich wspólnym grobem dochodzi do pojednania skłóconych rodzin.

Niektóre partie utworu, jak choćby słynna scena balkonowa z II aktu, gdy Romeo pod osłoną nocy przedostaje się do ogrodu Kapuletów pod balkon Julii, należą do największych osiągnięć liryki miłosnej. Ta wyjątkowa, pełna czułości scena miłosna urzeka swym liryzmem i nastrojowością. W tej tragedii „dobro” podlega ztracenie, tym dobrem jest oczywiście po prostu młodzieńcza miłość.

Przede wszystkim rozkwita pierwsze, upajające i absolutne uczucie pary, chłopca i dziewczyny na tle pięknego i rozbawionego włoskiego grodu i zostaje wyśpiewane w sposób na zawsze pamiętny w konwencji południowej poezji (tenzon, albada). Trzeba było wspaniale ukazać pełnię tego dobra, które nadchodziło dla dwojga młodych, pełnię ich urody, by przypadnięcie wszystkiego mogło być dominujące. Ale prawdą jest także, że miłość w tej tragedii ma drugie oblicze: pokochać, zwłaszcza w sensie społecznym, to dążyć do pokoju. Zwaśnione rody, z których się wywodzą werońscy kochankowie, mogły przez ich związek się pogodzić. Jest częścią tragedii, że dopiero w grobowcu Romea i Julii doszło do tego pogodzenia, a jednak jest to jej częścią, niosącą katharsis, oczyszczającą, choć wśród wielkiego bólu.

Mirosław Leszek Iwańczyk

Aneta Śliwińska

Znajome oblicza

*Są osoby, które się pamięta i osoby
o których się śni*

Carlos Ruiz Zafón

Miłość niejedno ma imię. Bez miłości nie ma poezji, nie ma literatury. Miłość pojawia się przy narodzinach człowieka i towarzyszy mu aż do końca. Jest miłość macierzyńska, braterska, miłość do ojczyzny, do sztuki, świata i życia; wreszcie jest miłość przywoływana i opiewana we wszystkich językach świata na przestrzeni wieków: miłość romantyczna. Miłość ukazująca świat rozgrywający się pomiędzy dwojgiem ludzi, w ich marzeniach i pragnieniach, we wszystkim, co składa się na naturę ludzką.

Nic tak nie porusza naszych serc i wyobraźni, jak para kochanków budujących dla siebie swój własny, wyimaginowany świat. I do nich właśnie odnosi się książka Mirosława Iwańczyka „Oblicza miłości”. Wędrując po jej stronicach, odnajdujemy oniryczne obrazy, dostrzegamy półsenny uśmiech historii i osobistych przeżyć autora.

Tematy utworów ukazane są niczym starożytne ścieżki, na których pojawiają się postacie odległe, nieodgadnione, zakochane, zamyślane, drzemiące niczym żywe obrazy gdzieś pod powiekami wyobraźni. Autor wyciąga do nas dłoń i słowo po słowie daje nam wersy, w których wszystko może się zdarzyć. Bohaterami utworów zostały nieśmiertelne legendy, przypominające o tym, co piękne, wymarzone, harmonijne, niedające się ująć w słowa, utrwalone w postaciach przywoływanych na stronicach ksiąg. I oto mamy „Miłosny koncert”:

*Boska Safo,
tyś jest
helleńską poezją,
czułą i żarliwą
pieśnią,
w kołowrocie świata,
Płyniesz konchą
na wyspę miłości...*

Podmiot sam stawia sobie pytania i sam próbuje szukać odpowiedzi. Tak dzieje się w utworach „Kim jesteś” i „Antyczne refleksje”:

*Kim jesteś,
bez pytań i odpowiedzi,
bez słów, z utkwionym
wzrokiem w przestrzeń.
Kim jesteś...*

*Czy jesteś
prześliczną Heleną
w ariostycznym pocałunku
nocy letniej.
Czy jesteś
Moną Lisą
tajemniczo piękną uczu,
radosną Eurydyką,
tańczącą
na strunach światła...*

Poeta wciąż na kogoś czeka, wyciąga ręce w geście miłości i tęsknoty, prosi, wyczekuje nadziei:

*Nad brzegiem rzeki
pod cieniem wiązów,
przyjdiesz o zmierzchu,
z rozwianym włosiem,
niosąc snów fiołki
i pieszczot subtelnę
dreszcze...*

Czasem zwraca się do kogoś, kogo nie ma, kogo nie można dotknąć, do kogoś, kto milczy, umyka wraz z wizją i snem; ukazuje nieobecność ukochanej i samotność, zaznaną pomimo jej obecności. Czytamy o tym w wierszu „Sen”:

*...na leśnej polanie domek przy strumieniu,
a w nim ona, ma nieznaną,
już na mnie czeka,
i wita uśmiechem Giocondy.
Płonę ze szczęścia i biegnę spragniony
jej karminowych warg, a ona
stopniowo, powoli znika, we mgle
się rozplywa jej śliczna twarz.*

Jest to czekanie na miłość niespełnioną, wymarzoną, która nie wygasa poprzez wieki, pojawia się w najmniej spodziewanych momentach dnia codziennego:

*Czekam wciąż na nią,
choć jej nie znam,
i nie wiem czy nawet istnieje,
lecz czuję ją w sobie
i widzę, zwłaszcza
gdy mam zamknięte powieki...*

Poeta maluje subtelne obrazy słowem, piórem, a także bogatymi opisami przyrody i pejzażu, stanowiącymi tło miłosnych spotkań:

*... I wiosna złotobrewa, różanousta
zbudzi z zimowego snu drzewa,
łąki, winnice, umai bielą sady,
ustroi ziemię w zieleń, aż po horyzont,
na nim rozwiesi barwną tęczę,
splecioną z włosów boskiej Iris...*

Obrazy te przenika piękno, czułość gestów, tęsknota, cała złożoność charakterów kochanków:

*Były między nimi upojne chwile, pełne
oddania, rozkoszy i tkliwości, były też
sceny zazdrości, żalu, cierpienia i łzy
gorące, co szklily im rozpaczą oczy...*

Jest to świat miłości, który zachwyca odzieniami eterycznego uczucia, płomiennością serc i słów. Przed oczami unoszą się dotknięcia miłości na wskroś przesiąkniętej orientem i aromatem starożytnych kultur. Każdy utwór w książce „Oblicza miłości”, to osobna historia, pełna pasji, zachęcająca do odkrywania wiecznych prawd o ludzkich pragnieniach i tęsknotach, wykraczających poza czas i przestrzeń, poruszających zawsze, lecz także kruchych i ulotnych.

Autor niniejszej książki widzi i przeżywa świat z Parnasu, który starannie buduje z ogromnej wiedzy oraz najwartościowszych motywów w literaturze światowej. Dzięki takiemu spojrzeniu zbliżamy się wraz z każdym wersem, ku tajemnicom świata starożytnego. Zapach kwiecistej, orientalnej atmosfery unosi się na kartach książki, niczym mistyczny szept przeszłości. Wyraźnie odczuwamy to w utworze „Utracona Alhambra”:

*Tęsknię za mauretańskim pięknem,
za ogrodami cyprysowo-pistacjowymi,
z wysokimi palmami, co dają cię
znużonym pielgrzymom i chłodzą
ich rozgrzane skwarem skronie...*

Gdzie indziej zanurzamy się w świat dawnej Persji, z historią szalonej miłości, o czym opowiada utwór „Ferruh i Hüma”:

*Persja, enklawa piękna i miłości, niby klomb
różany wśród piasków nad wodą, to kraj
turkus, cynobru, indyga, przez który toczy
swe wody Eufrat jaspisowy.
Tam się narodziła szalona miłość szacha
Ferruha, do prześlicznej księżniczki Hümy...*

W innym miejscu Mirosław Iwańczyk z zapalem oprowadza nas po galerii dzieł wielkich mistrzów, w poszukiwaniu utrwalonego na nich subtelnego piękna i uczuć. Opowieść tę otrzymujemy w utworze „Artyzm miłości na płótnach”:

*Pytasz się o moje spotkania z muzyką
malarstwa, więc z chęcią opowiem,
jak miłość ukazana w obrazach olśniewa,
urzeka, wręcz porywa artystycznym ujęciem,
przez genialnych twórców...*

W całym tomiku spotykamy utwory z niecodzienną paletą barw i emocji, opowiadające o miłości połączonej z cielesnością i doznaniem przynoszącymi harmonię i spełnienie. To pragnienie i przyciąganie, rozstanie, łzy i dotyk wypełniony płatkami róż; spojrzenie odległe, nieoczywiste, wyjęte z ram czasu:

*Uczucia wplecione w wersy
dźwięczą frazami westchnień.
Wędrując niczym Orion
po całunie twego ciała,
by zasnąć w błogiej ciszy,
na twym drżącym łonie...*

W wyobraźni twórczej Mirosława Iwańczyka miłość objawia się w starożytnym ogrodzie, pałacu i lesie, zagubionym gdzieś w otchłani dziejów, który żyje jedynie w pamięci pokoleń. Zakochani przebywają ze sobą sam na sam, widząc i czując świat w osobie kochanka. Jest to więc swego rodzaju miłość idealna, wieczna, nosząca atrybuty boskości; jest wiarą w piękno z niezmiennie aktualnym przesłaniem, miłość, która ośwładnęła swoim czasem przyrodę, otoczenie i upływający czas.

W książce nie brakuje też subtelnych opisów zalet ciała wybranki. Całe piękno zmysłowe ukochanej zawarte w słowach poety staje się za-

trzymanym momentem wiecznej młodości, wpisanej w ludzkie ideały:

*... i znów w myślach widzisz
swoją boginię,
jak wychodzi z alkowy,
piękna, promienna,
cała w negliżu [...]
 ... całujesz ramiona, szyję
i piersi, twe usta suną
wzdłuż jej smukłych ud,
wokół alabastrowych, pełnych
bioder, na których wargami
odciskasz akwafortę rozkoszy...*

Autor zawieszony między jawą i snem, kreuje świat bohaterów o uniwersalnych pragnieniach i tragicznych losach. Mimo to, udaje mu się stworzyć świat nasycony barwami, dźwiękami i zapachami, świat stanowiący emanację idealnego piękna, będącego źródłem zachwyty dla artystów, ostoję ładu, świeżości i niewinności.

Dopełnieniem wielości refleksji są idee będące wyrazem fascynacji poety światem orientu, zagadką odległych miejsc, ginących w czasie i przestrzeni, owianych ciszą, lecz podsycanych gorącym rytmem serca.

Miłość w utworach Mirosława Iwańczyka umieszczona została w rozległej perspektywie rzeczywistości spełnionej, wymarzonej lub jedynie tylko takiej, która istnieje jako odwieczny ideał.

Książka „Oblicza miłości” jest oryginalnym i cennym wkładem intelektualnym nie tylko do literatury pięknej, ale też do piśmiennictwa ważnego ze względów historycznych i kulturowych. ponadto pozwala uwierzyć, że ocaleje w człowieku to jedno: pragnienie miłości, które pozwoli uczynić świat lepszym i piękniejszym.

Aneta Śliwińska



Mirosław L. Iwańczyk,
„Oblicza miłości
- utwory wierszem i prozą”,
POLIANNA,
Krasnystaw-Lublin 2023,
ss. 204.

Lucjan Cimek

Norwid – nieszczęśliwy wielbiciel, prekursor nowoczesności



Cyprian Kamil Norwid urodził się w roku 1821, pierwsze utwory zaczął ogłaszać w roku 1840, a w roku 1842 udał się na studia malarstwa i rzeźby za granicę, skąd już nigdy do kraju nie wrócił. Studiował początkowo w Monachium, potem we Florencji, gdzie w roku 1845 zakochał się nieszczęśliwie w głośniejszej kosmopolitycznej heterze, Marii Kalergis, oczywiście bez wzajemności. Odtąd przez kilka lat wólczył się za nią jak cień za księżycem, ażeby wreszcie w roku 1849 osiąść w Paryżu, wciąż marząc, łudząc się i cierpiąc z powodu tej beznadziejnie nierealnej miłości. Wprawdzie w późniejszych latach oświadczył się jeszcze Marii Trębickiej, Zofii Węgierskiej i Marii Sadowskiej, ale były to tylko rozpaczliwe gesty, usiłujące złudnym pozorem zastąpić okrutną rzeczywistość. Jediną w życiu miłością Cypriana K. Norwida pozostała „kochanka pierwszych jego dni”. Obiekty późniejszych jego oświadczeń doskonale to wy-czuwały swą niezawodną w takich wypadkach intuicją i odmawiały wiązania swego losu z losem C.K. Norwida. A los ten z biegiem lat stawał się coraz bardziej tragiczny.

Podwójnie tragiczny. Przez kontrast nadziei Norwida w stosunku do tego, co mu przyniosło życie. Im bardziej Maria Kalergis była wobec niego obojętna, tym więcej stawała się jedyną obsesją jego serca. Im bardziej jego twórczość literacka i plastyczna była obojętna ówczesnej publiczności na emigracji i w kraju, tym więcej stawała się jedyną pasją jego życia.

Ten nieszczęśliwy splot, prawdziwy węzeł gordyjski zawikłań sercowych, literackich i życiowych sprawił, że w grudniu roku 1852 autor usiłował uciec „od tego wszystkiego” to znaczy od siebie i Europy, „na kraj świata”, czyli w całkowicie mu obce dotąd środowisko – do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, skąd po półtorarocznym pobycie wrócił przez Londyn (gdzie zatrzymał się na kilka miesięcy) do Paryża. Nawet ten swisty gest protestu Norwida także jest prekursorski

w stosunku do podobnych w motywacji ucieczek na kraje ówczesnej cywilizacji europejskiej: Rimbauda do Abisynii, a Gauguina na wyspy Oceanii.



Cyprian Kamil Norwid, 1861'.

W listach podaje Norwid literackie powody swojej ucieczki do Ameryki, ale w wierszach mówi o jej powodach sercowych. Warto przytoczyć tu strofę, w której jak pod szkłem powiększającym, rysuje się cały subtelny i zarazem złożony mechanizm jego olśniewającego wynalazczością artysty, karmionego wieloraką treścią życiową, przetopioną, że tak powiem, w tyglu natchnienia do niepoznaki, to znaczy w formę doskonale zobiektywizowaną:

*Nie bluźń, zem zranił Cię, lub jeszcze ranę,
Bom Ci ustąpił na mil sześć tysięcy;
I pochowałem łzy me w Oceanie,
Na perłę więcej!...*

To o Marii Kalergis mowa. Przestał się jej naprzykrzać swoją obecnością, ustąpił jej „na mil sześć tysięcy”, to znaczy na odległość Oceanu At-

¹ Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Cyprian_Kamil_Norwid#/media/Plik:Norwid1861.jpg.

lantyckiego, i „pochował łyzy swoje w Oceanie na pereł więcej” – na jej szyję. Każdy nieszczęśliwy wielbiciel to oczywiście tryumfalne trofeum pięknej kobiety, jego łyzy to najpiękniejsze perełki wśród jej klejnotów – co za subtelna ironia w tej prostej przenośni Norwida. Tak nie pisano dotychczas wierszy miłosnych. Norwid dał tutaj nowy typ wiersza erotycznego, w którym łyzy to już nie krople wody płynące z oczu zawiedzionych kochanków, ale zobiektywizowane elementy artystyczne, wyrażające ironię i osąd przedmiotu codziennej adoracji. Norwid nie wstydzi się też, wiele o nich mówi, ale zawsze grają one w jego wierszach rolę elementów konstrukcji artystycznej:

*Cyprysy mówią, że to dla Juliety,
Że dla Romea ta łyza znad planety
Spada – i w groby przecieka;*

*A ludzie mówią, i mówią uczenie,
Że to nie łyzy są, ale że kamienie,
I – że nikt na nie nie czeka!*

Tuż przed wyjazdem do Ameryki Norwid, aby zarobić na życie, był zmuszony pracować jako robotnik w jednej z fabryk na Montmartrze, a potem jako drwal w lasach Fontainebleau pod Paryżem. W Nowym Jorku też zresztą pracował jako robotnik. A przecież był już autorem kilkudziesięciu wspaniałych liryków, trzech nowatorskich utworów dramatycznych „Wanda”, „Krakus” i „Zwolon” oraz poematu dyskursywno-filozoficznego, pt. „Promethidion”, przynoszącego nowe idee uprządkowania sztuki i – że tak powiem – uartystycznienia pracy. Ale nikt tego nie czytał. Dlaczego?

Idee, które w nich głosił, i formy, w jakich je wypowiadał, były przedwczesne. Był prekursorem i dzielił los wszystkich prekursorów. Nie został spalony na stosie tylko dlatego, że już wtedy tego nie praktykowano. Ale stosowano stokroć gorszą torturę: przemilczenie, wyobcowanie, skazanie na zapomnienie. Norwid wiedział o tym. Pisał w jednym z listów w roku 1861: „Sprawiedliwość każe mi to przyznać, mnie, który dzisiejszej Polski obywatel nie jestem, tylko trochę przeszłej i dużo przyszłej”.

Złożyły się jeszcze na to niezrozumienie Norwida, prócz przedwczesności jego dzieł,

także inne przyczyny. Adam Mickiewicz przybył na emigrację jako już głośny w kraju i na całym wschodzie Europy autor „Grażyny”, „Konrada Wallenroda”, „Sonetów krymskich” i przede wszystkim trzeciej części „Dziadów”, jako bard nieszczęśliwej ojczyzny i męczennik sprawy narodowej. Juliusz Słowacki jako autor hymnów powstańczych. A Norwid? Jako nieznany nikomu, zapamiętały i trochę przez to śmieszny adorator salonowej kocicy. W której zakochał się, jak przysłowiowy diabeł w starej wierzbie! I to w czasie, kiedy sława tamtych już rozbrzmiewała w całej pełni i każde nowe nazwisko w blasku ich sławy musiało niknąć niespostrzeżone, jak kamfora.

Cyprian Kamil Norwid na swym nieszczęściu skorzystał tylko w ten sposób, że miłość, która go tak fatalnie doświadczyła, awansował do zasadniczego składnika swego kanonu estetycznego i podstawowego czynnika swej filozofii życiowej: „Kształtem miłości piękno jest i tyle”. A „piękno na to jest, by zachwycało do pracy – praca, by się zmartwychwstało”. – Z marazmu osobistego, społecznego, narodowego i politycznego, a naczelnym zadaniem poezji jest budzenie inicjatywy i ocena wartości społecznych narodu.

Świadomość tej prawdy nosił w sobie C.K. Norwid przez całe swoje życie, aż do śmierci w 1883 roku.

Lucjan Cimek

Bibliografia

1. P. Chlebowski, W. Toruń (red), *Liryka Cypriana Norwida*, Lublin 2003, ss. 57-58.
2. A. Kadyjewska, T. Korpysz, J. Puzynina, *Chrześcijaństwo w pismach Cypriana Norwida*, Warszawa 2000, ss. 15, 191-192.
3. A. Merdas RSCJ, *Łuk przymierza. Biblia w poezji Norwida*, Lublin 1983, s. 107.
4. M. Piechal, *Najbardziej współczesny, czyli Norwid*, [w:] „Żywe źródła”, Warszawa 1985, ss. 36-76.
5. J. Przyboś, *Próba Norwida*, [w:] J. Gomulicki, J. Z. Jakubowski, „Nowe studia o Norwidzie”, Warszawa 1961, s. 75.
6. ks. W. Wilk, *Cyprian Kamil Norwid o modlitwie*, [w:] „Życie duchowe”, Kraków, nr 68/2011, s. 161-168.

Lucjan Cimek**Rozmyślania Norwida**

Słuchał szumu, morskiego szumu,
wzrokiem płynął po oceanie w niebo.
Myślał sobie: dziś trochę rozumiem
mowę Oceanu Atlantyckiego.

Już zamilkła, już do snu się kładzie,
zmierschająca, słoneczna świetlistość,
a on stał: widząc nad pokładem,
niebo błękitne tak nisko.

Idzie wieczór, gęste niesie mroki,
szum fal, szum morza słychać,
gwiazdy złote na niebo wysokie
Bóg jak perły tęczkowe sypie.

Patrzył długo, patrzył jeszcze, jeszcze:
tam jest niebo, tu ziemia i szumy.
Myślał sobie: zapatrzę się wiecznie,
bo nie mogę Boga zrozumieć.

Dwiema dłońmi tulił cichą łzę,
co mu zbiegła po twarzy na palce.
Jakąż, Boże trzeba wolę mieć,
by tak o Marię Kalergis walczyć?

Trud daremny. Na mil sześć tysięcy
oddzieliła ich otchłań i toń i odmęty.
Jakże on bez niej żyć będzie w kraju
obcym, w masę niewolniczą wciśnięty...

I tam, dniem i nocą, myślał stale:
jak jej zdobyć perłowe korale!

Edward Franciszek Cimek**Reszta życia (wybór z dziennika)****Rok 1987****(styczeń)**

Trochę czytam, nieco piszę, siedzę zadumany. Czas i myśli zatopiłem w głębi poetyki. Bo jeśli pisać, to drapieżnie, gorąco, odważnie i czysto jakby blask słońca ze słów tryskał wokół. Niech wiersze wybuchają źródlanym płomieniem, rozsypują się po ludzkich sercach, szamoczą myślami jak wicher drzewiną, wdzierają się do sumienia, do szlachetnej wrażliwości...

2 stycznia. W „Tygodniku Chełmskim” krytyczny artykuł Henryka Radeja. Znowu jest mi nieprzychylny, jak za czasów „Słowa”.

Nie przyjęto mojej dymisji przewodniczącego PRON [Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego]. Odwiedził mnie pracownik Rady Wojewódzkiej PRON. Długo przy herbacie. Zaprosił na naradę działaczy do Zamościa.

13 stycznia, dokuczliwy mróz. Pojechałem do Krasnegostawu. Autorskie spotkanie z młodzieżą w internacie „ogólniaka”. Trochę mówił Henio Cichosz, potem sam czytałem wiersze. Głodny i zziębnięty wróciłem do domu. Tu mnie zastał list od Jurka Utnika. Życzliwie napisał o „Żywicy”.

W „Tygodniku Zamojskim” pamflet na mnie jako autora tomiku „Żywica”. „Wyżył się” Jan Henryk Cichosz na moich utworach.

W pawilonie handlowym tłum ludzi za chlebem. Zbliża się południe. Dzwonię do piekarni. Mają świeżutkie pieczywo, transportu brakuje. A tu środa i targowy dzień. Ludzie z wiosek biegają za chlebem.

30 stycznia, plenum KG [Komitetu Gminnego] partii. A jednak wystąpiłem, zarzuciłem niezręczność, wygodnictwo i brak odpowiedzialności. Jedni byli zaskoczeni, inni darzyli uznaniem.

W gazetach pełno moich kolegów. Wiersze i wywiady.

(luty)

Odbyliśmy zjazd gminny PRON-u. Mnie obrano znów przewodniczącym. Oklaskami i akklamacją. Zostałem z grupą działaczy na obiad. A ze szkoły zła wiadomość: wstrzymano „trzynastkę”. Brak wytycznych z kuratorium, co do jej wypłaty. Z „Zielonego Sztandaru” honorarium za wiersz. Dwieście osiemdziesiąt złotych. Dużo. Załatwiłem w Urzędzie Gminy miejscowe sprawy PRON-owskie. Pan naczelnik znowu mnie okłamał. Choć działałem skutecznie. „Stopa nam rośnie, aż jej palce widać” prześmiewał ongiś nasz „dobrobyt” mój wspaniały nauczyciel. Bo ceny rosły, zatrzaża inflacja, wciąż czegoś brakuje, to się rozłazi, tamto się psuje. Nikt się już z nikim nie liczy.

19 lutego, dzięki moim staraniom przyjechali do Izby projektanci pomnika wdzięczności. Byłem uczestnikiem nasiadówki w gminnym LZS. Przyszło kilku starszych sportowych działaczy, gromadka młodzików. Nie stawił się jeno miejscowy Zarząd Gminny. I co tu mówić o sporcie, o jego wynikach.

Za oknem szaro, w sercu cień. Czytam książkę i gazety. Jedni lamentują nad szkołą, drudzy nad kulturą. A oto próbki wypowiedzi: „Artyści zamknęli oczy i malują swoje obrazki. Stulili uszy i rąbią w fortepiany. Zaszylili się w kąciku i piszą bełkotliwe wierszyki”. Albo „...wlaż na gruszkę, trząś pietruszkę, a cebula leciała. Przyszedł właściciel tego banana i mówi: złaż pan z mego kasztana”. Czuję się jak więzień czasu. Brak mi świeżego oddechu. Gdzieś pojechać, z kimś się spotkać, poznać ciekawy świat, nowe sprawy...

Przerażające skoki cen. Ostatnie zebranie Rady Wojewódzkiej PRON przed zjazdem. Przedłożono materiały na zamojski zjazd. Z „Gościa Niedzielnego” zwrócono mi wiersze. Napisano, że mają nadmiar tekstów. Odwiedził mnie instruktor Wojewódzkiej Rady PRON. Prosił o zabranie głosu na najbliższym zjeździe.

7 lutego, ranek pełen zajęć. A potem lekcje w liceum. Propedeutyka nauki o społeczeństwie w obu maturalnych klasach. Mile mnie przyjęto, sprawnie przeszły lekcje. Trafiłem także na imieniny profesorki Mirosławy.

Zaśnieżony dzień, smutno dookoła. Wysłałem bratu Romkowi imieninowe serdeczności. Zakwalizowałem gablotę PRON przed Urzędem Gminy.

Rozesłałem wnioski Ruchu do miejscowych władz. I zacząłem odświeżać sprawy bloku mieszkalnego, którego budowa utknęła. A tak niewiele pozostało do jego ukończenia. I na mieszkania ludzie czekają. Więc telefon do inwestora. Umówiłem się z wojewodą na najbliższy poniedziałek. Ustaliliśmy delegację.

(marzec)

2 marca, umówiłem z naczelnikiem gminy wyjazd do Zamościa w sprawie pozyskania bloku. Trudna sprawa, ciężko będzie. To znowu spotkanie w sprawie płyty pamiątkowej dla wsi Wirkowice.

Popielcowa Środa w gabinecie wojewody. Wstrzymaliśmy sprzedaż bloku kolejarzom. Moją koncepcję poparł wicewojewoda i dyrektor wydziału. Wygraliśmy sprawę. 7 marca zasypano śniegiem drzewa, drogi, pola... Zebranie w sprawie pomnika wdzięczności nie doszło do skutku, plastycy nie przybyli. 12 marca ważne spotkanie z projektantem pomnika. Ustalono koncepcję i miejsce obiektu.

I oto poczułem się wspaniale. Wiatr powiewa wiosną. Pracuje mi się w liceum znakomicie. Wprawdzie brak książek, ale radzimy sobie. Młodzież bardzo lubi ciekawostki.

18 marca, Zjazd Wojewódzki PRON w Zamościu. Byłem delegatem. Po otwarciu zarządzono przerwę, bo Jerzy Ozdowski śmigłowcem jeszcze nie doleciał. Potem mowa-trawa wojewódzkich prominentów. Z wolna zaczęło się przeredzać. Mnie głosu nie udzielono. Po zjeździe urzędnik poprosił mnie o tekst mojego wystąpienia. Wybrano jeszcze delegatów na warszawski kongres przy opustoszałej sali. Żenująca farsa. „Sztandar Ludu” wydrukował, że na zjeździe PRON w Zamościu uchwalono apel do mieszkańców Zamojszczyzny o uczczenie rocznic walk, wysiedleń oraz narodowych świąt. A to wszystko bzdura. Nikt niczego nie uchwalał.

(kwiecień)

6 kwietnia, przesiedziałem kilka godzin w za-dymionej sali. Sesja GRN. Właśnie przekonałem rajców do pewnej uchwały, której początkowo nie chciało uchwalić. Mój społeczny sukces, choć radnym nie jestem. Piszę pracę konkursową: „Czego oczekuję od pielgrzymki Papieża do Polski?”.

Odwiedził mnie pierwszy sekretarz gminnego komitetu partii. Oferował pracę za pięć tysięcy złotych. A w żadnym wypadku! Byłem na zebraniu szkolnej POP. Nawet połowa członków się nie zeszła. Widać wszyscy mają serdecznie partię gdzieś. Zawiadomień na zebraniu PRON-u urzędnicy nie wysłali. Więc dobrze, bo czuję się fatalnie. Do „Za i przeciw” wysłałem pracę konkursową.

Jedną trzecią emerytury pochłonęły wpłaty i opłaty pocztowe. A tu znowu wszystko podróżowało: papierosy o 23 procent, chleb zwykły o 14, a najgorsze masło o 25. Zaś oficjalnie ogłoszono, że podwyżka wyniosła 9,6 procent. I znowu nasiadówki. Zebranie w GS-ie. Lustrator wymruczał sprawozdanie, że uczestnicy niewiele słyszeli. A prowadzący wciąż się gubił w... prowadzeniu.

15 kwietnia, Gminny Dzień Pamięci Narodowej. Z harcerzami do Orłowa, potem do Kryniczek. Przy pomnikach warty dzieci, znicze i wspomnienia. A w krynickiej szkole sejmik opiekunów miejsc pamięci narodowej. Ciekawie mówiono, śpiewano piosenki, było ciasto i herbata.

Z rana w „Herbapolu” w obronie pracownika Oddziału w Izbicy. Jest w niełasce u kierownika. I znowu posiedzenie w sprawie budowy przychodni gminnej, apteki, zaplecza. Ciężko będzie, ale trzeba...

Wielkopiątkowy dzień przemyśleń, postu i skupienia. W kościele Droga Krzyżowa, adoracja Krzyża i Grobu Chrystusa, nad którym ogromny brzozywy krzyż z czerwonym płatem jedwabiu na ramionach.

22 kwietnia, wezwanie do sekretarza KG, żeby mu napisać pierwszomajowe przemówienie. Lecz tym razem odmówiłem. Lubelski oddział ZLP [Związku Literatów Polskich] zaprosił na spotkanie Klubu. A Klub im. Czechowicza poprosił o personalia. Zatem coś się dzieć zaczyna.

28 kwietnia wieczorem Jan Henryk Cichosz niespodziewanie mnie odwiedził. I przyjechał szwagier Staś. Po chwili [Stasiowi] rower ktoś ukraść spod ściany.

(maj)

1 maja. Czysto i odświętnie. W tarnogórskim parku wiec. Stałem wśród prominentów. Zagrała orkiestra. Ruszył pochód do Izbicy. Tu znowu na trybunie. Powróciłem ze święta o zachodzie słońca...

Tak cudownie za oknami, a ja piszę listy, pisma. Do Longina [Okonia] na Sławinku. W sprawie pracownika do lubelskiego „Herbapolu”, którego szkanuje dyrektor Oddziału w Izbicy. Piszę rozpoczęty esej. Czytam „Myśli” Monteskiusza. („Jestem obywatelem, gdy działam, jestem człowiekiem, gdy piszę”).

Strzyżenie włosów znowu podróżowało. Tym razem o dwadzieścia złotych. Ale w Krasnymstawie aż dwukrotnie więcej.

Chełmski Dom Kultury. Miła kawiarenka. Świece. Grono zasłuchanych dziewcząt. Dzwonią nuty wierszy. Otrzymałem kwiaty. A za oknami błękit nieba, srebrny blask promieni i odgłosy ulicy. Piękny wieczór, księżyc w pełni.

17 maja, parafialne święto odpustowe. Kościół pełen wiernych. Dźwięczą organy, gra orkiestra. Chór śpiewa uroczystie. Wspaniała homilia: „A gdy nas będą prześladować, weźmiemy się pod ramiona, murem staniemy wokół ołtarza i wiarę obronimy”. Wielki dzień przeżyłem.

List od Gienka Szulborskiego oraz z klubu ZLP [Związku Literatów Polskich]. Więc co rychlej do Lublina na spotkanie z poetą Aleksandrem Nawrockim. Ciepło przyjął mój dyskusyjny głos. W „Za i przeciw” moja odpowiedź na ankietę „Przed trzecią pielgrzymką Papieża do Ojczyzny”. I któż go więcej w Izbicy przeczyta?

Uzbierało się nas na zebraniu PRON-u kilkanaście osób. Przybył też delegat na II Kongres Ruchu. O, ciekawie porozmawialiśmy sobie.

25 maja, znalazłem się w Chełmie. W bazylice Matki Bożej na Górcie. A potem do Wojewódzkiego Domu Kultury na rozstrzygnięcie konkursu poetyckiego „Jemiola” o tematyce „Matka”. Zdobyłem drugą nagrodę, dyplom i pięć tysięcy złotych. Dużo. Wyżej ode mnie znalazł się młody poeta ze wsi, mało dotąd znany Leszek Duchnicki z Rudy Opalin.

Wysłałem dziś wiersze na zamojski konkurs. Ale chyba nici z tego, bo ten czarny kotek... Chociaż wczoraj przeszedł mi drogę mężczyzna z pełnymi wiadrami wody i... przez cały dzień i wieczór tylko same smutki. W odchudzaniu moim już wyraźny postęp. Pięć kilogramów mi ubyło w ciągu dwóch tygodni. Odebrałem swój wkład w kasie pożyczkowej, póki go nie zżarła łakoma inflacja. Uzbierało się tego ponad tysiąc złotych. Cóż dziś one warte? Oto jaki los zgotowała nam przewodniczka partia. Zmarnowałem w jej objęciach najpiękniejsze

lata. Ale i myśmy zawinili swoją niefrasobliwością. Przecież od dawna zło każdy dostrzegał wprost na własnej dłoni.

(czerwiec)

Rozkręcamy sprawę pomnika wdzięczności w Wirkowicach, Mało mamy sprzymierzeńców. W „Tygodniku Chełmskim” znowu Henryk Radej. Nadal sprzecza się ze mną w sprawie Marii Kopnickiej. On obsesyjnie mnie nie lubi. I maltretuje bałamutnie poetycką twórczość o wsi. Że uboga, że siermiężna.

8 czerwca, Ojciec święty w Polsce. Po południu do Lublina. Zatłoczony pociąg. To pielgrzymi dążą na spotkanie z Ojcem świętym. Lublin. Dworzec PKP. Błękitną informację: Droga pielgrzymek. Uzbrojony patrol wojska, czerwone berety. Dużo milicjantów. Ulicami nic nie jedzie. A w oknach domów Matka Boża i wizerunki papieża. Dotarłem do Władzi i Jurka Utników na lubelskich Bronowicach. Gościnnie mnie przyjęto. Długa, szczerza rozmowa, chociaż Jerzy – jak zwykle – bardzo przekorny, podejrzliwy.

9 czerwca obiad u gospodarzy i na Czuby, gdzie się odbędzie spotkanie. Nieprzejrzane tłumy ludzi. A nad nimi ołtarz. Przeogromny krzyż i biała tarcza hostii jak komunijne słońce. Wokół ład i porządek. Czerwonokrzyskie punkty sanitarne z pielęgniarkami i lekarzami. I transparenty „Solidarności”. Uroczysta Eucharystia, święcenia kapłańskie. Wspaniałe kazanie Białego Pielgrzyma. W sercu radość. To był wielki dzień! Aż rozszalała się ulewa. Lecz ja szczęśliwie wróciłem do domu, jak wszyscy zapewne. Nie mogę zapomnieć słów konduktora zasłyszanych w pociągu: „Jeszcze mocniej się pchajcie, papież dał wam rozgrzeszenie”.

25 czerwca, gotowię się do drogi, już w poniedziałek wyjazd do Krakowa. Nawet niezbyt utrudzony wysiadłem w Krakowie. Tu spotkałem poetkę z Zamościa i grafika z Tomaszowa Lubelskiego. Kwatery nam dano na krakowskich Błoniach. Kiedyś tu szkolono milicyjno-polityczne kadry. Zamieszkałem z trzema poetami: Poldkiem Nosalskim, Mieciem Czajkowskim i Gienkiem Szulborskim. No, paczka dobrana. Wybrałem się przed zmierzchem na samotny spacer. Lubię zadumę w samotności i lot na skrzydłach wyobraźni.

(lipiec)

3 lipca, po śniadaniu warsztaty w „piekle”. Proza, dramat dolnośląskich pań. Dużo mięszu, wiotki patos. I spotkanie z profesorem Jagiellonii Stępnem, który w słownych meandrach szczerocią nie grzeszył. Trącił tylko temat polityki literackiej. A zasiada w centralnych gremiach partii. Przed wieczorem na dworzec, na drogę męki kolejowej. Noc przekoczywałem na korytarzu wagonu, choć wykupiłem bilet pierwszą klasą. Kto by się tam pasażerem przejmował. Rankiem znalazłem się w domu. Drzemka, toaleta i z Bogunią na wesele do Puław.

5 lipca, wieczorem do Krakowa. A potem codzienne słuchanie wierszy, prozy i dramatu. Spotkanie z poetą Józefem Baranem. Dużo krytyki, trochę przekory. Mocno go bronił docent Jacek Kajtoch. Sam autor znamienne się wyraził: „Mam już dość Mickiewiczów, chodzi mi o popularność”.

8 lipca, południowy skwar. Są moi ukochani – Elżunia z Kasią i Zbyszek. Szybko ich rozgościłem i razem na Wawel. Wieczorem spotkanie z twórczością Feliksa Rajczaka, zmarłego poety z Sieradza. Tyle wspólnych dni i wspomnień zostało po Felku.

10 lipca, zwiedziłem Muzeum Lenina na krakowskim Zwierzyńcu. Bogato tu i pusto. Tylko kustoszka i ja. Moc reprintów gazet i broszur. Żadnych autentyków. U fryzjera podstrzyżyny za sto siedemdziesiąt złotych. Można za to kupić trzy bochenki chleba.

24 lipca, po południu [przez Izbicę] szosą pomknęli kolarze. Barwne grupki chłopców na lśniących rowerach w Wyścigu Dookoła Polski.

Dzięki życzliwej pani Teresie z kiosku „Ruchu” dostaję niedostępne katolickie pisma.

W PRON-ie też wkradła się biurokracja. Żądają w biurze wojewódzkim planów i sprawozdań, i... można nic nie robić.

A oto nazwy zespołów rockowych, które występują na festiwalu w Jarocinie: Cela nr 3, Defekt mózgu, De Vodka, Brzytwa ojca... Przydałby się zespół: Opamiętanie.

(sierpień)

10 sierpnia, u prokuratora w sprawie B[...]. Zarzucono mu kradzież. Kiedyś się wyraził, że: „za-biłby (mnie!) pierwszego, gdyby tylko coś”. Podpisa-

łem poręczenie za tego człowieka. Prokurator obiecał warunkową dlań wolność.

Skończyłem lekturę „Uśmiechudzieciństwa”. Oto, co wyczytałem u Marii Dąbrowskiej: „Bo słowo artystyczne musi mieć rytm i melodię jak muzyka, mienić się barwami jak malowidło, być wypukłe i kształtne jak rzeźba, a nadto musi posiadać treść pojęciową w wyższym stopniu niż wszystkie inne sztuki”. O zachodzie słońca udałem się na spacer. Dał złościła się, krwawiła na smętnych przestrzeniach w ciepkiej woni ziemi i powietrza. Przemijanie też ma swoje piękno.

U Wielkiego Brata „pierestrojka” [przebudowa] i „głastność” „[jawność]. Chyba czas absurdów minie. A u nas..., owszem, można krytykować, ale z tego nic nie wynika.

30 sierpnia, wiejska kaplica przy drodze [w Piaskach Szlacheckich]. Dawny domek wyrobnika. Na wieżyczce dzwon z serduszkim. Wnętrze pełne prostoty. Tabernakulum z kasety na pieniądże. Okrywa je barwny baldachim. W lipowej, rzeźbionej ramie Jasnogórska Pani. A nad ołtarzem ogromny, rzeźbiony w lipie krzyż z Panem Jezusem. Rozpięty na krzyżu Chrystus krwawi licznymi zabarwieniami naturalnymi pnia drzewa.

(wrzesień)

Przypadkowe spotkanie z Henrykiem Cichoszem. „Słowo” już się rozleciało.

Już piętnaście lat czekamy na mieszkanie w spółdzielni krasnostawskiej. A prawo zmienia się pokrętnie. Czytam „Ziemie Urbo”. Autor [Czesław Miłosz] ciekawie napisał: „...równość jest fikcją, nierówność powszechnym prawem...”.

21 września, propozycja pracy na zastępstwie w szkole. Skwapliwie ją przyjąłem. Dano mi dwoje praktykantów z uniwersytetu. Na wieść o mojej pracy radość domowników.

28 września, z rana kilka lekcji, potem do Lublina. W klubie na Granicznej dowiedziałem się, że mój nowy tomik wyjdzie tej jesieni. Wystąpienie poety z Poznania, Marka Zagaińskiego. Nonszalancki, uduchowiony śpiewał swoje wiersze, brzdąkając na gitarze. W jego słowach same komunały.

Hospituję lekcje. I telefon z urzędu gminnego. Przywieziono projekt pomnika wdzięczności. Mnie przypadł do gustu.

(październik)

Nasiadówka w Radzie Wojewódzkiej PRON. Też zabrałem głos. Jest to jednak rzucanie grochem o ścianę. Znów zdrożały dziś bilety o trzydzieści procent. W telewizji Jerzy Urban znowu kasa „Solidarność”. Że kompani Wałęsy to przyszli terroryści.

18 października, już wczesnym rankiem w Chełmie. W domu kultury chełmskiej cementowni garstka twórców [ludowych] na zebraniu. Czeka nas niebawem przegląd dorobku artystycznego na międzwojewódzkiej imprezie [w Świdniku].

24 października, pracująca sobota. Cztery lekcje z historii. I ćwiczenia Obrony Cywilnej w gminie. Bigos i herbata, i gawęda z pułkownikiem, i tyk trunku z naczelnikiem.

Zebranie w Radzie Wojewódzkiej PRON. Wystąpiłem, przemówiłem w sprawie moralnych zagrożeń dzieci i młodzieży i niefrasobliwych poczynań w tej dziedzinie mediów i decydentów. Otrzymałem liczne brawa i gratulacje od... wielu nieznanym osobom. Wielu przyjaciół w rozmowach wyznaje, że władzom już nie wierzy, a działają jedynie z rozpędu.

W „Kamienie” list Henryka Radeja, czyli pamflet na mnie.

(listopad)

3 listopada nyską do Warszawy z działaczami PRON. Gmach Pałacu Kultury i Nauki. W sali kinowej pełno ludzi z [całej] Polski. A przy zielonym suknie stołu ustawionego na scenie paru drugorzędnych panów z pronowskiej elity. Mówili, głądzili o reformie gospodarczej kraju. I królewski obiad w „Kongresowej” przy marmurowej fontannie. W powrotnej drodze popas w Garwolinie.

W redakcji „Tygodnika Zamojskiego” ze szkicem o poecie Michale Kossowskim. Mieszkał i pracował długi czas w Izbicy. Obiecano rychły druk. Garnizonowy Klub Oficera. Wojewódzkie zgromadzenie przed krajowym referendum. Referaty, pouczenia, bigos z wodą mineralną i... do roboty w terenie. Dziś mnie dotknęło słowo „komunista”, choć komunistą już nie jestem. Tkwię jeszcze z konieczności w tym czerwonym bagnie i ciągle się otrząsam z błota. Nie jestem komunistą! Mam duszę chrześcijanina, a serce Polaka.

Zaproszono mnie na jubileusz Literackiej Grupy „Słowo”.

16 listopada, pociągiem do Lublina. W redakcji „Kameny” złożyłem szkic o Longinie J. Okoniu. Na sześćdziesięciolecie urodzin pisarza. Przygodne spotkanie z przyjacielem, który uczestniczył w jubileuszu „Słowa”.

Egzekutywa KG partii. Na dziesięciu członków zebrało się czterech. Złożyłem informację z działalności Rady Gminnej PRON. A już poza nasiadówką sekretarze KG pouczali, jak należy kreślić kartki referendum. Za tych, co nie przyjdą, niechaj kreślą krewni i znajomi.

Nareszcie trafiłem w sklepie kalessony. Całe lato ich szukałem. Takie mamy czasy. Szukas mydła, są skarpety. Wypatrujesz butów, a kupujesz szampon. Dziś „Tygodnik Zamojski” pomieścił mój szkic o Michale Kossowskim z Izbicy. Przypomniałem tego poetę w stulecie urodzin i trzydziestolecie śmierci. Złożyłem nawet wniosek do Urzędu Gminy, by jedną z ulic miasteczka nazwano jego imieniem. I znowu czekam na odpowiedź...

29 listopada. Pochmurnie, bezwietrznie i ciepło. Idąc na Mszę świętą, wstąpiłem do lokalu gminnego, gdzie [była] komisja z urną. Za kotarą przekreśliłem „tak” i „nie”. A więc jestem przeciw zamiarowi państwa zaciskania naszych pasów przez najbliższe lata i za głęboką demokratyzacją życia publicznego. W drodze do domu zaproszono mnie do komitetu partii. Paru aktywistów wokół sekretarza. Podano śniadanie. Wciąż dzwoni telefon. Stan zadowolenia. Wyjeżdżamy w teren. Byli w gminie dziennikarze z radia i gazety. Ostatnie meldunki z gminy. Sekretarza KG ciekawiły zachowania księży – „ideologów” – jak ich prześmiewczo nazwał. O północy znano już wyniki referendum. Głosowało prawie osiemdziesiąt procent uprawnionych. Na żadne z pytań nie odpowiedziała wymagana połowa uczestników. A więc...

30 listopada wieczorem, rzecznik rządu Jerzy Urban kłamliwie przekonywał: „Przeważająca większość głosujących poparła program realizacji radykalnych reform”. Oficjalnie zaś podano, że na 26,2 milionów uprawnionych tylko 11,6 milionów Polaków odpowiedziało „tak” na pierwsze pytanie i 12,3 milionów wyraziło się tak na pytanie następne. W procentach liczby te wyniosły 44,28 i 46,29.

(grudzień)

Jest wreszcie dokumentacja na pomnik. W trzech aptekach nie kupiłem potrzebnych leków. A wracając z Zamościa pociągiem, zmarłem niesamowicie. Zepsuła się lokomotywa w drodze. Najpierw staliśmy w polu, a potem długo wlekiśmy się, marznąc. W „Tygodniku Chełmskim” zamieszczono moją notkę o sukcesie chełmian na przeglądzie RSTK [Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury] w Świdniku. W „Za i przeciw” miniaturowy Henryka Cichosza. Wzruszające, piękne.

12 grudnia, odświeżony, w nowych butach, pociągiem do Lublina. Związek Literatów Polskich. Spotkanie z Nikosem Chadzinikolau. Miła pogawędka z gościami, z Henrykiem Makarskim. Marek Danielewicz z gratulacją za recenzję mojej „Żywicy” w „Poezji”. Ucieszyłem się tym bardzo, bo recenzentka, Ewa Radecka oceniła mnie nader pochlebnie. Herbata, paluszki. Nikos odpowiadał na wścibskie pytania. Tadeusz Cugow-Kwiatkowski czytał wiersze Greka. Zasluchanie i zaduma...

17 grudnia, w wagonie, z wolna snuła się czas. Odwiedziłem najpierw Chełm. Tu z szefem koła RSTK uzasadnialiśmy wnioski do nagród i odznak zasłużonych członków. Przed wieczorem w Lublinie. Muzeum Józefa Czechowicza. W stylowej komnacie rzędy krzesel i stół prezydialny. Obok wystawa twórczości Longina Jana Okonia. Kustosze muzeum, Józef Zięba, ciepło nas powitał. Poetka Elżbieta Cichła-Czarniawska przeczytała szkic o jubileacie autorstwa nieobecnego Waldemara Michalskiego. Gościnnie wieczór na Solnej, w kawiarence „Grotta”. Prominenci z Chełma i Lublina. Wielu literatów. Ciągnęły się toasty, prywatne rozmowy. Długo gawędziłem z samym gospodarzem, z naczelnym „Kameny”, z poetami, krytykami. Późną nocą powlokłem się do pociągu.

Przyszło zaproszenie na Przegląd Poezji Religijnej w Gliwicach, który ma się odbyć tuż po Nowym Roku. Ucieszyłem się niezmiernie.

29 grudnia, wyjazd do Zamościa. Kupiłem „Twórczość Robotników”, gdzie są dwa moje wiersze. Nabyłem też „Zamojski Kwartalnik Kulturalny”. I tu wzmianka o mnie jako „pisarzu zamojskim”. Wybieram się do Gliwic. Porządkuję wiersze.

*Wyboru dokonała Elżbieta Kmieć
W nawiasach kwadratowych objaśnienia dodane przez Elżbietę Kmieć*

Jan Henryk Cichosz



Z cyklu: „Moje lapidaria”

Witold Ilczak (1928-2024)

19 lutego od żony inż. Ilczaka otrzymałem wiadomość o Jego śmierci. Pamiętam jak w lutym 1984 roku w nieistniejącej już krasnostawskiej księgarni zakupiłem książkę inż. Witolda Ilczaka „Po drugiej stronie albu” wydaną przez Wydawnictwo Lubelskie w roku 1983. I ta książka do chwili obecnej jest zawsze w zasięgu mojego wzroku. Dlatego przed kilkoma laty namówiłem Agnieszkę Czyżewską-Jacquemet z Polskiego Radia Lublin do „zrobienia” z Nim reportażu, który wkrótce został wyemitowany na radiowej antenie. We wspomnianej książce dużo jest także o Krasnymstawie, ponieważ inż. Ilczak w tym czasie mieszkał w Krasnymstawie. Warto przypomnieć, że inż. Witold Ilczak był pierwszym pracownikiem przemysłu górniczego w powstającym Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Żałuję tylko, że z powodu choroby nie mogłem uczestniczyć w Jego ostatniej drodze.

Lekcje (nie)obecności

„Lekcje (nie)obecności” (Wyd. Ostrogi, Kraków 2023. s. 206) – to druga, w ostatnim czasie, książka prozatorska, poety i tłumacza poezji Zbigniewa Dmitrocy. Nie bez znaczenia jest zamieszczony przed wstępem autora, cytat: „Patrząc w przeszłość, człowiek widzi same klęski”, którego autorem jest Josif Brodski. A w słowie od autora Zbigniewa Dmitroca m.in. pisze: *Moim zamierzeniem było stworzenie czułych, acz niekoloryzowanych portretów ludzi, którzy z jakichś powodów zapisali się w mojej pamięci.* Te swoiste portrety ludzi, których Dmitroca znał, są pewnego rodzaju kliszami pamięci. A tych postaci w książce jest aż sto cztery, i – jak pisze autor – nie są to wszyscy, których z różnych względów chciałby upamiętnić w swoim osobistym lapidarium i dlatego ta książka ma formę otwartą.

Zbigniew Dmitroca wie, jak mało kto, że pamięć jest rzeczą ulotną i dlatego bez patosu i ironii ocala to wszystko, co widział i słyszał, doskonale wiedząc, że w zapisanej formie może to wszystko przetrwać o wiele dłużej.

Szukania

Coraz częściej w domowej bibliotece szukam książek, które mi się gdzieś zapodziały. Jednakże te niemalże szyzyfowe szukania są pewnego rodzaju odkryciami. Jednym z tych odkryć jest książka „Kamień na kamieniu” Wiesława Myśliwskiego (PIW, Warszawa 1985), która była dla mnie zupełnie innym odbiorem, jak dawniej.

Druga z „zagubionych” książek to tom wierszy Anny Kamieńskiej „Milczenie i psalmy najmniejsze” (Wyd. Literackie, Kraków 1988). Otóż w tym tomie są istotne dla mnie dwa wiersze: „Ząb” i „Wykopalisko”.

Ząb

Na całej ziemi
Została ona jedna
W domu dla starców
Ze swoim kubkiem z fajansu
Z kuferkiem
Zamkniętym jak oko sowy
W tym kuferku
Leży mleczny dziecienny ząb
Na dnie

Wykopalisko

Gliniana zabawka wykopana z grobu
Ale nie ma w nim nikogo
Widocznie dziecko porzuciło lalkę
Zmartwychwstając

A trzecia z tych dawno zakupionych i odnalezionych, to obszerny tom wierszy niedawno zmarłego poety Ernesta Brylla „Wiersze” (Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1989), z którego wybrałem te dwa wiersze bez tytułów:

Ciało moje bojące
Kości moje miękące
Dobranoc wam, dobranoc
Nie powrócę aż rano

Gdzie ja będę wędrować
Ziemią płynąć jak robak
Szukać ciemnego swego
Imienia nieznanego

Chodzimy z procesjami
Boga hurmem szukamy
A On ukrył się. Czeka
Na samotność człowieka...

Rocznica

26 marca minęło sto dwadzieścia lat od chwili urodzin pisarza Józefa Nikodema Kłosowskiego, o którym tak pięknie i rzeczowo napisała w jednym z numerów „Nestora” moja koleżanka po piórze Urszula Gierszon. Otóż tego dnia zapaliłem na grobie tego wielce zasłużonego dla Krasnegostawu i ziemi krasnostawskiej twórcy, płomyk pamięci. I dobrze też się stało, że tego dnia Muzeum Regionalne w Krasnymstawie na FB zamieściło o Nim obszerny artykuł.

Bogumiła

Był ciepły dzień 8 lutego 1975 roku, gdy pojechałem do Izbicy „odnaleźć” początkującego poetę Edwarda Cimka, który swój debiutancki wiersz „Chłonałem” zamieścił w „Zielonym Sztandarze” w październiku 1974 roku, mającego wówczas niespełna czterdzieści lat. Odnalezienie poety Cimka w Izbicy, było o tyle łatwe, gdyż pierwszy napotkany człowiek skierował mnie do sklepu z tekstyliami, w którym pracowała urocza i piękna żona poety, Bogusława Cimkowa. I to Ona przez te wszystkie lata była dla mnie tą jaśniejszą stroną wielce gościnnego domu poety Edwarda Cimka, w który wносиła tyleż uroku, co i cudownego taktu, stojąc zawsze z przemiłym uśmiechem, obok naszych poetyckich dysput.

Jest bardzo ciepła i pogodna Wielka Sobota A.D. 2024 roku. Stoję pośród licznie przybyłych żałobników na cmentarzu w Tarnogórze. Za chwilę ciało Bogusi spocznie obok Jej męża.

Dwadzieścia lat „Lubelskiej 36”

W pierwszych dniach marca za pośrednictwem Iwonki Chudoby otrzymałem zaproszenie na Jubileusz 20-lecia Chełmskiej Grupy Literackiej „Lubelska 36”, na który przez moje roztagnienie – zapisałem w moim kalendarzyku datę 27 marca zamiast 21 marca – nie pojechałem, czego z całego serca bardzo żałuję. A żałuję dlatego, że większość ludzi z tej Grupy znam osobiście i bardzo ich cenię, jak również ich poetyckie dokonania. Kochani, życzę Wam 25-lecia i 50-lecia.

Z wyborczych ulotek w Krasnymstawie

Z wyborczych ulotek (programów) wyczytałem, gdzie niemalże wszyscy (był tylko jeden małuteńki wyjątek) kandydaci mają kulturę tą niesportową. Gdyby ci kandydaci chociaż raz przeczytali wiersz Cypriana Kamila Norwida „Do Bronisława Z.”, w którym są te oto słowa: „Z rzeczy świata tego zostaną tylko dwie... Dwie tylko: poezja i dobroć... więcej nic...”.

O słowniku

„Krasnostawski słownik biograficzny 1” każdy widzi jaki jest. Mnie osobiście zabrakło w nim – być może w „Słowniku 2” te nazwiska pojawiają się – takich postaci jak: ks. Tadeusz Fedorowicz, ks. Władysław Kornilowicz i Henryk Ruszczyc, którzy przez pewien czas związani byli z Żułowem i Surhowem. O ks. Tadeuszu Fedorowiczu pisałem swego czasu w „Nestorze”. Natomiast ks. profesor Władysław Kornilowicz – współtwórca i kierownik duchowy Dzieła Lasek, przebywał w Żułowiu wraz z ewakuowanymi z Lasek dziećmi i siostrami, o czym można szerzej przeczytać w książce „Ludzie Lasek” (Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1987), w której jest także o Henryku Ruszczycu, który w latach 1945-1946 zorganizował w Surhowie dom dla inwalidów wojennych poszkodowanych na wzroku.

Ósmego maja

Niemalże co roku, ósmego maja wsiadam na rower i jadę trasą, którą pokonywał pieszo poeta Stanisław Bojarczuk wraz ze swoją pierwszą miłością, na odpust do mojej rodzinnej parafii. Tym razem nie pojechałem, ze względu na obowiązki domowe, a szkoda, bo dzień był niezwykle rowerowy...

*Ósmego maja w piękny poranek
(Mazgaj by chyba hamletyzował)
Samowtór z Zochną więc do Gorkkowa
Szłim bez kolegów i koleżanek.*

Osobiście od lat mam marzenie, aby tego dnia zorganizować pieszą lub rowerową wycieczkę spod pomnika Poety w Krasnymstawie do Gorkkowa i tam przeczytać wiersz „Wycieczka”, który jest jednym z najpiękniejszych wierszy Bojarczuka.

Jan Henryk Cichosz

Wojciech Bieluń-Targosz


Miniatury literackie

X

Argumenty za dotarciem do powiązań i związków, na których opieram życie, luzują moją hermetyczność na tyle, że z pamięci odpływają zbierane latami obrazy. Omijają przy tym wszelkie filtry, a ja brnę w to rozemocjonowanie, jak ktoś pogrążony w czymś bez pamięci. Chcę wiedzieć, co jest powodem formowania się prawdy, najpierw w sferze wyobraźni i późniejszego jej przenikania w ludzkie doświadczenie. Ludzie mówią, że prawda nie jest tym, o czym trzeba wiedzieć. Takie stwierdzenie podważa moją rzeczowość świata, kurs na wolność.

X

Nie chcę niczego zmieniać ani wracać i zaczynać od nowa jak dzieciak. Popełniałem błędy, oddalałem się od świata. Nie był retrospektywny. Zachęcał, żeby go oszukiwać. Wznosił mury, przez które trudno było się przebić. Nie tworzył więzi. Chciałem tego, czego nigdy nie poznałem, otworzyć iluzję, ale w nią nie wchodzić. Nie dać się wciągnąć, zostawić czas na cofnięcie każdej możliwości. Dzisiaj myślę kim jestem teraz. Podoba mi się koncepcja zrzucania skóry.

X

Łapię się na tym, że mogę powiedzieć wszystko, czego nie mówią inni. Przybliżyłam optykę wyboru. Każdy jej szczegół. Każde rozbicie, by nie zgasnąć w fantazjach. Niezależnie od punktu, z którego patrzę, świat wydaje się niekonkretny w swoim pędzie do przodu. A każde wyautowanie z układu przynależenia, bywa bolesne. Nie zmienię życia, jedynie z powodu, że ludzie są nieprzyjaźni. To chwilowe momenty, których efekty nie robią na mnie wrażenia. Szukam czegoś nieobliczalnego i tajemniczego. Nowych pretekstów. Co więcej, tra-

cę wszystkie uproszczenia. Wiem, co budzi moje emocje. Znam wszystkie punkty wyjścia.

X

Ileż to razy brałem na siebie odpowiedzialność za swój dystans do życia. Rozsuwałem zasłony, żeby nie utknąć w poczuciu winy. Od zawsze byłem zwolennikiem projektów porywających w przestrzeń możliwości. Modelowania nowych obrazów. Chwywania się każdej dobrej chwili. Nieustalania z góry braku ruchu. Do czynu popychała mnie wewnętrzna świadomość, tego co było przedtem. Bodźcem nie był jednorazowy wgląd w opowiadalność świata, a moja natura, ukształtowana przez ludzi, którzy mnie wychowywali.

X

Z zasady nie ufam nikomu. Buduję mur, żeby mnie ochraniał. Ale kiedy spotykam osobę, której chcę zaufać, największą trudność sprawia mi przełamanie etycznej bariery i wczesnodojrzały zachwyty. Mojej uwadze nie uchodzi sytuacja nieuchronności zmian. Myślę wtedy, to, co dobre trzeba zostawić w spokoju, żeby się sprawdziło. Nie robię tego z obowiązku, bo tak wypada. Odróżniam rzeczy, które mają znaczenie i te ze słabymi punktami. Czekam aż pojawi się dialog.

X

Czasem nie mogę powiedzieć czegoś, żeby nie uszło to uwadze innych. Żyję w nieszczerych momentach. Chodzę wytartymi ścieżkami. Szukam też innych. Te odkrywane wydają się podobne i nie wytrzymują mojego skupienia. Wzdycham do starych czasów, a mimo to, od tych nowych chcę czegoś więcej niż wyświetlania na okrągło stanu trwałości i równowagi. Może wolności, która mnie rozbudzi. To jakby brać oddech, wstrzymując jednocześnie wydech. Bariery jest czas i sposób przejścia przez ocean. Boję się tej chwili, a jednak wciąż jej pragnę.

X

Nie wierzę w uproszczony obraz rzeczywistości. Wierzę w ludzi, choć coraz mniej mam do tego powodów. Jestem zwolennikiem Litery, dla której wolność słowa, to filozofia mówienia prawdy o wszystkim. Przy czym każda niezgoda jest znakiem bogactwa ewentualności. Umierałem, a teraz żyję, bo w życiu nic nie jest pewne. W jego rozlicznych czasach tworzą się rzeczy rozmaite, pełne niespodzianek. Czytelnym staje się to, że ludzie w swoich wywodach, nie zawsze mają rację. Czuję drżenie ziemi, na której stoję i wiem jedno, to, co darzę zaufaniem, z czasem zostanie poddane próbie.

X

Od momentu, kiedy zacząłem o tym myśleć dostrzegłem, że nie potrafię się zmienić. Taka deklaracja szczerości, wydawała mi się fałszem, bo i tak nikt nie znał wszystkich szczegółów. Nie popierałem rozwiązań, które nic nie wносиły. Żyłem własnym światem i nie byłem na bieżąco. Czuję jednak, jakby coś się rozpadało, ludzie dorastali, zmieniali się, odchodzili. Ktoś ostatnio mi przypomniał, że w życiu nie mamy wielu szans. Jeśli je przegapimy, niekoniecznie się powtórzą. A prawda jest ważna, dopóki nas nie ogranicza. Dlatego definiuję nowe hipotezy i scenariusze. Nie chcę być jak inni, tylko sloganowy.

X

Obrazowanie dawnego, umacniało mnie w przekonaniu, że słowo jutro, mogłoby służyć mi za motto. To do niego przyrównuję dawne czasy. Jestem jakby w uśpieniu, jednak chwilami pojawiają się perspektywy, które niczego mi nie przypominają. W tym rozemocjonowaniu, nietaktem byłoby rujnowanie przypuszczeń. To, co mnie szczególnie irytowało, stało po przeciwnej stronie. Bezsilność i życie bez jakiegokolwiek celu. Nie znajdowałem kompromisu pomiędzy tym, co było, a tym, co jest. Brakowało fragmentów myśli, obrazów, nawet dźwięków. Zawsze tak było, kiedy gubiłem się we własnych wspomnieniach.

X

Latami modeluję przyzwyczajenia. Dzisiaj wiąże je z formułą, *to, co zwykle*. Nie jest to proste, dla odmiennego charakteru, przywykłego do idiolektu lat sześćdziesiątych. Pęd do przodu stawia nowe wyzwania. Przyzwyczajam się powoli. Przekazuję bez problemu nic nieznaczące uśmiechy. Ściskam dłonie bez znakowania zobowiązań, czy jakichkolwiek korzyści. Udaję radość albo zaskoczenie, nie rejestrując przy tym oszłomienia. Traktuję ten sposób współistnienia jako przyzwyczajenie płynące z mojego biogramu. Nie znoszę polityki, ale dręczy mnie niepewność, czy aby człowiek, który milczy, nie wydaje się mądrzejszy, utrzymując swoje myślowe automatyzmy.

X

Przepytyjesz mnie o świat, tak złożony, że trudno w nim cokolwiek zmienić. Wydarzenia, dociskają do granicy możliwości. Postrzegam to w ten sposób. Wszystko wydaje się obce, wierz mi protesty nie udowadniają niczego, utrwalają głębiej co jest. Wchodzę w pamięć, przypomina tylko o czym miałem pamiętać, tyle że szczegóły nie dają się uchwycić. Zabawne, z tych wszystkich lat zostało mi jedno słowo ROZCZAROWANIE, w którym nie wiem co zrobić z poczuciem uczestnictwa.

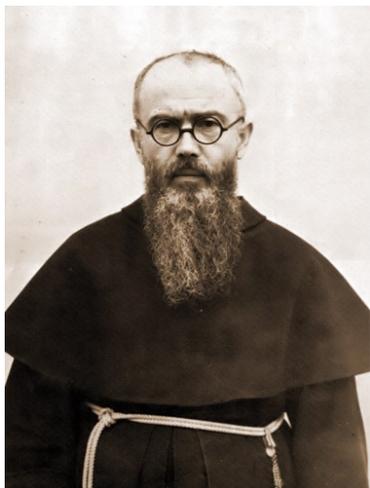
Wojciech Bieluń Targosz - rocznik 1947, zodiakalny Skorpion. W 1954 roku osiedlił się z rodzicami w Łodzi. Przerwane studia na Uniwersytecie Łódzkim zakończyły edukację. Jeszcze w liceum oddał się pasji sportu, gdzie spotkał przyszłego mentora, Jacka Berezina. Powstały wówczas pierwsze wiersze. Debiut poetycki i prozą nastąpił w kwartalniku „W Uniejowie”. Później publikacje na stronach grup poetyckich: „Okno na poezję”, „Uwolnij poezję”, „Poezja na Kazimierzu”, „Poezja Polska” oraz czasopismach „Akant”, „Wytrych”, „Ziarno” i „Nestor”. Jest autorem tomików poetyckich: „Okręty moje” (2018), „Świat jaki jest” (2019), „Generacja 47” (2020), „Wiersze z Bończy” (2021), „Parabole” (2022), „Poziomy złożoności” (2023). Od 2022 roku zrzeszony w Związku Literatów Polskich w Łodzi.

Wiesław Krajewski

Astronautyczne projekty o. Maksymiliana



Postać ojca Maksymiliana Marii Kolbego jest jedną z najbardziej znanych w XX-wiecznej historii Polski i Kościoła. Franciszkanin, misjonarz, prowadził niestrudzoną, intensywną działalność na rzecz kultu Niepokalanej. Założył czasopismo „Rycerz Niepokalanej”, zbudował największy na świecie klasztor Franciszkanów i w ogóle cały Niepokalanów, uruchomił radio katolickie. Kult Matki Bożej Niepokalanej przeniósł nawet do Japonii, gdzie w Nagasaki stworzył ośrodek wzorowany na polskim. Szeroko znana jest jego tragiczna historia w czasie II wojny światowej, gdzie będąc więźniem obozu Auschwitz oddał swoje życie za współtowarzysza niedoli skazanego na śmierć głodową. Po wielu dniach głodówki, dobity zastrzykiem z fenolu, zakończył życie w wigilię Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny 1941 roku. Beatyfikowany przez papieża Pawła VI, stał się świętym Kościoła katolickiego po kanonizacji dokonanej przez papieża Jana Pawła II 10 października 1982 roku. Jego wspomnienie przypada 14 sierpnia.



Maksymilian Maria Kolbe (1936)¹.

Znamy ojca Maksymiliana Kolbego właśnie przez jego życie i działalność, które zaowocowały później męczeństwem i świętością. W biografiiach jemu poświęconych zwraca się uwagę przede wszystkim na to. Znacznie mniej miejsca poświęca się jego zainteresowaniom pozazakonnym. O tym, że w młodości Rajmund (jego imię z chrztu) interesował się wojskowością i militariami, że myślał, by zostać żołnierzem. Był też uzdolniany matematycznie i w dziedzinie fizyki. I co bardzo ciekawe, interesował się astronomią i astronautyką. W czasach młodości, jako 24-letni student w Rzymie, opracował nawet model statku kosmicznego. A było to w roku 1918 (!). Zaledwie 15 lat po pierwszym nieśmiałym 4-sekundowym locie aeroplanu skonstruowanego przez braci Wright. Kto wtedy myślał o lotach międzyplanetarnych? A Kolbe nie tylko myślał, zaprezentował rysunki i szkice, przedstawił założenia teoretyczne takich lotów. Nie były to jednak takie obliczenia i wzory, jakie przedstawił niewiele wcześniej w swoich pracach Ciołkowski. Kolbe przedstawiał pomysł i dodawał, że na pewno w przyszłości ludzie znajdą sposób, żeby go zrealizować, zauważał trudności i ograniczenia i stwierdzał natychmiast, że na pewno ludzie będą potrafili sobie w przyszłości z tym poradzić. Niektóre z wyzwań, jak możliwość zderzenia z planetoidą, czy ograniczenia związane z długością życia człowieka, pozostają nadal aktualne.

Swoją „maszynę” do lotu w kosmos nazwał etereoplanem, dokładny opis wysłał do czasopisma „Scienza per Tutti”, a projekt statku złożył nawet do urzędu patentowego. Miał to być według niego *aparatus służący do dotarcia do innych planet, a może nawet do dalekich gwiazd*. Był w tym wizjonerem nie byle jakim. Zasadą poruszania się statku w przestrzeni kosmicznej miał być odrzut. Współczesne rakiety działają, opierając się na tym samym mechanizmie. Pisał: *Słyszając na wykładach fizyki na Uniwersytecie Gregoriańskim – 4 lub 5 lat temu – od Czcigodnego Ojca Cesare Gorattiego, że przy wystrzale, np. z armaty, istnieje pewna granica zasięgu, której, biorąc pod uwagę siłę wybuchu, pocisk nie przekracza – przyszło mi na myśl, czy ta granica jest bezwzględnie pewna i czy można by ją w jakiś sposób przekroczyć. Pomyślałem, że gdyby ten pocisk – znajdując się już na granicy zasięgu, wybuchł – i gdyby potem jego odprysk,*

¹ Źródło: https://pl.wikipedia.org/wiki/Maksymilian_Maria_Kolbe#/media/Plik:Fr.Maximilian_Kolbe_in_1936.jpg.

który już przekroczył tę granicę, ponownie wybuchł – można by mnożąc te wybuchy doprowadzić ostatnią część (człon) pocisku daleko poza określoną granicę. Pomocną mi była w tym rozmowa- niu obserwacja sztucznych ogni. Wszystko to jest oczywiste.

Ale pomyślałem, że gdyby ta ostatnia część była jakimś aparatem, który by jednak w poprzed- nych wybuchach utracił stosunkowo mało materii [i mknął] z wielką prędkością, to mnożąc wybuchy i abstrahując od ośrodka a opierając się jedynie na prawie równości siły – akcji i reakcji – można by tracąc jedną, zyskać na drugiej.

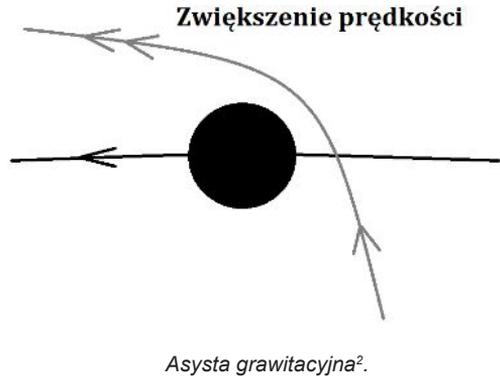
Jest to opis ni mniej, ni więcej tylko trój- stopniowej (czy nawet wielostopniowej) rakiety, jakie stosowane są dziś do wynoszenia statków na orbitę. Jeden stopień, gdy skończy się paliwo, jest odrzucany, a odpala drugi, który nadaje rakiecie dużo większą prędkość. A potem tak samo dzieje się ze stopniem następnym.



Trójstopniowa rakiet Saturn V ze statkiem Apollo.

Dalej pisał: *I tak pomyślałem o możliwości [skonstruowania] etereoplanu, to jest aparatu służącego do dotarcia poza naszą ziemię, np. do księżycy i do innych planet a może nawet do dalekich gwiazd, przyjmując za możliwy nadzwyczajny wzrost szybkości, gdy zmniejsza się siła przycią- gania ziemskiego, i posługując się jeszcze coraz bardziej przyciąganiem [planet].*

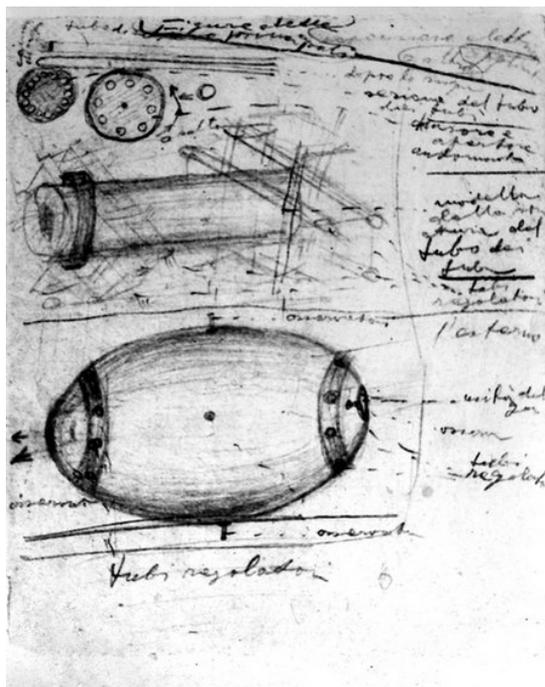
Tu mamy z kolei opis – stosowanego dziś powszechnie w dalszych lotach międzyplanetar- nych – manewru asysty grawitacyjnej. Polega on na tym, że przelatując obok planety i wykorzystując jej pole grawitacyjne, można zwiększyć prędkość statku, oszczędzając tym samym paliwo potrzebn- e do wykonania misji. Planeta będzie pociągać pojazd za sobą, ale ponieważ ma on już pewną odpowiednio dużą prędkość, więc nie spadnie na nią ani nie zacznie jej okrążać, tylko minie ją, uzy- skując zwiększenie jej prędkości. Przy okazji taki statek zmieni też tor swego lotu. Zostanie wyrzucony jak z procy na dalszą jeszcze orbitę.



Oczywiście Kolbe przewidywał, że podróży- wać etereoplanem będą ludzie, a dla komfortu lotu ko- nieczne było stworzenie pełnej klimatyzacji wewnątrz. Liczył, że postęp cywilizacyjny przyczyni się do poka- nania siły ciężenia. Pisał: *Najpierw można by przecież wysłać sam aparat zaopatrzony w odpowiednie urzą- dzenia, określając na podstawie dokładnych obliczeń wpi- erw drogę krótką, którą by mógł powrócić na zie- mię. Po powrocie należałoby przestudiować różnicę zaistniałą pomiędzy przewidzianym a rzeczywistym*

² Z. Jankowski, Podstawy kosmonautyki, PTMA Lublin 2020, s. 22.

zachowaniem się aparatu i po wyeliminowaniu niedociągnięć, należałoby wysłać go na odległość większą i ponownie przeanalizować wyniki. Gdy już aparat okaże się bezpieczny, a zwierzęta w nim umieszczone do odbicia pierwszych podróży zniosą je dobrze, wówczas będzie można bez niebezpieczeństwa dla życia zaryzykować podróż [ludzi]. Dokładnie tak samo wyglądały początki lotów kosmicznych na przełomie lat 50. i 60. XX wieku – najpierw próby z lotami bezzałogowymi, potem eksperymenty ze zwierzętami, wreszcie ludzie.



Jeden ze szkiców przedstawiających pomysł budowy statku kosmicznego, tzw. etereoplanu³.

Można powiedzieć, że opisany przez o. Maksymiliana Kolbego projekt statku kosmicznego, etereoplanu, był pomysłem genialnym. Miał on swoje luki, problemy, ale te pozostawił Kolbe do rozwiązania następnym pokoleniom. I bardzo słusznie. Stan wiedzy i techniki na początku XX wieku nie pozwalał na większe osiągnięcia. Później o. Maksymilian już nie wracał do tych swoich młodzieńczych, jakże futurystycznych pomysłów.

Poświęcił się Niepokalanej i swej drodze do męczeństwa i świętości.

Jest w bazylice Santa Casa w Loreto we Włoszech niezwykła kaplica Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, zwana kaplicą amerykańską. Malowidła na jej ścianach pędzla Giuseppe Stefanina, mają na celu ukazanie tematów związanych z ogłoszeniem przez papieża Benedykta XV w 1920 roku Najświętszej Maryi Panny Loretańskiej patronką lotnictwa i lotników. Jest to związane ze średniowieczną legendą, iż domek Maryi został przeniesiony w cudowny sposób przez aniołów z Nazaretu do Loreto właśnie drogą powietrzną.



Fresk w kaplicy Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Loreto (fot. W. Krajewski).

Freski na ścianach kaplicy opowiadają historię lotnictwa – od mitycznego Ikara i Leonarda da Vinci, przez samolot braci Wright, papieża Pawła VI (pierwszy papież podróżujący samolotem), Johna Kennedy'ego i Wernhera von Brauna po Gagarina, Armstronga i nawet psa Łajkę. Wśród wielu innych postaci, można dostrzec jeszcze skromnego zakonnika w okularach, z długą brodą. Być może jest to właśnie ojciec Maksymilian Kolbe. Nie byłoby w tym nic niezwykłego.

Wiesław Krajewski

Wiesław Krajewski (ur. 1956 w Żninie). Lekarz stomatolog, doktor nauk medycznych. Wykładowca, dziennikarz, fotograf, redaktor i autor książek. Prezes Stowarzyszenia Polski Klub Stomatologiczny. Wieloletni prezes (obecnie wiceprezes) Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii. Laureat m.in. krasnostawskiego wyróżnienia „Złote Karpie”.

³ Źródło: <http://www.samolotytypolskie.pl/samoloty/14813/126/Kolbe-Etereoplan2>.

Tomasz Sienicki

Mikołaja Sienickiego sąsiad



Od piątku 24 do niedzieli 26 maja w Siennicy Różanej odbywał się Festiwal Mikołaja Reja. Impreza bogata, uczta myślowa i intelektualna zarazem. Można było spróbować najprzeróżniejszych potraw XVI-wiecznej kuchni polskiej, komentowanych przez wybitnych znawców, wśród nich Mikołaja Reja w dwóch osobach. Pierwszą był znany wszystkim renesansowy poeta, który sporą część swojej twórczości poświęcił smakołykom, a pisał o nich ze znanstwem i upodobaniem, wręcz pieszczotliwie. Przy biesiadnym stole zabrzmiały jego teksty, a cytował je wielokrotnie drugi Mikołaj Rej (Nicolas), współczesny nam potomek dawnego Mikołaja, honorowy gość festiwalu. Impreza była animowana przez wiele jeszcze szacownych osób – historyków, muzyków, dziennikarzy... Zainteresowani znajdą wszechstronne opisy w mediach, nie chcę więc się tu rozpisywać. Jak zwykle zrelacjonuję wydarzenie z punktu widzenia ambasadora Mikołaja Sienickiego „Demostenesa”, który Mikołaja Reja miał wszak za sąsiada w Siennicy Różanej w XVI wieku. Znali się dobrze, Rej poświęcił Sienickiemu jeden z epigramów w swoim „Zwierzyńcu”, o czym można przeczytać w „Nes-torze” nr 59. Właśnie warstwa literacka festiwalu była dla mnie najbardziej interesująca, a jej przejawem był „mecz na fraszki”, w którym wziąłem udział. Przytaczam więc po prostu swoje fraszki, sklejone w jeden tekst, który ilustruje moje mikołajowe obserwacje i propozycje.

Tomasz Sienicki

Fraszki

*Może mnie kto zapyta: cóż takiego fraszka?
Dowolna forma? Zwykła słowami igraszka?
Nie! Kto zna Mikołaja Reja fraszki one
Wie jakie to konstrukcje zmyślnie uczynione
Z początku siedem sylab, obok sześć dodane
Razem w wersie trzynaście, wersy zrymowane.
A takich wersów pary są we fraszce cztery
Tak Mikołaj Rej w fraszkach układał litery.*

*O czym Rej pisał fraszki? Mnie najbardziej bliska
O drugim Mikołaju – Sienickim z nazwiska.
Rej go uczcił, boć żyli w jednej okolicy
Gdzież mieszkali? Toż tutaj, w Różanej Siennicy!
Z Różyców Boryszewskich obaj żony brali
I dlatego Siennicę Różaną nazwali.
Jeden pół wioski dzierżył i drugi połowę
Sienicki się tu rodził, Rej tu złożył głowę.*

*Rej pisał o rodakach, iż swój język mają.
Sienicki mówił: łatwie mięsząc sobie dają.
Rej polskiej poezji ojcem okrzyczany
Sienicki polskim Demostenesem nazwany
O tolerancję i praw egzekucję dbali
O unię Polski z Litwą zgodnie zabiegali
Obaj na licznych sejmach przemowy głosili
Razem pszeniczkę Wieprzem i Wisłą pławili*

*Mikołajów potomki wczoraj się spotkali
W Siennicy. Przy tym stole przodków wspominali...
Imć Nicolas Rej był tu... I moja też głowa...
A była między nami także to rozmowa:
Mówię: Waść Nicolasiu, koncept mam rogaty,
Żeby imć Mikołajów dwóch wziąć na warsztaty.
Niech obaj rozslawiają Siennicę Różaną
I uczynią ją w świecie stokroć barzej znaną!*

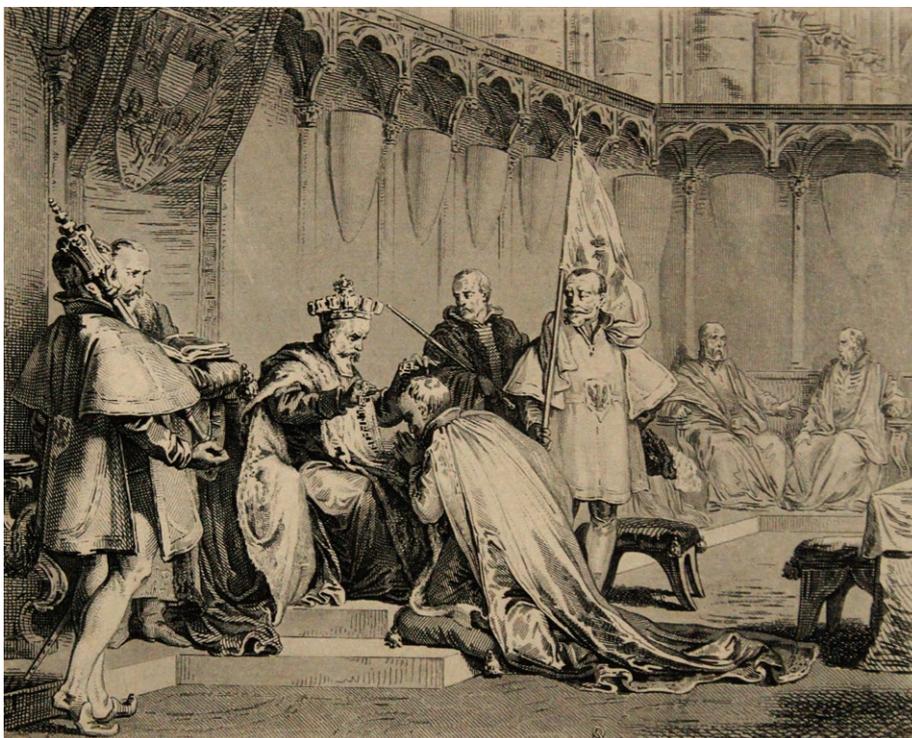
*Nicolas na to: Bardzom kontent ze spotkania
Z Tobą, Mości Tomaszu i z fraszek słuchania.
Tuszę, że radę damy tak sprawy wykręcić,
By obu Mikołajów równo upamiętnić.
Aleć bez Pana Wójta stać się to nie może...
Oby nam się udało! Dopomóż nam Boże!
Mości Wójcie, oto hymn na chwałę Siennicy...
Krajanów... Mikołajów... całej okolicy...*

*Od poranka do wieczora, z wieczora do rana
W naszych sercach, w naszych myślach – Siennica Różana!
Dwóch patronów od stuleci opiekę nam daje;
Waszmość Rej i Waść Sienicki, obaj Mikołaje
Waszmość Rej i Waść Sienicki, obaj Mikołaje!*

Jak zwykle pozwoliłem sobie na odrobinę konfabulacji, ale nie do zaprzeczenia są fakty. Mikołaj Sienicki z Mikołajem Rejem spotykali się w Siennicy Różanej w wieku XVI, a ich potomkowie spotkali się w tym samym miejscu w wieku XXI. Rej pisał o Sienickim w roku 1562, a Sienicki pisał o Reju w roku 2024.

Tomasz Sienicki

Rok Antoniego Pawła Oleszczyńskiego
w 230. rocznicę urodzin artysty trwa od marca 2024 do marca 2025



Antoni Oleszczyński, Królu ratuj Wiedeń i Chrześcijaństwo!, staloryt na papierze, Paryż 1832.



Antoni Oleszczyński, Albrecht książę pruski oddaje chłód Zygmuntovi Augustowi królowi polskiemu, staloryt na papierze, Paryż 1832.

Prace ze zbiorów Muzeum Regionalnego w Krasnymstawie.



Ireneusz Boguszewski – absolwent grafiki Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS (obecnie Wydział Artystyczny) w Lublinie (1981-86). Dyplom z litografii uzyskał w pracowni prof. Danuty Kołwzan-Nowickiej. Współzałożyciel Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Twórczego „Prowincja”. Uprawia rysunek oraz malarstwo olejne i akrylowe. Prace

prezentował na licznych wystawach indywidualnych i zbiorowych, m.in.: „Fragmenty”, Galeria „Przy Bramie”, Lublin „Gdzieś pod wodą, gdzieś pod ziemią... i pod powierzchnią”, Galeria „Collegiata”, Krasnystaw 2015; „Zielone i białe”, Muzeum Ziemi Chełmskiej, Chełm „Pejzaż linearny”, Galeria „Oranżeria”, Radzyń Podlaski „PROJEKT 966-jubileusz narodowy – sztuka polska 2016”, wystawa z okazji 1050-lecia Chrztu Polski, m.in. Poznań, Piła, Toruń; „Mystery animals”, Galeria „Nova”, ChBP Chełm/2016 „Fragmenty”, Galeria „Nad Wisłą”, Dęblin, „Mystery animals”, Galeria „ES”, Międzyrzec Podlaski/2018; „Mystery animals”, Galeria „Ordy”, Kock/2019; „Zieleń nie jest geometryczna”, Galeria „Nova”, ChBP Chełm/2020 „Mystery animals”, CK Łęczna/2021 „Zieleń nie jest geometryczna”, Project-art, VIVO, Lublin/2023 „Zieleń nie jest geometryczna”, Galeria 31, Lublin/2024 oraz wystawach Stowarzyszenia Twórczego „Prowincja” i chełmskiej Grupy „12”.

Aktualnie realizowane autorskie projekty to: „Mystery animals” – swoista odkrywka archeologiczna, kontynuacja cyklu prac „Gdzieś pod powierzchnią...”, (formy zwierzęce, organiczne); „Zieleń nie jest geometryczna”, który jest próbą zmierzenia się z zielenią – barwą tradycyjnie przyporządkowaną naturze i krajobrazowi (abstrakcja geometryczna).





mal. Ireneusz Boguszewski